

BIBLIOTEKA „ISKIER”

**Z. URBANOWSKA**



**RÓŻA BEZ KOLCÓW**

**KSIAŻNICA-ATLAS**



BIBLIOTEKA „ISKIER“

---

14.

ZOFJA URBANOWSKA

RÓŻA BEZ KOLCÓW

TOM I

## BIBLIOTEKA „ISKIER“

### DOTYCHCZAS WYSZŁY:

1. *Karol Dickens*. *Mała Dorrit*, powieść w opracow. Cecylji Niewiadomskiej.
2. *Jadwiga Marcinowska*. *W upalnym sercu Wschodu* Wrażenia z podróży po Egipcie, Indiach, Cejlonie i Jawie. Z ilustr.
3. *J. H. Fabre* *Szkodniki* Pogadanki o owadach szkodliwych, w tłum. Z Bohuszewiczówny. Z ilustracjami.
4. *J. H. Fabre* *Nasi sprzymierzeńcy*. Pogadanki o zwierzętach pożytecznych, w tłum. Z Bohuszewiczówny i M. Górskiej. Z ilustracjami.
5. *Bronisława Ostrowska*. *Bohaterski Miś* czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie. Dla dzieci od lat 10 do 100. Z ilustracjami. Wyd IV.
6. *K. A. Czyżowski*. *Szalonego lotnika*. Powieść fantastyczna.
7. *Dwunastka*. 12 nowel nowoczesnej literatury światowej, w tłum. Merwina.
8. *Walter Scott* *Kwintyn Durward* Powieść z czasów Ludwika XI, w opracowaniu Teresy Tatarakiewiczowej.
10. *Antoni Pisuliński* *Szlakiem słońca* afrykańskiego. Wrażenia z podróży i polowań w Afryce środkowej.
11. *Karol Dickens*. *Dawid Copperfield*. Powieść w oprac. Cecylji Niewiadomskiej.
12. *Walter Scott*. *Talizman*. Powieść z czasów wojen krzyżowych, w opracowaniu Teresy Tatarakiewiczowej.
13. *Zbigniew Sosnowski*. *Życie w akwarjum*.
14. *Z. Urbanowska* *Róża bez kolców*. Powieść Tom I.
15. *Z. Urbanowska*. *Róża bez kolców*. Powieść Tom II.
16. *H. Allorge* *Walka światów*. Powieść. Tłumaczył W. Topoliński.
17. *K. A. Czyżowski*. *Jim żeglarz*. Powieść.

BIBLIOTEKA „ISKIER“

ZOFJA URBANOWSKA

# RÓŻA BEZ KOLCÓW

OPOWIADANIE Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI  
OSNUTE NA TLE PRZYRODY TATRZAŃSKIEJ

Z LICZNYMI RYCINAMI W TEKŚCIE

TOM I

WYDANIE II



K S I A Ź N I C A - A T L A S

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE

TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ. — SP. AKC.

LWÓW — WARSZAWA

1928



821.162 1-3  
kww

2136

PAMIĘCI

**JÓZEFA SIKORSKIEGO**

ARTYSTY MUZYKA, REDAKTORA „RUCHU MUZYCZNEGO”  
I „GAZETY POLSKIEJ”

ZE CZCIA I WdzięcZNOŚCIĄ

PRACĘ TĘ POŚWIĘCA

AUTORKA





## OD WYDAWCY.

*W „Róży bez kolców“ znajdują czytelnicy obraz Tatr z ostatnich lat ubiegłego stulecia. Pierwsze wydanie wyszło w r. 1903 w Warszawie. Od tego czasu wiele się w wyglądzie Zakopanego i jego życiu zmieniło. Niegdyś było uroczą wsią, gdzie zdrowi szukali przyjemności, a chorzy spokoju i wytchnienia. Jedyne odgłosami, napętniającymi wówczas powietrze, były dzwonki krów i nawoływania pasterzy. Dziś jest ruchliwym miastem, w którym wre życie sportowe, rozlega się świst lokomotywy i warczenie samochodu — a wyniesienie do godności stacji klimatycznej sprawiło, że się rozwija coraz więcej, dążąc śladami innych europejskich uzdrowisk. Dziś, kto szuka spokoju, osiada gdzieindziej w górach. Przez te lat 20 i kilka dużo się posunęła znajomość Tatr i badania nad ich przyrodą. Wynikami tych badań prof. Konstanty Stecki uzupełnił pracę autorki.*





I.

GOŚĆ ZAMORSKI.

..... A już deszcz wciąż pluszczy  
Jak z sita w gęstych kroplach; w tem rykły  
[pioruny,  
Krople zwały się razem; to jak proste struny  
Długim warkoczem wiążą niebiosą do ziemi,  
To jak z wiader buchają warstwami całemi.

Mickiewicz: Pan Tadeusz.

— Tutaj, tu, sir<sup>1)</sup> Edwardzie, niech Wasza Miłość raczy się dobrze wspierać na lasce, bo wszystkie prawie kamienie się ruszają, a dokoła istne jezioro!

— Nic nie widzę, Walterze — była odpowiedź — ciemność taka, że gdyby nie to małe światełko, które błyszczy przed nami, myślałbym, żeśmy zbłądzili.

Deszcz lał rzęsisty: słycać było plusk wody i szum potoku, płynącego gdzieś blisko po dnie kamienistem.

— Niech się pan nie obawia: nie pierwszy raz jestem w tym kraju i znam dobrze drogę. Tu właśnie mieszka górą, u którego pomoc znajdziemy, bo jest potrosze i kowalem.

Błyskawica rozdarła ciemności: przy jej świetle ukazała się chata góralska, na tle amfiteatru gór, okalającego rozległą dolinę, a przed chatą zwierciadło szeroko rozlanej kałuży i szereg kamieni, po których można było dostać się

---

<sup>1)</sup> Czytaj: ser, znaczy po angielsku pan.

do proga. Kamienie te, jeden od drugiego dość odległe, wyglądały jak wyspy na morzu.

Wymiana słów odbyła się po angielsku: ten, którego tytułowano sir Edwardem, stąpił ostrożnie, badając naprzód grunt laską. Gdy stanęli u proga, wsparł się na niej i od-



Chata góralska.

oczywał, kryjąc się nieco pod dach, bo wicher smagał mu twarz, a towarzysz jego we drzwi zapukał.

W tejsze chwili rozległ się grzmot długi, przeciągły, a echa gór jęły go sobie podawać dookoła. Przez kilka minut brzmiała ist-

na kanonada, a deszcz spadł z podwójną gwałtownością. Drzwi chaty jednak ani drgnęły. Światelko, o którym była mowa, nie pochodziło z okna, bo z tej strony chata okien nie miała, ale było drobnym w ścianie otworem, między jednym a drugim płazem<sup>1)</sup> — i gdy zapukano, światelko znikło, jakby je kto sobą zasłonił. Towarzysz sir Edwarda zaklął energicznie po polsku:

— Do stu piorunów, otwierajcie!

I uderzywszy z całej siły we drzwi żelaznem okuciem kija, potarł zapałkę, zbliżył do miejsca, w którym przed chwilą jeszcze było światło, i ujrzał w otworze oko. Zapałka zgasała, światelko zabłysło znowu i dało się słyszeć skrzypienie drewnianej zawory<sup>2)</sup>. Odemknęto drzwi, a światło i ciepło buchnęły z wnętrza.

Obaj podróżni, acz wysokiego będący wzrostu, musieli

<sup>1)</sup> Tak nazywają w górach grube obrobione pnie drzew, z których się domy buduje. <sup>2)</sup> Zasuwa.

przechylić głowy, próg przestępując, bo nietyle drzwi były niskie, ile on wysoki. Sir Edward, wszedłszy z ciemności, stanął, nic zrazu nie widząc prócz pary, unoszącej się nad kominem i przysłaniającej wszystko jakby lekką gazą — a gdy oczy jego oswoiły się ze światłem, jął rozglądać się po izbie. Była tam gromadka ludzi. Na ławie pod ścianą siedziało kilku górali w serdakach i w kapeluszach filcowych z dużemi rondami, przez długie używanie podobnemi do grzybów. Jednym zasłaniały one połowę twarzy, ukazując tylko koniec nosa i brodę, u innych były z fantazją zsunięte na tył głowy. Wszyscy palili fajki.

Dym, unoszący się jak obłok w izbie, i para, dobywająca się z przemokłego, rozwieszonoego u powały na żerdzi odzienia, nie pozwoliły przybyłemu dostrzec odrazu trzech turystów: siedzieli oni przy stole, na krzesłach wielce oryginalnych kształtów. Porozkładane tu i owdzie pledy, kije alpejskie i torby podróżne, pokazywały, że wrócili z dalekiej wycieczki, a górale byli to ich przewodnicy. Na wielkim kominie gorzały grube drwa bukowe i świerkowe gałęzie, wydając lekki trzask i przyjemny zapach żywicy, a około komina krzątała się wysoka, tęgo zbudowana góralka i warzyła wodę na herbatę dla gości w tak zwanym kotliczku, czyli wielkim żelaznym imbryku. Przy kominie na ziemi siedział w koszuli stary góral z długimi, na ramiona spadającymi włosami i obierał starannie grule<sup>1)</sup>. Na piersiach błyszczała mu prześliczna spinka mosiężna.

A jeżeli oczy sir Edwarda nie mogły odrazu dojrzeć wszystkiego, to natomiast ci, co znajdowali się w izbie, dokładnie mu się przyjrzeni, stojącemu w świetle ogniska: jego silnej budowie i wyniosłej postaci, z której znać było, że nawykła do rozkazywania — wyrazistym oczom, bladawej twarzy, wreszcie kasztanowatej, mocno posiwiątej brodzie, charakterystycznie u dołu rozdzielonej przez środek.

---

<sup>1)</sup> Kartofle.

Głowa z kapeluszem i czoło schowane były pod kaptur długi, nieprzemakalnego płaszcza, z którego ściekała woda. Gaździna<sup>1)</sup>, rzuciwszy nań okiem, zawołała ze współczuciem:

— A to ich też dołało!

Towarzysz sir Edwarda miał taki sam płaszcz i kaptur, a z pod kapelusza wyglądał mu tylko koniec nosa, małe wąsiki i krótko przystrzyżona broda. Ten nie rozglądał się wcale po izbie, tylko się zwrócił wprost do gospodarza, który, stojąc po drugiej stronie komina, trzymał węgiel w palcach i tak spokojnie zapalał fajeczkę, jakby przybyłych zupełnie nie widział. Opowiedziawszy mu, że o kilkaset kroków stąd spadło u karety koło, prosił go, aby udał się zaraz na miejsce wypadku i zabrał z sobą kilku ludzi, bo trzeba powóz tutaj przyprowadzić. Nalegał bardzo o pośpiech i powtarzał, że w karecie są kobiety, lękające się nietylko burzy, ale i napadu w obcym, nieznanym kraju.

Mówił twardym, angielskim akcentem, wymawiając dobitnie wyrazy, a polszczyzna bardzo była kulawa i brakło w niej zupełnie litery *r*, która zdawała się rozplływać na podniebieniu mówiącego. Wypowiedziawszy rzecz swoją, obrócił się do sir Edwarda, pomógł mu zdjąć płaszcz i stanął przed ogniem, grzejąc się i czekając, aż wyruszy pomoc, którą chciał poprowadzić. Gazda, człek już niemłody, nie wyjmując z zębów fajeczki, zadał mu kilka krótkich pytań: skąd przyjechali? po co? na jak długo? a zaspokoniejszy swą ciekawość, wyciągnął z zapieca młotek, kle-szcze<sup>2)</sup> i toporek. Garść gwoździ wsypał do kieszeni, zapalił latarnię, zdjął z kołka kapelusz i zarzucił cuhę<sup>3)</sup> niby płaszcz na ramiona. Przewodnicy też, nie czekając wezwania, ruszyli się, pookrywali mokremi jeszcze cuhami, wzięli swoje ciupagi<sup>4)</sup> i poszli za nim.

---

<sup>1)</sup> Gospodyni. <sup>2)</sup> Obcęgi. <sup>3)</sup> Inaczej gunia — siermiega specjalnego kroju, którą górale najczęściej noszą zarzuconą na ramiona. <sup>4)</sup> Laska z siekierką.

Nieznajomy, pozostawszy sam, obejrzał się, a spostrzegłszy stołek, usiadł na nim, wsparł obie ręce na lasce i patrzył w ogień. Gaździna, kręcąca się ciągle koło komina i obsługująca podróżnych herbatą, spoglądała raz po raz ciekawie na milczącego gościa; wreszcie, powodowana współczuciem dla jego posępnej twarzy, której wyraz przypisywała strudzeniu i zziębnięciu, wzięła krzesło, stojące w kącie izby, starła je fartuchem i postawiła przy nim, mówiąc uprzejmie:

— Niech se tu siednom. Stołek je, widzicie, nie opieracny<sup>1)</sup>, to im źle.

Ale gość się nie ruszył. Gaździna, mająca dobre serce, niezrażona zbliżyła się znowu po chwili z kotliczką w jednej ręce, ze szklanką w drugiej, mówiąc:

— Niekze sie tyz napijom!

Gość, acz nie mówił po polsku, nie mógł nie zrozumieć tych słów, popartych wymownym gestem, ale poruszył głową przecząco. W izbie zapanowała cisza, przerywana tylko brzękiem łyżeczek w szklankach, ale cisza ta po chwili zaczęła się przykrzyć pijącym. Młody, szczupły brunet o śniadej, ściągłej twarzy, rzekł do blondyna, zapalającego cygaro:

— Rozeszła się już cokolwiek po świecie sława Tatr, skoro przyjeżdżają do nas Anglicy.

— Nie nowina — odrzekł blondyn w okularach, z twarzą otwartą, sympatyczną i małym jasnym wąsikiem — Anglicy bywają tu co roku, od lat najmniej dziesięciu.

— Tak, ale z polskimi nazwiskami... Anglicy, w których żyłach część krwi naszej płynie; już lepszym nabytkiem jest owa gromadka Francuzów, co tu wczoraj przybyła, lub ów admirał włoski, który tu bawił w zeszłym roku.

I spoglądając na przybysza, dodał:

— Ten zdaje się być okazem czystej krwi.

---

<sup>1)</sup> Bez poręczy.



Góral z kobzą.

— I do tego rasowym — powiedział blondyn. — Popatrz pan na ten prosty nos, z delikatnymi, wydatnie rozwiniętymi nozdrzami; na kształt ust, w których kącikach osiadł wyraz, nie wiem... goryczy czy pogardy.

— Zawsze się zastanawiałem — rzekł tamten — czemu typy narodowe najbardziej uwydatniają się w ustach. Niemca na przykład, poznasz odrazu, choćbyś go po turcku przebrał i twarz mu zakrył, zostawivszy tylko dolną jej połowę odsłoniętą. Od czego to zależy?

— Od czego? Ależ to jasne jak słońce: od mowy, a raczej od wymowy. Język, akcent, słowem sposób wymawiania, wpływają na ukształtowanie ust i okalających je mięśni twarzowych, a szeregi pokoleń utrwalają te różnice. Tak powstają typy narodowe.

— Jeżeli o tem mówić, to różnice klimatyczne także, może nawet więcej jeszcze wpływają na odrębność ras, a z niemi na obyczaje.

— Czyli wszystko razem: ale powiadam panu, że niema może nawet na świecie miejscowości, z wyjątkiem Ameryki, w którejby widzieć można tak ogromne różnice typów, jakie się napotyka w tych górach. Nie ja pierwszy czynię to spostrzeżenie: wypowiedział je już Witkiewicz w swej książce p. t. „Na przetęczy“. Czyni on przypuszczenie, że przeszła tu jakaś nawałnica różnych ras i ludów, zostawiając ślady swego przejścia w odradzających się dotąd pierwiastkach najróżnorodniejszych odrębności. Czynił on tu gruntowne spostrzeżenia, studjował tę ludność jako artysta malarz, jako człowiek wykształcony i rozróżnia dwa typy za-



sadnicze: czarnowłose o twarzy wąskiej i garbatym nosie, wielkiem czole i rysach delikatnie wykończonych, i jasnowłose, o twarzy okrągłej i wydatnych policzkach. Na tle tych krańcowych typów, przesuwają się cała galerja typów ludzkich, od wykwintnego piękna, do karykaturalnej brzydoty.

— Prawda, różnorodność jest wielka!

— Znaleźć tu można dzikiego Indjanina z opaloną od słońca twarzą, jak ten oto stryk<sup>1)</sup> gazdy, obierający grule, jakby wprost z puszczy amerykańskiej przybyły; brak mu tylko djademu z piór na głowie — i wspaniałe, dumne postacie z delikatnie wyrzeźbionemi rysami, którychby nie jeden lord pozazdrościł. Są twarze Rzymian z wydatnie zarysowanym kątem brody i twarze otwarte, czysto słowiańskie, szczere, polskich wieśniaków. Są twarze mędrców, twarze ascetów i tęskne twarze orłów z sennemi oczyma, jak naprzykład rodzimy genjusz tatrzański, Sabała. Co za kopalnia dla etnografa! Jaka zagadka do rozwiązania!

— Nietylko dla etnografa, ale i dla lingwisty — odezwał się blondyn. — Tu ludzie mówią piękną gwara, przypominającą starą polszczyznę Mikołaja Reja. Język to oryginalny, jakby siekany. Doktor Matlakowski, który się w góralszczyźnie tutejszej rozmiłował i wydał piękne dzieło o „Budownictwie na Podhalu“, utrzymuje, że wartoby sfonografować te zwroty nieznane, tę ciętość żywą i obrazową, te oryginalne zaimki i przysłowki, to akcentowanie nie do naśladowania, tak zgodne z duchem treści, zanim zaginą i utracą swą czystość pod wpływem gości, przywożących tu język więcej wyrobiony, ale zakażony obfitością cudzoziemskich wyrażeń. Tylko dzięki odosobnieniu od świata murem, wzniesionym przez naturę, zachował się tu w czystości ten stary złotego wieku język, w którym pozostały ślady dawnych słowiańskich pierwsłówów. I do-

---

<sup>1)</sup> Stryj.

prawdy, gdyby nasz język literacki, tak dziś zakażony francuszczyzną, niemczyzną i wszelkimi kosmopolitycznemi śmieciami, zasilono czystem źródłem górskim, piśmiennictwo zyskałoby na tem! Uwagę tę wypowiedział już Seweryn Goszczyński, gdy w r. 1832 zwiedzał Tatry.

Brunet roześmiał się.

— Ho, ho! — zawołał. — Co za zapach! Idziesz pan trochę zadaleko. Gaździno, prosimy jeszcze herbaty!

Gospodyni powtórnie napełniła szklanki: a widząc, że blondyn wyjął z torby kromkę chleba i zabierał się do krącenia jej, postawiła przed nim masło na talerzu, mówiąc:

— Dziś narobione i dobre, co cud, telo nie udeptane. Jedzcież, prosem was bars<sup>1)</sup> piknie.

Brunet spojrzał wymownie na swego towarzysza, mówiąc:

— Mnie tam nie zachwyca bynajmniej ta gwara: a jeżeli proza naszego języka literackiego przełknęłaby go jako tako, to poezja byłaby w niemałym kłopotcie, jak z nim sobie poradzić.

— O! — zawołał blondyn. — Poezja już go brała pod swe rzeźbiarskie dłóto, i okazał się równie podatnym, jak wdzięcznym. Próbował tego młody poeta, Kazimierz Tetmajer.

— Doprawdy? Cóż on takiego napisał?

— List Hanusi.

— List Hanusi? Hm, ciekawym. Do kogoż to ona pisze?

— Nie jest tam powiedziane, ale domyślam się, że do męża, który gdzieś powędrował w dalekie strony za zarobkiem. Posłuchaj pan tylko:

„Kochany Jerzy mój! Pisę tu ztela<sup>2)</sup>  
 Ten list do tobie<sup>3)</sup>, a piśęcy płacę.  
 Świat mi caluśki nic nie uwesela,  
 Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,  
 Bo syćko myślę, kielo<sup>4)</sup> nas ozdziela  
 Kraju i cy cię tyz jesce zobacę?

---

<sup>1)</sup> Bardzo. <sup>2)</sup> Stąd. <sup>3)</sup> Do ciebie. <sup>4)</sup> Ile.

Kiebyś ty wiedział, jakoś mię osmucił,  
Mój złociusieńki, tobys się haw <sup>1)</sup> wrócił.

Kie na odwiecerz przed chałupom stanę,  
Pojrzę jak słonko za wirchy <sup>2)</sup> się kryje,  
Wspomnę, jak my se pod tom samom ścianom  
Siedzieli: żal mię mało nie zabije,  
A serce moje jakoby pijane  
Tluce się w piersiach. Tęca wodę pije  
Z rzeki, ale tych łez wypić nie musi <sup>3)</sup>,  
Co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,  
Łzy ino syćko z ocy mi sie lejom,  
Nik tego nie wi, za kim ja banuję <sup>4)</sup>,  
Ale sie ludzie nascy <sup>5)</sup> ze mnie śmiejom.  
Żal mie za tobom wciąż w serce kłuje,  
I nie wiem, ka sie me ocy podziejom  
Od tych łez. Widzi się, co mnie powiezom  
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody <sup>6)</sup>,  
Takek cię ino syćko wyglondała,  
A tak mi było jak rybce do wody,  
Jazek się sama do się głośno śmiała.  
Ale juz wsendy potajały lody  
I śnig juz w turniach <sup>7)</sup> wyginon bez mała.  
A tobie nimas jednako nikany <sup>8)</sup>,  
Mój złociusieńki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze  
Jaka cię chorość nasła, mój jedyny,  
Abo co inse, od cego chroń Boze!  
Nie zabacujze tak swojej Haliny.  
U nas som zdrowi w chałupie — niemoze <sup>9)</sup>  
Jeno Jagnieska Bartkowej Maryny,  
Niech cię Bóg strzeze i Najświętsza Panna  
Ludźmierska <sup>10)</sup>. Twoja tu ostaję. — Anna<sup>4</sup>.

---

<sup>1)</sup> Tu. <sup>2)</sup> Szczyty. <sup>3)</sup> Nie zdoła. <sup>4)</sup> Tęsknię. <sup>5)</sup> Nasi. <sup>6)</sup> Boże Narodzenie. <sup>7)</sup> Nagie ostre skały. <sup>8)</sup> Nigdzie. <sup>9)</sup> Niedomaga. <sup>10)</sup> W Ludźmierzu wsi nad Czarnym Dunajcem, jest bardzo starożytny kościół modrzewiowy, a w nim figura Matki Boskiej, do której górale z całych Karpat mają szczególne nabożeństwo.

— Ładny wiersz, dialekt podhalański dobrze w nim utrzymany, ale nie widzę tu wyrazów, mogących być „cennym nabytkiem“ dla naszego języka, jak pan powiadasz. Nie trzeba się nadto zapalać.

— I w mowie górali też pan nie znajdujesz nowych, a malowniczych wyrażeń? Przed chwilą mówiła gaździna, że jej zapaska „poszła na dziady“.

— Nie rozumiałem jej.

— Wierzę, lecz ja się wsłuchuję w ich język, chciwie łowiąc każdą nowość; u nas służąca powiedziała by, że podarła fartuch na nic. A co to jest fartuch? To żywy zbytek germański. O ileż od niego piękniejsza „zapaska“!

— No, no, gotów pan podziwiać i fakt, że „poszła na dziady“. Cóż robić z takim zapaleńcem?

Blondyn mówił dalej:

— Naprzykład „zmięk“, odwilż, piękny a prosty wyraz. Wszystko, co opada z atmosfery, zowią ogólnym wyrazem „opaść“, chociaż, gdy drobny deszcz pada, to „siąpi kapuśniaczek“; gdy wicher zacina krupami ze śniegiem, to jest „siekawica“; para, marznąca na drzewach w mroźne pogodne noce, to „sadelina“. Śnieg, zwisający z gałęzi drzew iglastych, to „okiść“; a gdy poobmarzane lodem brzegi potoków tamują bieg wody, górale malowniczo zowią je „splątami“. Wreszcie wszystko, co żyje w lesie i na polu, to „żywina“.

Brunet słuchał, nie przerywając, tylko się uśmiechał, wreszcie rzekł:

— Pierwszy raz pan tu jesteś i tyle nazbierałeś!

— Pierwszy raz, ale zdążyłem się poznać z Matlakowskim!

I wyjąwszy świeże cygaro, mówił dalej, spoglądając na tajemniczego gościa.

— Chociaż mówiliśmy przed chwilą, że na kształt ust wpływa wymowa, jednakże ja w tym dostojnym Angliku nie widzę typu wybitnie anglosaskiego. Powiedziałbym nawet, że jest w nim coś, coś...

— Coś południowego — przerwał tamten.

— Widziałem głowę podobną w galerji pałacu Pitti we Florencji. Przypomina mi ona któregoś z Borgiów, z tą brodą śpiczastą, na pół rozdzieloną... Jest to charakterystyczna głowa, ale niepiękna.

— Owszem — powiedział blondyn — jest piękna, ale brak jej jakiegoś łagodniejszego rysu: same ostre linje! Widzę tu rozum, siłę woli, żelazną energję, ale nie widzę dobroci: typ despoty z wieków średnich.

— A ja widzę w tej twarzy jeszcze coś, czego nie umiem nazwać, ale na co, zdaje mi się, jeżeli nie dziś, to później znajdę odpowiedni wyraz. Jeżeli szukać porównań, powiem, że czyni na mnie wrażenie wygasłego wulkanu, który...

— Może jeszcze kiedyś wybuchnąć. Czy tak?

— Właśnie. A gdyby mi chciał pozować do obrazu, zrobiłbym z niego dożę weneckiego w chwili, gdy stoi na okręcie i zaślubia morze.

Trzeci turysta, siedzący na łożku, nie mieszał się do rozmowy. W złotych okularach, o rysach wybitnie germańskiego typu, wyglądał na bardzo uczonego człowieka. Całą czaszkę miał łysą — tylko po bokach gęste kępy włosów, zawsze znajdujące się w nieładzie. Twarz szczupłą, przedwcześnie zwiędłą, miała rozłargniony wyraz; surdut wisiał na nim jak worek. Popijał w milczeniu herbatę i obserwował z wielką uwagą cudzoziemskiego przybysza. Pocierał chwilami palcem czoło, jakby sobie chciał coś przypomnieć, przymykał oczy, poruszał głową, słowem, zachowywał się jak człowiek, niepokoiony myślą uporczywą.

Blondyn odezwał się znowu:

— Mówiłeś pan o przejściu tędy nawały ludów... historia niewiele o tem mówi: główni zdobywcy, nachodzący te piękne, sąsiadujące z sobą kraje, przedzierali się przez przełęcze Karpackie. Niemi to wtargnęli niegdyś Węgrzy do Pannonji, niemi wdzierały się hordy tatarskie. Przez przełęcze Karpackie szli do Węgier Rosjanie.

— Mongolskich typów mało tu widziałem — odrzekł brunet — więcej napotykałem południowych; pozwolę sobie jednak zrobić uwagę, że choć w historii jest mało śladów o przejściu tędy nawały ludów, mogły się one jednak zdarzyć w czasach, w których na ziemiach słowiańskich nie spisywano jeszcze kronik. O pochodzeniu zaś rdzennej ludności tutejszej nic pewnego orzec nie można. W pierwszych wiekach naszej ery osiadały pod Tatrami kolejno różne narody, z imienia nam zaledwie znane: Bastarnowie, Westgotowie, Gepidowie, Longobardowie i Awarowie. Dopiero w VII wieku zjawiają się Chrobaci na północnych, a Słowacy na południowych stokach.

Milczącemu gościowi śnać naprzykrzyło się już patrzeć nieruchomo w ogień i słuchać rozmowy, której nie rozumiał, a do której przygrywały grzmoty od czasu do czasu. Oczy jego, oswojone już dobrze z oświetleniem izby, zaczęły się po niej uważnie rozglądać. Już sam piec godzien był uwagi: był to tak zwany piec biegany, czyli biegac, długi a niski, podobny do szabaśnika do pieczenia chleba. Ognisko miało głęboką czeluść, do której wchodziły płomienie i potem znowu zwracały się do frontu. W narożnikach przednich były małe niszki, gdzie przechowywano proch, krzesiwko, hubkę, lub zatykano gorejące karkoski czyli trzaski, któremi, gdy była potrzeba, oświetlano izbę i od których dym wychodził z niszy przez małe niszki kanalik. Ponad piecem w poprzek izby wisiła poleń, czyli półka na porąbane drzewo, aby tam schło.

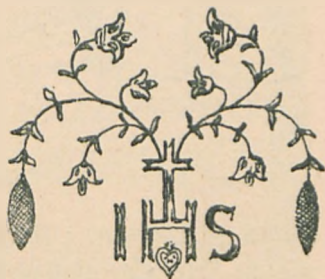
Wspaniałe obszerne ławy biegły dokoła izby, której ściany z szerokich ułożone płazów, zdawały się go zastanawiać; do takiej bowiem grubości stuletnie tylko dochodzą drzewa! Gładkie jak stół, tak wybornie do siebie pasowały, że ślady spojenia mało były widoczne. Zastanowiła go również barwa ich ciemno-czerwona, jakby malowanie krwią, poczerniałe z wiekiem, i połyskujące miejscami czarnością hebanu. Zatrzymał oczy na obsadzie okna, której

kształt przypominał futryny z ciosowego kamienia, u okien w starych średniowiecznych budynkach — i spostrzegł ponad oknem u góry obiegający dokoła izby fryz naturalny, tworzący galerję ozdobną, a na ścianie szczytowej pod fryzem listwę, wyrzynaną misternie. Zauważył tam obrazy święte, pęki ziół, naczynia różne, kwieciste talerze, owoce, sery, i wodząc tak dalej oczyma, zatrzymał je aż pod powałą, gdzie przechodziła belka poprzeczna, zwana sosrębem, ozdobnie nacina-na, czyli, jak górale mówią, cyfrowana.

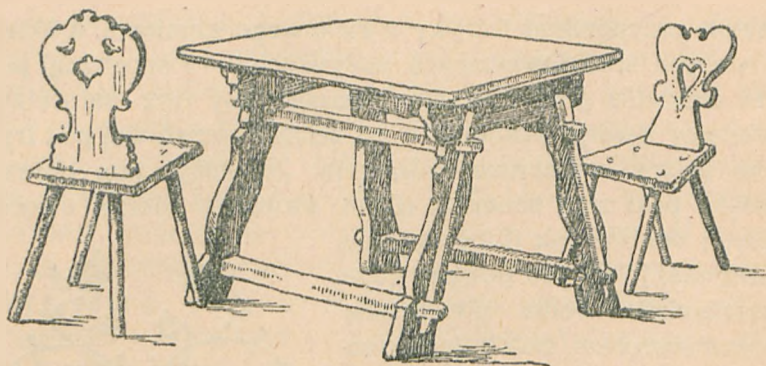
Na samym środku tego sosrębu znajdowało się koło, otoczone promieniami, a po bokach koła gwiazdy i siekane linje, niby kratka. Był także jakiś napis, ale tego przy migającym świetle komina dojrzeć nie mógł cudzoziemiec. Nad drzwiami wyrzezano serce, a nad sercem krzyż, z którego na obie strony wychodziły gałązki kwiatów; drzwi zaś same w górnej połowie, promienisto były z desek, umiejętnie spojonych, utworzone, tak zwane „drzwi ze wchodzącym słońcem“.

Zastanawiał go zmysł piękna, i to bezświadome poczucie symetrii, zlewającej się w ogólną harmonję, w kraju, uważanym za barbarzyński, i o którym na Zachodzie Europy ludzie mało wiedzą. Porównywał w myśli te ozdoby z ornamentyką górali szkockich. Zkolei zobaczył charakterystyczny stół, krzesła, łóżko, wreszcie kredens nadzwyczaj oryginalny o, półkach ozdobnie wyrzynanych — ale szczególną jego uwagę zwrócił wiszący między kredensem a drzwiami łyżnik z drzewa jaworowego, na którym motywy geometryczne w połączeniu z roślinnemi dziwnie misternie rozwinięto; rysunek był w nacięciach farbą napuszczany.

I czyto dla przypatrzenia się lepiej, czy dla wyprosto-



„Cyfrowanie“ na sosrębie.



Stół i krzesła.

wania nóg, wstał i przybliżył się do ściany, gdzie ów łyżnik wisiał. Turysta, siedzący na łóżku i przypatrujący mu się ciągle, zobaczywszy gościa z profilu, wstał także, podszedł ku niemu i przemówił po niemiecku:

— Przepraszam pana, zdaje mi się, że mam zaszczyt widzieć przed sobą sir Edwarda Warburtona, baroneta z Rochdale<sup>1)</sup>.

— Gruba ryba! — szepnął brunet do towarzysza.

Zapytany, snać człowiek nerwowy, drgnął nieznacznie, lekko brwi ściągnął i zmierzył oczyma mówiącego.

— Tak jest — odrzekł sucho — ale ja nie mam zaszczytu znać pana. Czy mogę zapytać, skąd mu jest wiadome moje nazwisko?

— Słyszałem je od pana samego, sir. Poznaliśmy się w Muzeum Etnograficznym w Londynie.

Baronet milczał, zdając się szukać w pamięci.

— I byłem nawet gościem pańskim przez cały tydzień w Rochdale, gdzie badałem faunę jezior do mego dzieła o skorupiakach.

— Za które Akademyja Berlińska przyznała panu nagrodę. Czytałem je, panie profesorze Strand. Mam je nawet

---

<sup>1)</sup> Czyt. Roszdejl.



w mojej bibliotece — odrzekł, uprzejmie wyciągając rękę. — Witam pana! Od czasu naszego rozstania się upłynęło lat ośm, które nie bez śladu przeszły po nas obu, chociaż na panu ślady te są bardzo mało widoczne. Widać, że atmosfera wiedzy, w jakiej bezustannie bywają uczeni, konserwuje ich nie gorzej, niż własne ich preparaty w spirytusie!

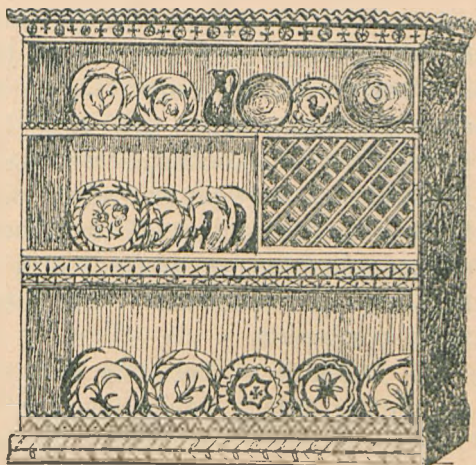
— Pan także dobrze wyglądasz, sir — powiedział profesor, myśląc jednocześnie, że baronet bardzo przez te ośm lat postarzał.

— Rad jestem, że w tym kraju spotykam dobrego znajomego, któremu winienem niejedną miłą chwilę w Rochdale, i w którym obiecuję sobie znaleźć tutaj miłego towarzysza i przyrodnika.

— Czy państwo macie zamówione mieszkanie? — zapytał Strand.

— Nie.

— O, tu trudno będzie dostać coś wygodnego, bo slyszalem, że wszystkie prawie domy pozajmowane. W każdym razie będziecie państwo musieli tutaj przenocować, bo dziś już niepodobna szukać mieszkania w taką burzę i po nocy. Ludzie się tutaj bardzo cisną. Kraj piękny, wiele piękniejszyszy niż Szwaj-



Kredens.



Łyżnik.

carja, która się zanadto zużyła, i wielce oryginalny; a jako stacja klimatyczna, nie gorszy od sławnego Davos. Czy synowa pańska, lady Chester, jest tu również?

— Jest... i syn jej, Davy, także — odrzekł baronet, a cień niechęci przesunął się po jego obliczu.

Profesor Strand zauważył, że mówiąc to, nie wyraził się: mój wnuk, tylko „jej syn“ i przypomniał sobie rozpieszczonego, niezdolnego chłopaka, którego widział w zamku Rochdale, psutego przez matkę, dogadzającą wszystkim jego fantazjom. Chciał zapytać, czy baronet przyjechał w Tatry szukać zdrowia, czy wrażeń; oraz czy on sam, czy też milady tego potrzebowała — ale zaniechał zamiaru i zapytał tylko o zdrowie.

— Dziękuję — brzmiała odpowiedź — wszyscy mamy się nieźle: milady nawet lepiej, niż przed ośmiu laty.

— Zatem szukają wrażeń — pomyślał. — Rzecz dziwna jednak, że baronet w tym wieku jedzie szukać wrażeń tak daleko, gdy mógłby je znaleźć bliżej.

Sir Edward, jakby odgadując te wątpliwości, dodał w charakterze objaśnienia:

— Czytaliśmy w „Graphicu“ artykuł Jazdowskiego o Tatrach. Szwajcarja już nam się sprzykrzyła, Alpy także.

Strand spuścił oczy. Właśnie to objaśnienie utwierdziło go w przekonaniu, że nie artykuł wspomniany spowodował podróż, ale inna jakaś, głębsza przyczyna. Baronet jeszcze przed ośmiu laty wydawał mu się człowiekiem zagadkowym, a zamek Rochdale ukrywającym w swych murach jakąś tajemnicę, o której nikt nie mówił, ale każdy czuł unoszącą się w powietrzu. Odgadywał ją w westchnieniach i półsłówkach milady, w zadumach pana zamku i jego zmiennym humorze, w ostrożnych, jakby lękliwych stąpieniach służby. Udał jednakże, że wzmianka o „Graphicu“ wystarczyła mu zupełnie i odezwał się, wskazując na łyżnik:

— Byłby to piękny nabytek dla Muzeum Brytańskiego, jak również inne, znajdujące się tutaj przedmioty. Mają

one wielką, rzadko dziś napotykaną zaletę, oryginalność. Lud tutejszy odgradzony od świata turniami, zasypyany śniegami, miał czas tworzyć i zostawił ślady swej twórczości na całym swym otoczeniu, czerpiąc tylko z siebie i z otaczającej go przyrody. Są tu rzeczy niedociągnięte, że się tak wyrażę, do wysokości zamiaru, ale niema szablonowych i bezdusznych. Przeważnie spotyka się tu motywy geometryczne, w których uderza nadzwyczajna różnorodność kombinacji oraz wysokie poczucie proporcji i symetrii. Ten łyżnik...

— Kupię go — przerwał baronet, słuchający z niejakim roztargnieniem. — A pan, szanowny profesorze, chyba nie dla zdrowia tu przybyłeś, bo masz bliżej Tyrol.

— O, nie — odparł, ożywiając się — poszukuję czego innego. Znajduje się w tych górach cenny skarb, który pragnę zdobyć.

— Skarb? — podchwycił zdziwiony Anglik. — Byłyby tu kopalnie złota lub srebra?

— Złoto jest w Tatrach, więc nie potrzebowałbym go odkrywać — odrzekł z lekceważącym gestem — ale kto by tam się o nie troszczył! Jest go zresztą dość na kuli ziemskiej. Ja szukam czegoś cenniejszego, mój skarb posiada ważność dla nauki.

— Cóż to jest zatem? — pytał zaciekawiony.

Profesor chwilę milczał, uśmiechając się tajemniczo; wreszcie, wpatrzywszy się w swego słuchacza, zaczął mówić ostrożnie i powoli, jakby obawiał się nazbyt silnie sprawić wrażenie.

— To, czego szukam, zowie się *Branchinecta Paludosa*. Jest to, uważa pan, nazwa gatunku skorupiaka, należącego do rzędu Skrzelonogich, Branchiopoda, z typu Stawonogich.

Powiedziawszy to, cofnął się o krok jeden i badał wyraz twarzy baroneta, a sądząc, że nie dość jasno się wypowiedział, dodał objaśniająco, kładąc nacisk na każdy wyraz:

— Skorupiak ten miał być pospolity w Europie w epoce lodowej; obecnie znaleziono go podobno w niektórych jeziorach Norwegji oraz w jednym z jezior tatrzańskich. *Branchinecta Paludosa* jest jedynym reprezentantem liścionogów w tutejszych jeziorach.

— Ależ liścionogi to nie taka osobliwość — przerwał Anglik. — Jest ich dość w Europie.

— Właśnie ten jest jedyny, jedyny... słyszysz pan? Tem szczególny, że ojczyzną jego są kraje pasa podbiegunowego Europy, Azji i Ameryki. W środkowej Europie dotychczas nie znaleziono go nigdzie, a za najniższy punkt graniczny jego południowego osiedlenia, uważano miejscowość Dovre Fjeld w Norwegji.

Baronet słuchał z powagą: w oczach profesora błyszczał prawdziwy zapach.

— Widzisz pan zatem, że to jest wielka osobliwość, że to jest skarb prawdziwy! W Tatrach żyje on podobno tylko w jednym jedynym jeziorku, choć wszystkich jezior jest przeszło sto. Zagadkową jest rzeczą, jakim sposobem to rzadkie zwierzę polarne tu się dostało! Jakie pańskie zdanie? Co?

I nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

— Prawdopodobnie było ono niegdyś pospolite w wodach pewnej części Europy środkowej, a obecnie resztki jego przechowały się w krajach polarnych i odpowiadających im pod względem klimatycznym, jeziorach górskich. Jednakże takie szerokie rozsiedlenie trzeba odnieść do czasów, w których klimat Europy środkowej był inny, niż dzisiejszy, do czasów okresu lodowego.

Baronet słuchał z powagą tych uczonych wywodów, którym towarzyszyły nieustające grzmoty i błyskawice.

— I chcesz pan zapewne zdobyć ten skarb dla jakiego muzeum?

— Ach, tak: dla Muzeum Berlińskiego.

— Życzę panu powodzenia; ja także szukam czegoś:

pewnego rzadkiego okazu, którego brak mi do mej kolekcji, a który chciałbym posiadać! Może pan łaskawie pomożesz mi w tem?

— Czegoż to mianowicie? — zapytał profesor mocno zdziwiony, szukając jednocześnie w pamięci wspomnień z pobytu swego w Rochdale. Żadnych naukowych zbiorów tam nie widział... nic prócz wspaniałej biblioteki i jeszcze wspanialszych ogrodów.

Baronet milczał chwilę, wreszcie powiedział spokojnie:

— Szukam róży bez kolców.



„Cyfrowanie“ na sosrębie.



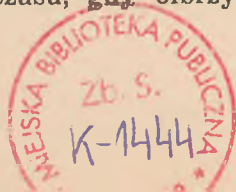
## II.

### CO W TEM JEST?

*Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie,  
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie,  
Aż się uspokoiło wszystko, tylko drzewa  
Szumią głucho wokóło i szemrze ulewa.*

*Mickiewicz: Pan Tadeusz.*

Profesorowi aż okulary spadły, gdy to usłyszał. Podniósł je, nasadził na nowo i przypatrywał się baronetowi uważnie, jakby go widział po raz pierwszy. Anglik, wielki pan, starzec siedemdziesięcioletni, jadący z jednego krańca Europy na drugi, dla szukania róży — wyglądało to na coś tak dziwnego, tak nieprawdopodobnego, że w duszy profesora zbudziło się podejrzenie, iż róża była tylko pozorem dla osłonięcia innych zamiarów... ale jakich? Gdyby sir Edward był uczonym botanikiem, profesor Strand nie dziwiłby mu się wcale — bo sam przecie upędzał się za Branchiopodem — ale badaczem nie był, choć z zamiłowaniem hodował róże i miał w Rochdale wspaniałe *Rosarium*. Mówiono o spółce kapitalistów francuskich, chcących eksploatować bogactwa mineralne Tatr... Kto wie, może baronet chce związać spółkę kapitalistów angielskich, żeby nie dopuścić Francuzów — bo między temi dwoma narodami zawsze istnieje antagonizm. Sir Edward słynął jako wielki ekonomista, ale sprawami tego rodzaju chyba już przestał się zajmować od czasu, gdy olbrzymi jego majątek w dwój-



nasób się powiększył. A więc nie to: więc musi być coś innego. Bo gdyby nawet róży szukał, znalazłby ją bliżej, w Alpach: roślinność górską, z małemi wyjątkami, wszędzie jest podobna.

Dwaj młodzi turyści, rozumiejący doskonale po niemiecku, spoglądali na siebie i uśmiechali się. Blondyn, młody lekarz z Krakowa, podniósł się pierwszy i poprosił profesora, żeby go baronetowi przedstawił, a gdy to zostało dopełnione, przemówił:

— Ja, i mój towarzysz Witold, artysta malarz — to mówiąc, spojrzął na przyjaciela, który, powstawszy, zdaleka się uklonił — odbywamy częste po górach wycieczki; będziemy upatrywali wszędzie owej róży, której pan pragnie, aby gość z za morza odjechał zadowolony z tego pięknego kraju. Ale wątpię, czy znajdziemy to, czego szukamy. Nasze przysłowie polskie mówi: „Niema ryby bez ości; niema kobiety bez złości; niema róży bez kolców“.

— Na część przysłowia, odnoszącego się do kobiety, zgadzam się w zupełności — odrzekł profesor Strand, który raz jeden w życiu zdecydowawszy się ożenić, dostał kosza od swej wybranej i odtąd nabrał złego wyobrażenia o całym niewieścim rodzie. — Rybę bez ości znaleźć można, nawet więcej niż jedną: na przykład *Petromyzon fluviatilis*, poprostu minóg, z postaci podobny do węża, którego państwo zapewne wszyscy znacie, bo dobrze zamarynowany smaczną stanowi przekąskę i nietrudno go dostać, jako przebywającego w rzekach. Drugą jest *Amphioxus lanceolatus*, niślimka, długa, przejrzysta rybka, podobna raczej do ślimaka, jeszcze prostszej niż minóg budowy. Stanowi ona przejście od zwierząt, mających wewnętrzną szkielet, do zwierząt jego pozbawionych.

I spostrzegłszy na półce kawałek kredy, narysował na ścianie sylwetkę owej niślimki.

— Gdzież ona przebywa, ta ryba bez ości?

— W morzach, Niemieckiem i Śródziemnem — odrzekł. — Co zaś do róży bez kolców...

— Tej może niema na świecie!

— Owszem, jest, moi panowie, jedna róża, która w pewnej epoce swego życia staje się bezbronną. W pewnej epoce tylko, mówię, bo przychodzi na świat z kolcami; ma je nawet obfite, ale już w drugim roku życia je traci. Jest to róża alpejska, *Rosa alpina*.

— Jakże ona kwitnie? Biało czy czerwono? — zapytał malarz. — Bo jeżeli jej szukać mamy, powinniśmy wiedzieć, po czem ją poznać można.

— To prawda, zatem słuchajcie, uważnie: krzak wyrasta na cztery do pięciu stóp; kwiaty ma żywo różowe, czasem aż ciemno karminowo-czerwone ze słabym, delikatnym zapachem; liście pierzaste, szaro-zielone. Nie będę jej rysował, bo podobna do każdej polnej róży. Kwitnie w maju i czerwcu: wątpię, czy ją jeszcze zobaczycie kwitnącą!

Baronet, doznający już od dłuższej chwili niepokoju z powodu opóźniającego się powrotu górali z kareta, zbliżył się do okna i usiłował przebić wzrokiem ciemności. Deszcz prawie ustał. Na zakręcie drogi widać było pochodnie, posuwające się powoli ku chacie, a gdy się więcej zbliżyły, można było rozróżnić sylwetkę karety, za którą toczył się duży wóz góralski.

Ponieważ godzina już była późna, na dworze ciemności coraz większe — i dalsza podróż tegoż dnia, w takich warunkach niemożliwa, prosił sir Edward uprzejmego profesora, aby zapytał gospodyni, czy w bliskości niema wolnego mieszkania, gdzieby można znaleźć na tę noc schronienie.

Na to malarz odezwał się, że sam właściciel tej chaty pobudował o kilka kroków stąd dom dla gości i pragnie wynająć go na całe lato; ale dom ten nie jest jeszcze gotowy, bo niewszystkie okna oszklone, w pokojach pełno wiórów, u drzwi niema zamków, i brak jest wielu nie-



zbędnych sprzętów. Zamienił kilka słów z gaździną i oświadczył sir Edwardowi, że jutro dom będzie zupełnie gotowy, ale dziś jeszcze nocować w nim nie można; że gospodyni oddaje „izbę czarną“, to jest tę, w której się obecnie znajdują, na sypialnię dla panów, a „białą“ po drugiej stronie domu przygotowuje dla milady. Trzeba tam tylko wnieść łóżka i w piecu napalić. Służba pomieści się w nowym domu.

Baronet zgodził się na to chętnie, a malarz jął wychwalać piękne otoczenie chaty i rozległość widoku, jaki się stąd otwiera na góry.

— A gdzie panowie spać będziecie i wasi przewodnicy?

— Przewodnicy wrócą do Zakopanego, a my zamówiliśmy już sobie nocleg na poddaszu, na świeżem sianie.

W chwilę potem „czarna“ izba zapełniła się ludźmi.

Najprzód, ostrożnie próg przestępując, ukazała się milady z synem, czternastoletnim chłopcem, a za niemi służba i górale z gazdą na czele.

Postać pani imponowała pięknym wzrostem, pełnością kształtów, delikatną, starannie pielęgnowaną cerą i wyrazem pańskiej wyniosłości. Wyglądała co najmniej na panującą księżnę, której wyjątkowo przyszło do głowy zabawić się w zwykłą śmiertelniczkę; bo choć jej kapelusz z cienkiego popielatego filcu i jedwabny płaszczyk tego samego koloru, przedstawiały się skromnie, ale brylanty w uszach, wielkości dużego grochu, błyszczały zdaleka jak drobne gwiazdki, łamiąc się w blaski tęczowe.

— Fe, jaki tu zaduch, co za dym! — przemówiła po francusku, bo najchętniej używała tego języka. — Gdzież jest sir Edward?

— Jestem tutaj — odezwał się baronet, postępując ku niej. — Jakże się czujesz, Alicjo? Pewnie przemoczyłaś nogi, wysiadając z karety?

— Nie — odrzekła — bo górale przenieśli nas przez wodę: mnie i Fanny. Ale biedny Davy!

— Czy stało mu się co złego? — spytał zaniepokojony.

— Uparł się iść sam po kamieniach, noga mu się obsunęła i wpadł w wodę. On taki skłonny do kataru... Jerry — dodała, zwracając się do grooma<sup>1)</sup> — otwórz natychmiast walizkę i zmień hrabiemu Davy obuwie.

— Nic nie szkodzi; nie umiera się na katar — odrzekł baronet. — Wstydyby było, żeby taki duży chłopiec kazał się nosić przez wodę, sięgającą do kostek.

Milady przygryzła usta.

— Zdaje mi się, że my wszyscy przypłacimy zdrowiem tę podróż — powiedziała, siadając na krzesle, które jej podano, i wyciągając w kierunku ognia nogi obute w półbuciki ze złoconej skórki. — Cały dzień wczoraj i dzisiaj, deszcz. Co za szkaradny kraj!

— Miałaś czas przyzwyczaić się do deszczów w Anglii — rzekł zimno baronet. — Samej sobie przypisz winę, że się tu znajdujesz. Przypomnij sobie, żem ci to wszelkiemi siłami odradzał.

Słaby rumieniec wystąpił na twarz lady Alicji.

— Twój własny lekarz nawet radził ci twoje ulubione Włochy.

Uwaga ta została bez odpowiedzi.

— Trochę cierpliwości, milady — przemówił pan Walter, którego już znamy, guwerner chłopca. — Kraj jest piękny, zdrowy, a deszcze nie ciągle padają.

Ale milady nie raczyła nawet okazać, że zauważyła te wyrazy. Zaczęła znowu narzekać na zaduch, i zwilżywszy chustkę zawartością flakonika, który jej podała towarzyszka, przyłożyła ją do nosa. W izbie rozszedł się ostry zapach eteru: górale, nie przyzwyczajeni do specyfików tego rodzaju, jeden po drugim zaczęli kichać. Bawił ich wielce widok tych gości zamorskich, więc przyglądali im się ciekawie — a temu, co milady przeniósł przez wodę, śnać musiała się wydać trochę cięższą niż piórko, bo rękawem pot z czoła ocierał.

---

<sup>1)</sup> Chłopiec do posługi (czyt.: grum).

— Czy długo będziemy tutaj odpoczywali? — spytała pani, zwracając się do baroneta.

— Do jutra — odrzekł. — Bardzo mi to przykro, ze względu na ciebie, bo co do mnie, zadowolony jestem z tej gospody. Są tutaj trzej turyści z Zakopanego i mówią, że tam jest bardzo liczny napływ gości; a my nie mamy zamówionego mieszkania.

— Piękna perspektywa! — szepnęła przez zęby.

— Zatem musimy tutaj zanocować. Sama wreszcie zrozumiesz, że niepodobna szukać mieszkania po nocy i w taką ulewę w miejscowości nieznanej.

— Ależ nie można przecie spędzić nocy w tej okropnej izbie! Niech Jerry i Jack wezmą ludzi z pochodniami i szukają! Jest jeszcze dość wcześnie, a niepodobna, żeby nie znaleziono jakiegoś przyzwoitego schronienia!

— Nie — odrzekł sir Edward tonem, niedopuszczającym dalszych uwag. — Zostaniemy tutaj. Gospodarz ma drugą większą izbę i zgodził się nam ustąpić. Kazałem ją przygotować i ogrzać i mam nadzieję, że ci w niej tak bardzo źle nie będzie!

— Dziękuję, sir — rzekła oziębłe. — A pan?

— Ja tutaj pozostanę.

Milady spuściła oczy. Przestała już protestować przeciwko dokonany faktom, tylko jęła się uskarżać na zimno w nogi. Fanny więc, młoda dziewczyna w starannym, lecz pełnym prostoty ubiorze podsunęła jej pod nogi futro z białych angorskich kóz, objęte czerwonym suknem.

— Doktorze — szepnął malarz do towarzysza — gdyby ta chciała mi pozować, zrobiłbym z niej Bonę Sforza. Patrz tylko, co za wymowna niema gra wyrazu twarzy! Wrodzona gwałtowność, powściągnięta siłą woli i jakby jakąś ukrytą pobudką, mającą cel określony i wyrozumowany. Twarz interesująca nie tylko dla malarza, ale i dla psychologa.

— Ja tak głęboko nie sięgam, widzę tylko okazały typ anglosaski.

— O nie, nie, to nie jest Angielka, przysięgłbym! Angielki nie noszą klejnotów w podróży, a przytem akcent jest czysto francuski.

— Davy, moje dziecko, czy ci nie zimno? — przemówiła milady, szukając oczyma syna, który zmieniawszy zamoczone obuwie na białe filcowe pantofle, zbliżył się także do ognia.

— Nie, mam — odrzekł, rzucając lękliwe spojrzenie w stronę dziadka — ale jestem zmęczony i głowa mnie boli.

A nachyliwszy się do ucha matki, szepnął tak, żeby sir Edward nie słyszał:

— Widziałem, że szykują dla nas pokój tam, po drugiej stronie. Chciałbym, żebyśmy stąd jak najprędzej wyszli. Tak tu duszno!

— Dziadek pewnie każe ci spać przy sobie — odrzekła cicho...

Davy był dużym chłopcem, bardzo podobnym do matki, z tą jednak różnicą, że matka była piękną, a syn niemal brzydki. Rysy wprawdzie miał kształtne, ale oszpecone wyrazem znudzenia. Twarz duża, pełna, nawet nieco za pełna, bladawa była i jakby nalana, a oczy nieco podpuchnięte. Jasne włosy, wchodzące w odcień rudawy, były tak długie, że aż spadały na ramiona w miękkich zwojach — a z ich regularnego układu łatwo odgadnąć było można, że się znały z żelazkiem. Czarna aksamitna kurtka z wyłożonym płóciennym kołnierzem i spodnie obcisłe z tego samego materiału uwydatniały ciężkość i niezgrabność jego ruchów. Na głowie miał berecik.

— A ten okaz, czy także przyda ci się do obrazu? — spytał doktor malarza, wskazując oczyma chłopca.

— O nie, bardzo mi się nie podoba: takie to jakieś ociężałe, znudzone, a pretensjonalne! Cera chorobliwa...

— Pewnie za dobrze jada i za dużo sypia. Dogadzają mu zanadto i przysposabiają nam, lekarzom, materiały do katarów żołądka, otłuszczeń serca i wątroby. Wyrośnie to

na pasorzyta, przeżywającego dostatki, gromadzone przez kilka pokoleń. Gdyby się dostał w moje ręce, wyładniałby bardzo prędko.

— A to jakim sposobem?

— Kazałbym mu wstawać o świcie i chodzić z nami na wycieczki. Na cały dzień dawałbym mu kawał suchej kiełbasy lub sera z chlebem.

— A pić wcale?

— Wody, ile zechce. Tak przymierając trochę głodem i dużo chodząc, utraciłby nieco tłuszczu, a zyskał na zręczności w ruchach i lekkości; oczy nabrałyby blasku, a cera zabarwiłaby się na różowo.

— Jest tu profesor Strand — mówił dalej baronet do synowej — czy przypominasz go sobie?

Gdy sir Edward wymawiał to nazwisko, profesor zbliżył się do lady Alicji i złożywszy jej głęboki ukłon, wspomniał o swej bytności w Rochdale przed ośmiu laty. Milady przymrużyła oczy, i popatrzyła na niego przez lornetkę, osadzoną na rączce z masy perłowej, na której widniał jej monogram, z drobnych ułożony rubinów. Poznała go raczej po ubraniu, wiszącym na nim, jak worek, po przesuniętym na bok krawacie, niż po twarzy mocno postarzałej — a poznawszy, wyciągnęła uprzejmie rękę.

— Miło mi spotkać znów pana — przemówiła lichą niemczyzną — cieszę się, że będziemy mieli przynajmniej kogoś z dawnych znajomych w tym kraju obcym dla nas zupełnie. Spodziewam się, że będziesz nam pan dotrzymywał towarzystwa.

Profesor, który od czasu otrzymanego niegdyś odkosza, niebardzo lubił rozmawiać z damami, bąknął, że co do towarzystwa nieczęsto będzie mógł służyć milady — bo cel, dla którego tu podążył, ciągnie go do wycieczek w góry. Lady Alicja jęła się dopytywać, co to jest takiego i profesor zaczął znów swoją historję o Branchiopodzie, czego grzecznie słuchała, tłumiąc ziewanie. Jedno takie ziewnię-

cie dostrzegł profesor i to ostudziło jego zapał. Fanny za to, stojąca za krzesłem milady, słuchała uważnie, ale Strand tego nie widział.

— Będziemy mieli oprócz profesora dwóch jeszcze przyjemnych towarzyszy, którzy, mam nadzieję, zechcą nawiedzać nasze progi — rzekł baronet, wskazując na dwóch turystów, i wymieniwszy ich nazwiska, dodał: — artysta malarz i doktor medycyny.

Milady teraz dopiero raczyła zauważyć panów, gdy powstali dla złożenia obowiązującego ukłonu.

— Pan jest doktorem? — pochwyił Davy, zbliżając się do Jakóba. — Ach, to dobrze! Proszę pana, niech pan zobaczy mój język. Jest mi jakoś niedobrze: boli mnie głowa i suche mam ręce. Pewnie się zaziębiłem i będę miał gorączkę!

I wysunął swój długi czerwony język, jak mógł najdalej. Milady poczerwieniała, a sir Edward zawołał z gniewem:

— Wstydz się, Dawidzie! Za daleko posuwasz troskliwość o własne zdrowie. Jakże możesz zaczepiać w ten sposób człowieka, którego widzisz po raz pierwszy i o którym nawet nie wiesz, czy zechce cię leczyć!

— Hrabia Davy użył tylko sposobu witania się, praktykowanego na wyspach Malajskich, gdzie pokazanie sobie nawzajem języków, jest właśnie oznaką najlepszego wychowania — rzekł, śmiejąc się, Jakób.

— Przepraszam... — wyjąknął Davy zmieszany.

— Ja wprawdzie, gdy w Tatry przyjeżdżam, przestaję być lekarzem, a jestem tylko turystą, ale wobec takiego objawu uprzejmości malajskiej, muszę oblec się na chwilę w skórę lekarza. My, Polacy, rzadko widzujemy Anglików, ale wyobrażamy ich sobie jako ludzi wielce oryginalnych... Pan Davy nie zawiódł nas pod tym względem.

Lady Alicji ten koncept niebardzo się podobał, a Davy zmieszał się jeszcze więcej. Jakób wziął go za rękę, do-

tknął puls i, uważnie przypatrzawszy się chłopcu, rzekł z powagą:

— Gorączki ani śladu, a język mógłby być wspaniałym okazem na wystawie higijenczej w Londynie.

— A jednak wilgoć i zmiany powietrza szkodzą mu — odezwała się matka, pragnąca usprawiedliwić zachowanie się syna.

— Nie szkodziłyby, gdybyś go inaczej chowała — powiedział sir Edward tonem, w którym czuć było podrażnienie — ale wmawiasz w niego chorobę, więc uwierzył naprawdę, że jest zagrożony i boi się wszystkiego. Zrobiłaś z niego niedołęgę, potrzebującego ciągłej opieki i usługi, i dochowasz się baby. Tak dłużej być nie może! Dostyc już tego domowego wychowania; od wakacyj pojedzie do szkoły w Eton, albo usunę się od wszelkiej nad nim opieki.

Davemu kręciły się łzy w oczach. Spoglądał z rozpaczą na matkę, jakby spodziewał się, że go obroni — ale matka milczała. Doktor przerwał drażliwą rozmowę, mówiąc, że hrabia Davy istotnie blado wygląda, ale to ustąpi przy wycieczkach w góry i nieodłącznych od nich trudach. Chłopiec skrzywił się na wzmiankę o trudach, bo do żadnych nie był przyzwyczajony, a milady spytała, czy w Zakopanem są do wynajęcia osiołki, lub konie, pod wierzch ułożone. Objaśniono ją, że osiołków niema, ale koni jest dosyć, chodzących doskonale po górskich ścieżynach; doktor jednak wyraził się z naciskiem, że Davemu radzi więcej chodzić, niż jeździć, i że tylko używając dużo ruchu, może nabrać lepszej cery.

— Co pan mówisz o tutejszym klimacie? — pytała dalej. — Czy nie za ostry dla mego syna?

— O to pani może być zupełnie spokojna. Klimat tatrzański nawet dla osób, dotkniętych chorobami dróg oddechowych, wyższość ma nad alpejskim pod względem zdrowotnym — odpowiedział doktor.

— Tam są znaczniejsze różnice między stroną oświe-

coną promieniami słońca — wtrącił malarz — a pogrążoną w cieniu, oraz między temperaturą dnia i nocy. Na górach szwajcarskich podczas nocy w lecie bywa po kilka stopni mrozu, a w Tatrach zdarza się to chyba wyjątkowo, tam przeto więcej jest sposobności do zaziębienia się, niż tutaj,

— Wobec takich warunków ciepłoty, o ileż łagodniejszy jest klimat Tatr, o ile bezpieczniejsze podróżowanie po tych górach — dodał doktor.

— Znajdujemy się więc w nowej Ameryce, gdzie są nieprzebrane skarby zdrowia! — powiedziała z przekąsem. — Dziwna rzecz, że przez tyle wieków nikt o niej nie wiedział, a Szwajcarja słynęła, jak słynie, daleko i szeroko! Któż był tym nowym Kolumbem, co dał ją poznać światu?

— Doktor Chałubiński. On to naprawdę odkrył Zakopane: bo chociaż przed nim przyjeżdżali tu ludzie, żądni pięknych i silnych wrażeń, on dopiero ocenił własności lecznicze tych gór, rozmiłował się w Tatrach i zaczął przysyłać tu chorych.

Podczas gdy państwo zajęci byli rozmową, służba myślała o posiłku. Jack, kucharz lady Chester, personat okazałej postawy, porozumiewszy się na migi z gaździną i uzyskawszy od niej jaja, mąkę i masło, przypasał biały fartuch, który miał zawsze w swym worku podróżnym wraz z najniezbędniejszymi przedmiotami. Na głowę włożył czapkę śnieżnej białości, jako oznakę swego dostojęstwa, i zabrał się do pełnienia urzędu z taką samą dokładnością i powagą, jakby się znajdował w zamku Rochdale. Jerry zaś, mały, zwinny jak wiewiórka, groom baroneta, odsunął stół od ściany i nakrył go białym irlandzkim obrusem; następnie przyniósł do izby puzdro skórzane z mosiężnem okuciem i wydobyl zeń srebrne wyłacane sztuce i talerze, pięknie cyzelowane i zdobne w herby i monogramy. Górale pootwierali usta z podziwu, bo od czasu, jak słynny Janosik chodził na zbój i łupił kupców węgierskich, nie



widziano tu tak wielkiego bogactwa! Jerry wydobył także kieliszki, ustawił starannie na stole, położył biały chleb, masło, pasztet, postawił butelkę xeresu i podał na półmisku gorący omlet z szynką.

Sir Edward, spojrzawszy na stół przelotnie, kazał powiększyć liczbę nakryć i współtowarzyszów uprzejmie do wieczery zapraszał; ale wymówili się wszyscy strudzeniem, oraz potrzebą spoczynku i opuścili „czarną“ izbę wraz z góralami, których odesłano do domu.

Gdy przechodzili przez sień, drzwi były szeroko otwarte do izby „białej“, w której naprędce urządzono wygodną sypialnię. Malarz przystanął w progu na chwilę. Była to ozdobna świetlica, stanowiąca niejako miejsce odświętne, gdzie składano przedniejsze sprzęty i ubranie, a może i chowano pieniądze, bo małe jedyne okienko opatrzone było grubą żelazną kratą. Wszystko tam lśniło czystością; kredens był misterniej wyrzynany; listwa ozdobniejsza, na pięknych kroksztynach, miała u dołu kołki do wieszania odzieży — a za poręczą listwy widniały ustawione obrazy świętych o barwach jaskrawych, niezbyt dawno nabyte, jak to widać było po połysku złoconych ram. Pomiędzy obrazami rozsiadł się wspaniały pas bacowski, mosiężnymi nabijany gwoździkami, a nad nim stary zardzewiały nóż zbójnicki, utkwiony ostrzem w belce. Na środku stał oryginalny stół z jaworu na szeroko rozstawionych nogach, a pod oknem stare, poczerniałe od starości skrzynie, na kółkach, całe malowane zielono, w czerwone i białe kwiaty. Pod ścianą ustawiono szerokie łóżko z drzewa bukowego z trzema wyrzezanymi w głowach liljami, napuszczanymi farbą.

Fanny, towarzyszką milady, wraz z gaździną krzątały się po izbie. Wniesiono olbrzymie kufry, wydobyto wykwinną pościel, porozkładano na ziemi kobierce, pozatykano mchem przeziory<sup>1)</sup> w ścianach. Przy łóżku ustawiono

---

<sup>1)</sup> Otwory.

składaną podróżną gotowalnię, przy której nie brakowało nawet srebrnych lichtarzy. Surowe cokolwiek kształty świetlicy poweselały od tego zamorskiego komfortu i od ognia z gałęzi smrekowych, trzaskającego na kominie. Na płycie gotowalni stała maleńka spirytusowa maszynka, paląca się bladym niebieskim płomykiem. Do srebrnego naczynia wlała Fanny kilka kropel z flakonu i rozszedł się delikatny, subtelny zapach modnych chińskich perfum *Ylang ylang*.

Malarz wzruszył ramionami.

— To już czysta herezja! — szepnął. — W kraju, gdzie na kominie płoną wonne smreki, gdzie ściany chat pachną równie pięknie, jak ściany indyjskich świątyń, sandałowem wykładane drzewem; w kraju, gdzie powietrze, przesycone ozonem, jest tak orzeźwiające, jak nigdzie w Europie, zanieczyszczać je chińskimi paskudztwami! Coby na to Matlakowski powiedział!

---

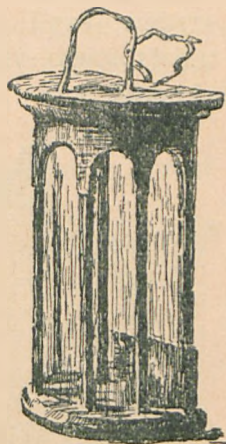
Trzem turystom dobrze było na „naizbiu“<sup>1)</sup>, na sianie, okrytem derami. Gazda nie dał im świecy, ani lampki, bo to niebezpiecznie pod dachem z gontów, wobec nagromadzonego obficie palnego materiału, ale zawiesił im na haku latarnię w drewnianej obsadzie, której dziwnie proporcjonalne kształty były wymownem stwierdzeniem tego, co profesor mówił baronetowi o poczuciu proporcji i harmonji u tatrzańskiego ludu. W latarni płonął kaganek podobny do tych, z jakimi jeszcze w rzymskich chodzono katakumbach: żelazne z olejem naczynie, a w niem szmatka, zastępująca miejsce knota. Światło padało wprost na sąsieć, dużą, oryginalną skrzynię do mąki, ozdobnem pokrytą cyfrowaniem. Malarz głośno powtórzył teraz zdanie, wypowiedziane już przez doktora Matlakowskiego, że tylko

---

<sup>1)</sup> Na poddaszu.

w Pompei znaleźć można takie rozlanie form piękna na przedmiotach codziennego użytku, jakkolwiek tutaj bardzo skromny materiał do tego służy, bo nie marmur, ani bronz, tylko drzewo!

Profesor Strand nadmienił, że baronet chce kupić łyżnik dla Muzeum Brytańskiego i rozmowa obracała się znowu dokoła Anglika, którego osobistość wszystkich zaciekała. Malarz pokazał towarzyszom szkic tej charakterystycznej głowy w swym notatniku, i obaj uznali, że podobieństwo jest doskonale pochwycone, a twórca szkicu zwrócił się do Stranda z zapytaniem, czy ten jego dawny znajomy jest rzeczywiście takim amatorem kwiatów, że aż z jednego końca Europy jedzie na drugi, szukając róży bez kolców?



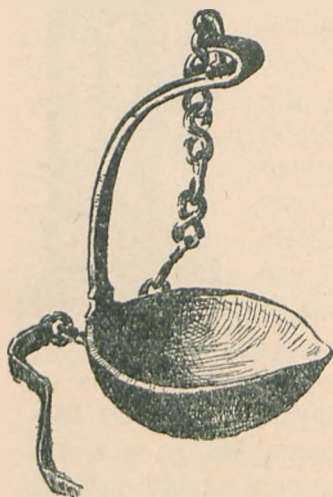
Latarnia.

— Czy jest amatorem kwiatów wogóle, nie wiem — odrzekł Strand po namyśle — ale, że bardzo lubi róże, o tem wątpić nie można. Ma on u siebie w Rochdale wspaniałe *Rosarium*, w którym znajduje się aż pięć tysięcy odmian róż najrozmaitszych.

— Pięć tysięcy odmian samych róż? — zawołał malarz z najwyższem zdumieniem. — Ależ to brzmi jak bajka z Tysiąca i jednej nocy! Nie wiedziałem, że jest na świecie taka liczba odmian jednego rodzaju botanicznego. Co za bogactwo!

— Jest to oddzielna część ogrodów, zajmująca ogromną przestrzeń i otoczona żywopłotem z głogu. W czasie mej bytności w Rochdale cały ten płot był w rozkwicie. W *Rosarium* znajdują się róże wszystkich niemal krajów świata, niejednakowej natury. Czołgają się tam one przy ziemi, pną się po kratkach, zdobią krzewy, płaczą na pniach, albo dumnie wnoszą wspaniałe korony. Od drobnych kwiatków róży bukietowej *Rosa Polyantha*, aż do olbrzymów *Paul*

*Neyron*, których kwiaty dochodzą średnicy spodków od filiżanek, wszystkie się tam znajdują. Rosną tam one podłużnymi pasami, podług barw, a każda barwa składa się z kilku rzędów, czyli odcieni, począwszy od najmocniejszego do najłagodniejszego. Barwy zlewają się z sobą nieznacznie, przechodząc jedna w drugą, i wyglądają niby tęcze, zwłaszcza



Kaganek.

gdy się na nie patrzy z pewnej wyniosłości. Ja właśnie patrzyłem z takiego wzniesienia, ze stojącej na wzgórzu pięknej stożkowej altany, pokrytej pnąciami różami, dokąd mnie sir Edward zaprowadził, prosząc, żebym rzucił okiem dokoła. Gdy spojrzałem na to królestwo róż w całym jego przepychu i wspaniałości, przypomniały mi się naprawdę bajki Szecherezady. Począwszy od kwiatów ciemno czerwonych, prawie czarnych, z aksamitnymi płatkami idzie kolejno cała gama kolorów aż do białej. Cudowne są pasy róż złocistych, herbacianych, zlewają

się z bladoróżowemi przez różę *La France*, której płatki mają obu tych barw odcienie. Prześliczne są też pasy róż paskowanych i nakrapianych. Możecie panowie sobie wyobrazić, co za zapach jest w tem królestwie róż, gdy przyjdzie pora kwitnienia! Już zdaleka podróżny czuje, że zbliża się do Rochdale! Gatunki i odmiany, nie wytrzymujące klimatu angielskiego, są hodowane w cieplarniach, dotykających pokojów zamkowych.

— Jestże to tylko pańska fantazja, czy manja dziwaka? — zapytał doktor.

— Może prawdziwe zamiłowanie, złączone z celem praktycznym — zauważył malarz.

— Sir Edward jest naprawdę wielkim róż miłośnikiem — rzekł Strand — ale szkółki jego Rosarium dostarczają róż całej niemal Anglii.

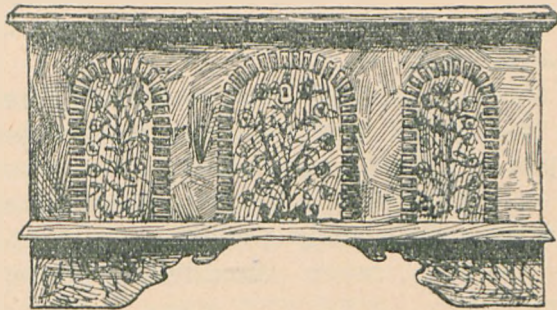
— To się zowie połączyć przyjemne z pożytecznym — zadecydował doktor. — Teraz już mniej się dziwię, że szuka w Tatrach róży bez kolców.

— A jednak... — zaczął profesor i uciał nagle.

— Co takiego? — zawołali obaj jednocześnie, uderzeni szczególnie to-  
nem jego słów. —  
Co pan masz na  
myśli?

— Eh, nic... —  
odrzekł, zbywa-  
jąc — tak sobie...  
powiedziałem bez  
znaczenia.

Doktor, trzyma-  
jący ciągle w rę-  
ku notatnik z syl-



Skrzynia.

wetką głowy sir Edwarda, odezwał się po chwili milczenia:

— Ten pański baronet musiał się wychowywać zagranicą.

— A to dlaczego? — zapytał Strand zdziwiony.

— Akcent jego nie jest czysto angielski.

— Co za przywidzenie!

— Znam ten język, przebywałem czas jakiś w Anglii...  
Gdy mówi, czuję w dźwiękach jego głosu coś nieokreślonego, coś... że się tak wyrażę, obcego. W mowie rodowitych Anglików przeważa ton gardłowy; akcentują oni ostro, wydatnie, jakgdyby jedną zgłoskę od drugiej odrywali, całość więc brzmi szorstko, chropowato, a mowa baroneta jest gładka, dźwięki nie tak silnie z gardła wyrzucane.

— Zdaje się, że lata dziecinne spędził w Szkocji... — wtrącił Strand.

— Ja tam na takich subtelnościach lingwistycznych się

nie znam — powiedział malarz — więcej mnie interesuje strona moralna człowieka, niż jego akcent. Nic o nim nie wiem, ale z mej własnej obserwacji dzisiejszej wnoszę, że nie sypia na różach, chociaż ma ich tysiące.

— Czemu? Jeżeli pan przypuszcza, że miewa noce bezsenne, to może właśnie dlatego, że śpi na różach.

— Róże mają kolce... i za bardzo pachną...!

— Więc nie trzeba się dziwić, że szuka róży bez kolców! — mówił dalej malarz. — W życiu jego rodzinnem też muszą tkwić kolce... Zdaje się, że dziad niebardzo lubi swego wnuka.

— To nie jego wnuk — odrzekł Strand.

— Jakto! Czyż owa lady nie jest jego synową? Sam pan to przecie powiedziałeś.

— Tak, ale syn baroneta, Ryszard, ożenił się z wdową, a Davy miał wtedy dwa lata.

— Aa... zatem potomstwa w prostej linii sir Edward nie ma?

— Nie... synek sir Ryszarda, a prawdziwy wnuk baroneta, umarł nazajutrz po urodzeniu.

— Gdzież przebywa sir Ryszard?

— Nie żyje od dziesięciu lat. Zranił się śmiertelnie na polowaniu, gdyż nabój fuzji w rękę mu eksplodował.

— Czy lady Alicja ma własny majątek?

— Jest prawie uboga. Posiada tylko rentę dożywotnią, którą jej baronet wypłaca; ale zdaje się, że niema między nimi sympatji. Przyczyna leży, o ile wymiarkowałem, w różnicy ich poglądów i sposobie, w jaki wychowuje syna. Wyborny system angielski, polegający na hartowaniu ciała i uprawianiu wszystkich sportów, nie trafia do jej przekonania. Ma swój własny system, polegający na dogadzaniu mu we wszystkim. Zdarza jej się często słyszeć od teścia przykre uwagi, z których wprawdzie nie korzysta, ale które znosi cierpliwie. Krępuje się ona bardzo wobec niego i chciałaby go zjednać dla swego syna; bo jeśli stary baronet nie

zrobi go swoim spadkobiercą, niewiadomo, komu dostanie się ten olbrzymi majątek!

— Czyż sir Edward nie ma bliższej rodziny?

— Nie; jest podobno jedynym rodu swego przedstawicielem.

— Cała historia, mogąca dostarczyć przedmiotu do powieści! Nawet intrygę nie trudno byłoby zawiązać w takich warunkach — szepnął doktor. — Mówiąc między nami, lady nie jest bardzo przyjemna ze swym słodko kwaśnym humorem.

— Ani jej syn.

— Ale powiedz mi pan, skoro znasz tę rodzinę, kto jest ta młoda, piękna dziewczyna, którą milady z sobą przywiozła? Jest to panna służąca, czy towarzyszka?

— Wygląda raczej na towarzyszkę — odezwał się malarz — a lady Alicja przyjmowała jej usługi w taki sposób, jakgdyby była jej służącą.

— Młoda dziewczyna... młoda dziewczyna... — powtarzał Strand, szukając w pamięci; zajęty bowiem swoim Branchiopodem, nie zauważył jej wcale. — A tak, istotnie, hm, doprawdy... pewnie służąca.

— Milady nazywała ją „Fanny“. Słuchała ona z uwagą pańskiego opowiadania o Branchiopodzie.

— Doprawdy? — zdziwił się profesor. — Czekałże pan: Fanny, miss Fanny, tak... przypominam sobie. W Rochdale było małe dziewczątko tego samego imienia, jakaś uboga krewna... Fanny... tak, to niezawodnie ona; a ja jej nie poznałem, do licha! i nie ukloniłem się nawet.

Zapanowało milczenie. Profesorowi oczy już do snu kleić się zaczęły, malarz także się nie odzywał. Deszcz i wiatr ustał i cisza zapanowała na dworze. Szmątka w latarni dopalała się i wkrótce miała zgasnąć, bo oleju zabrakło. Jakóbowi nie chciało się spać jeszcze. Zaprzagnął wypalić papierosa, ale tutaj, na sianie nie godziło się nawet myśleć o tem. Zsunął się cicho po drabinie nadół i wyszedł na dwór.

Drzwi jeszcze nie były zaparte i gaździna, cicho stąpając, przносиła z sieni jakieś rzeczy i statki na boisko, gdzie nocować miała wraz z gazdą, strykiem i pastuchem od bydła. Sięgnął do kieszeni od kamizelki, ale nie znalazł w niej zapalek i przypomniał sobie, że je zostawił w „czarnej“ izbie, na oknie, przy którym siedział.

W izbie świeciło się jeszcze i nawet okno teraz było otwarte. Zdaleka widział swoje pudełko zapalek — wystarczało wyciągnąć tylko rękę. Chwilę namyślał się, czy iść po nie — i postanowił iść, przeprosiwszy sir Edwarda.

Zbliżył się do okna: Walter i Davy spali na ławach, pookrywani pledami, a łóżko, przygotowane dla baroneta, było jeszcze nietknięte. Sir Edward chodził po izbie bardzo zamyślony, z rękami założonemi wtył, a czoło jego przecinały gęste fałdy.

— Jakiś robak go gryzie... — pomyślał doktor i zatrzymał się.

Baronet przystanął, wziął lichtarz ze stołu i, przyświecając sobie, jął przypatrywać się obrazom, rozwieszonym na ścianie. Na honorowym miejscu wisiał niewielki obrazek na szkle malowany, przedstawiający słynnego Janosika z jego towarzyszami. Wszyscy strojni w wysokie kołpaki, ozdobione piórami, mieli włosy spadające na ramiona. U jednych z przodu wisiały długie loki po obu stronach twarzy, u drugich zamiast loków dwa warkoczyki. Główny bohater, przedstawiony w powietrzu w chwili jakiegoś nadzwyczajnego skoku, prawą ręką strzelał z pistoletu do wierzchołka drzewa, a w lewej trzymał butelkę. Na ziemi stał kocioł naładowany dukatami. Sir Edward przypatrywał się z zajęciem malowaniu wielce pierwotnemu, acz wykonanemu starannie, z widocznym usiłowaniem wiernego odтворzenia szczegółów, i uśmiechnąwszy się, posunął się dalej. Były tam tandetne, jaskrawe roboty z niemieckimi podpisami: Chrystus ukrzyżowany, święty Mikołaj, Matka Boska Ludźmierska, a dalej obraz, nie napotykaný prawie



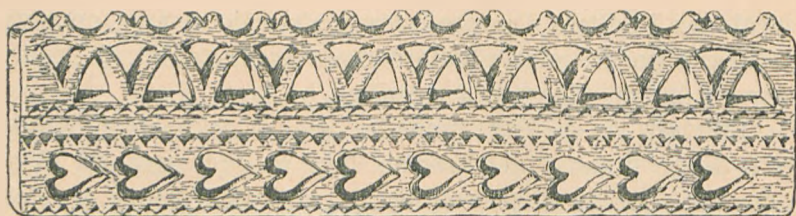
wcale na Podhalu i pochodzący widocznie z daru od przejezdnych gości: niezły kolorowany rysunek Ostrej Bramy, wraz z ludem klęczącym na ulicy.

Lichtarz ze świecą zachwiał się w ręku sir Edwarda. Stał długo przed tym obrazem, nie mogąc oczu od niego oderwać, potem niepewną ręką postawił lichtarz na stole i opadł ciężko na krzesło. Wzrok jego utkwiony przed siebie, był zmacony, jakby zaleźniony; cała postać przygarbiła się, skurczyła i zmałała. Moznaby powiedzieć, że zawiął zdaleka wicher i poderwał korzenie dębu, stojącego jeszcze przed chwilą mocno i niewzruszenie.

Doktór nie szukał już zapalek; odszedł w głębokiem pograżony zamyśleniu.



Nóż zbójnicki.



### III.

## WE MGLE.

*Świat owionęła mgła biała:  
Już trzy dni w górach deszcz pada.*

*Felicjan: Odgłosy z gór.*

Mgła była tak gęsta na dworze, że szyby w oknach, choć przezroczyste, wyglądały jak matowe. Cztery słabo rysujące się przed oknami cienie, pozwalały zaledwie zgadywać, że to są drzewa, a z cienia, załamującego się pod kątem prostym koło domu, domyślać się tylko było można, że to jest coś w rodzaju ogrodzenia — co jednak zostawiało niejakię wątpliwości.

— Co za brzydki kraj! — myślała panna Katarzyna, patrząc w okno z niezadowoleniem. — Siedzimy we mgle, zupełnie odcięci od świata, jakby uwięzieni. Moje biedne dzieciaki, co tak marzyły o górach i cieszyły się, że będą chodzić na spacer, muszą siedzieć w domu!

Panna Katarzyna, zwana „babunią Kasią“, mogła mieć lat przeszło sześćdziesiąt, których większa część pewnie upłynęła jej w ciężkich okolicznościach — jak świadczyła siatka zmarszczek i dwie głębokie brózdki, od oczów idące ku ustom, ściągniętym w jakiś bolesny wyraz. Włosy miała siwe, gładko na skroniach przyczesane, i jasno-niebieskie poczciwe oczy, przez które wylewała się dobroć. Suknia wełniana, okrywająca jej szczupłą, drobną, przygarbioną po-

stać, wyszła z mody przynajmniej od lat dziesięciu i nosiła ślady długiego użycia, choć była starannie wyczyszczona i pocerowana.

Westchnęła i zadumała się, co to będzie, jeżeli mgła potrwa jeszcze z tydzień, ale dumanie nie trwało długo. Posłyszała męskie kroki na ganku, potem w sieni, wreszcie delikatne do drzwi pukanie.

— Proszę — odezwała się, zaciekawiona, ktoby to mógł być, bo nie mieli jeszcze znajomych w Zakopanem.

Drzwi otworzyły się i wszedł młody blondyn w okularach, z twarzą otwartą, sympatyczną i małemi jasnemi wąsikami, którego już widzieliśmy w chacie na Starej Polanie — a kłaniając się z uszanowaniem, przemówił:

— Szanowna pani daruje, że ją tak nieproszony nachodzę, ale dowiedziałem się dziś od księdza proboszcza o przybyciu pani do Zakopanego i pragnę przypomnieć się jej pamięci.

Zamilkł na chwilę i jakby czekając na coś, dodał:

— Czy pani... nie poznaje mnie?

Panna Katarzyna słuchała uważnie przybyłego, bystro mu się przypatrując, jakby szukała czegoś w pamięci, i przemówiła z zakłopotaniem:

— To jest... tak... coś, niby znajomego, ale doprawdy... nie mogę sobie przypomnieć. Może łaskawy pan... pomylił się...

— Widocznie zmieniłem się bardzo,.. Muszę więc pamięci szanownej pani dopomóc. Zna pani wieś Łomiska, sąsiadujące z Miratyczami, w okolicach Świtezi?

— Jakżebym znać nie miała! W Łomiskach mieszka nasz stary, dawny przyjaciel, Mineyko... Ach — dodała, patrząc nań bystro — czy pan czasem nie jesteś jego synowcem, Kubusiem, co przyjeżdżał z Warszawy na wakacje?

— Tak jest — dodał, całując serdecznie jej rękę. — Jestem tym samym Kubusiem, co tak przepadał za suszonymi śliwkami na słomianych rożenkach, któremi mnie pani

zawsze obficie częstowała. Rad jestem serdecznie, żem panią tu spotkał i mogę z nią o swoich stronach nagadać się dowoli.

— I ja się bardzo cieszę — odrzekła, całując jego głowę i patrząc nań pocziwemi, lekko zamglonemi w tej chwili oczami. — Jak też to Kubuś, chciałam powiedzieć, pan Jakób... wyrósł, jak zmężniał! Słuszny kawaler! Mówiliśmy często o tobie z twoim stryjem. Jakże ci się tutaj wiedzie?

— Nieźle: skończywszy swoje studja medyczne, zostałem doktorem.

— Mówił nam to twój stryj.

— Zajmuję się więc praktyką lekarską, a w chwilach wolnych nauką. Pracuję nad „Historją medycyny w Polsce“, która wkrótce drukować się zacznie. Tymczasem zrobiłem sobie wakacje na kilka tygodni i bawię się, zbierając zieleń roślin górskich.

— No, patrzcie, moi państwo — mówiła panna Katarzyna — anim się tego spodziewała! Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem... Siadajże mój Kubusiu, chciałam powiedzieć, panie Jakóbie. Jak się to dzieci ucieśszą! Henryczku, Marysiu, chodźcie! Mamy gości!

— A pan Marcin jak się ma, czy zdrow? — zapytał młodzieniec.

— Trzyma się jeszcze jako tako — odpowiedziała — ale bardzo skruszał. Zjadły go troski i strapienia, swoje i cudze!

Dzieci zjawily się na wezwanie; ośmioletnia dziewczynka i chłopiec, którego już nie można było nazwać dzieckiem, bo wyglądał na lat przeszło czternaście. Przywitanie się i zapoznanie się pod wpływem serdecznych słów panny Katarzyny nastąpiło bardzo prędko. Pan Jakób przypomniał Henryczkowi, że go dawniej widywał i chodził nawet z nim razem po lasach i polach; tylko siostrzyczki jego nie znał wcale, bo nie było jej jeszcze na świecie, gdy ostatni raz odwiedzał Miratycze.

Przypatrywał się jej teraz uważnie i z zajęciem. Dziewczynka była bardzo szczupła i wątła: miała owalną przezroczystą twarzyczkę, przypominającą obrazy znakomitego malarza francuskiego, Greuza, odznaczające się nadzwyczajną delikatnością pędzla i wdziękiem malowanych główek. Ciemne, bujne włosy, splecione w jeden warkocz, niebieską przewiązany wstążką, spadały jej na plecy, a wielkie czarne oczy przysłonięte były długimi rzęsami, od których padający cień sprawiał, że twarzyczka wydawała się jeszcze bledszą. Chwilami pod wpływem silniejszego wrażenia, uderzały na nią słabe rumieńce, a wtedy siatka żyłek niebieskich uwydatniała się na skroniach.

Z ciekawością przypatrywała się ona nieznanemu panu, którego babcia знаła, i odrazu zaczęła go traktować po przyjacielsku. Opowiedziała mu, że góral przyniósł jej parę królików, i że ich posiadanie uszczęśliwia ją niezmiernie.

W zachowaniu się chłopca widać było, że występował wobec dziewczynki w roli opiekuna. Wyrosły bujnie, może zbyt bujnie jak na lat czternaście, miał wobec niej przewagę starszeństwa, siły, zdrowia i rozumu. Niebieskie jego oczy patrzyły śmiało i pogodnie, niemal wesoło, szlachetne rysy twarzy tchnęły prostotą, a gęsta, falująca nad czołem czupryna nadawała mu coś junackiego.

Rozmawiano o sprawach najbliższych sercu pana Jakóba, o znajomej mu okolicy, a potem z kolei zwrócono się do chwili obecnej. Panna Katarzyna bardzo narzekała na Zakopane.

— Tyle się nasłuchałam o niem pochwał od tych, co tutaj przyjeżdżali — mówiła — takie opowiadano o tej krainie cuda, że choć nie lubię wyruszać z domu i od lat dwudziestu nie wyjeżdżałam dalej, jak do kościoła i w sąsiedztwo, jednak zgodziłam się chętnie na tę podróż, gdy pan brat mi ją zaproponował, bo chciałam te cuda ujrzeć na własne oczy. Tymczasem jestem już trzeci dzień i wcale gór nie widziałam.

Pan Jakób chciał odpowiedzieć, ale staruszka mówiła dalej z żywością:

— To nasz doktor wszystkiemu winien: tak zachwalał Zakopane, że wszystkim u nas w domu głowy pozawracał. Brat mój ciągle potem o Tatrach tylko myślał: a gdy jeszcze i sędzia K., któremu on wierzy tak, jak księdzu proboszczowi, wspomniał nawiasowo, że klimat górski byłby dobry dla Marysi, wyprawił nas tutaj, choć przyszło mu to z wielką trudnością. Czasy po wsiach zmieniły się... Kubuś wie... i gospodarstwo nie daje nawet części tego, co dawniej!

Westchnęła.

— Co się wyda na Zakopane w tym roku, to się oszczędzi później na lekarstwach — odrzekł Jakób. — Bardzo rad jestem, żeście tu państwo przyjechali.

— Ale ja nie jestem rada: od chwili, gdyśmy wsiedli na wózek, deszcz ciągle pada! I to nie taki porządny, jak naprzykład u nas, co się wyleje jak z cebra, popada czas jakiś i ustanie; ale drobny, a ciągły, a gęsty, jakby jaka zasłona. Nie widzieliśmy przed sobą nic oprócz koni... Ale, co ja mówię, nic! Z jednej i drugiej strony była przepaść.

Doktor uśmiechnął się.

— Wiem, wiem — rzekł pobłaźliwie — znam tę drogę.

— Jezus Marja! — myślę sobie. — Jak się tu wóz razem z nami w przepaść stoczy, tak śmierć! Włosy mi stanęły na głowie: zamknęłam oczy i zaczęłam odmawiać modlitwę do świętej Katarzyny, mojej patronki.

— A czy dzieci bardzo się bały?

— Zwyczajnie jak dzieci; bawi je każda nowość. Henryś zawsze udaje zucha: za młody jest, żeby rozumieć niebezpieczeństwo, a Marysia znów bardzo lubi jeździć: mieszkalaby na wózku, gdyby mogła. Góral też potem rozwiązał sznur, podtrzymujący płótno wozu i opuścił je na boki, bo bardzo zaciekawo i połowa sukni mi zamokła. Ale ja

myślę, że on to zrobił dlatego, żebyśmy drogi nie widzieli. Odtąd nie wiedziałam już, co nam grozi: modliłam się tylko i zdałam wszystko na Opatrzność!

Jakób z uśmiechem patrzył na mówiącą, której twarz łagodna, dobrotliwym zawsze nacechowana wyrazem, mocno była teraz poruszona opisywaniem przebytych przygód. Z tonu głosu i przejęcia, z jakim mówiła, widać było, iż pewna jest, że cudem tylko uniknęła śmierci. Niebieskie jej oczy były prawie wylęknione.

— Niech mi szanowna pani wierzy, że podróż z Chabówki do Zakopanego nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa — odpowiedział tonem perswazji. — Droga bita, doskonale utrzymana: jedzie się po niej jak po stole, a przytem wozy zaopatrzone są w hamulce. Gdyby nie ten deszcz, który gęstą płachtą zasłonił widok na obie strony, przekonałaby się pani naocznie, że przy drodze niema żadnych przepaści.

— Ale co mi Kubuś mówi! — przerwała z pewnem rozdrażnieniem. — Widziałam na własne oczy przepaście okropne, a w jednym miejscu, coś w połowie drogi między Chabówką a Nowym Targiem, o mało nas wicher razem z wozem nie strącił zgóry nadół. Wicher, powiadam ci, zaczął dąć z taką gwałtownością, że aż płótna powydymane jęczały, a podtrzymujące je obręcze trzeszczały. Smażał nas przytem po twarzy tak ostro, że aż łyzy z oczów wyciskał. Myślałam, że nie wydostaniemy się żywi z tej krainy wichrów.

— Góra, którą pani bardzo właściwie „krainą wichrów“ nazwała, zowie się Obidowa. Jest to stałe mieszkanie wiatrów, nie opuszczających jej nigdy, nawet w najpogodniejsze dni upalnego lata; ale wypadki przewracania wozów rzadko się tam zdarzają.

— Aa, więc zdarzają się jednak! I ten rzadki wypadek mógł się być właśnie nam przytrafić... Gdybym to była naprzód wiedziała, nie ruszyłabym się z Miratycz za nic w świecie! Kubuś się ciągle uśmiecha?

— Bo poznałem już szanowną panią i wiem, że gdyby nie tylko przez krainę wichrów trzeba było jechać, ale przez krainę ognia, pani pojechałaby bez wahania dla zdrowia Marysi.

— Oj, to prawda! — przyznała i dodała tonem przyciszonym: — Kiedy już tak otwarcie mówimy, to przyznam się Kubusiowi... chciałam powiedzieć, panu Jakóbowi...

— Niech będzie Kubuś, bez tytułu: pan — przerwał młodzieniec, całując ją w rękę.

— Ale czyż się to godzi — wzdragająca się — taki słuszny kawaler!... Przyznam się panu Kubusiowi, że ja tam niebardzo za temi widokami... i że puścić się w drogę, była to dla mnie ciężka rzecz! W moim wieku z moim reumatyzmem ma się już swoje nawyki i potrzeby, wynikające ze starości: swój pokój, swoje łóżko, swoje krzesło nakoniec... a tutaj, doprawdy, nie wiem nawet, jak przyjdzie przetrwać dwa miesiące! Proste ławy, twarde krzesła, w łózkach siano zamiast materaców i ani śladu zrozumienia potrzeb ludzi cywilizowanych. To dobre dla górali, ale nie dla gości, chyba tylko dla młodych i zdrowych.

— Mieszkania wygodniejsze są, ale trzeba je naprzód zamawiać i to bardzo wcześnie. Tyle tu ludzi przyjeżdża, że gdyby nawet chaty jeszcze gorzej były zaopatrzone, wszystkieby mimo to wynajęto. Wiedzą to górale i dlatego niebardzo się o wygody gości swych troszczą! Braki, co prawda, wynagradza piękna natura i zdrowe powietrze. Miękkie krzesło dla pani, nawet materace, znajdziemy powoli.

— Mówiłam naszemu gospodarzowi, że mógł być przecie jakieś wygodniejsze siedzenie przysposobić: i wie Kubuś, co mi odpowiedział? „Kto chce dobrze siedzieć, niechaj siedzi doma!“

Jakób rozśmiał się, a panna Katarzyna mówiła dalej:

— A co do widoku, mój Kubusiu, czy to w naszych Miratyczach brakuje pięknych widoków? Jest las, jest je-



zioro, a gdy słońce wschodzi lub zachodzi i przegląda się w wodzie, to jest tak ślicznie, że grzech doprawdy żądać więcej od Pana Boga. Piękna natura!... Na owej górze Obidowej góral powiedział nam, że stąd widać już Tatry i wskazywał biczyskiem przed siebie, ale my widzieliśmy tylko w dali ciemny, a długi płat chmury, nic więcej. Ach, co to była za droga! Płótno się w kilku miejscach rozdarło, a wilgoć i chłód przenikały do kości. Dzieci pytały się ciągle, czy jeszcze daleko do Zakopanego, a góral ciągle odpowiadał: „nie prec“, to niby, że niedaleko. Powtarzało się to tyle razy, że aż mi się naprzykrzyło słuchać. Myślałam, że ta podróż nigdy się nie skończy. Już zupełna noc była, gdy przybyliśmy. Łaska Boska, żeśmy nie zbłądzili.

— Tego wypadku jeszcze nigdy nie było — odrzekł Jakób. — Góral tak zna swoje góry, że zabłądzić w nich nie może, zwłaszcza na bitej drodze. Wyobrażam sobie, jak państwo dobrze spali po tak męczącej podróży.

— Dzieci zaraz posnęły, ale ja nie mogłam. Szum potoku, płynącego tu gdzieś bardzo blisko, nie dał mi się nawet zdrzemnąć. W dodatku miałam nad samem oknem wodospad z deszczowej wody, spływającej po rynnice na kamienne płyty chodnika. Duet ten nie mógł mnie ukołysać.

— Dla mnie to bardzo przyjemna muzyka — wtrącił młodzieniec.

— Już ja za nią dziękuję!

— Bardzo łatwo można się do niej przyzwyczaić. Jestem pewny, że dziś już będzie pani lepiej spała.

— Myśli pan Kubuś, że to koniec? Gdy uszy moje już się nieco oswoiły z łoskotem strumienia i szumem wodospadu, a oczy zaczęły mi się kleić, posłyszałam jednostajny, miarowy odgłos, niby spadających kropli i poczułam, że poduszka moja jest mokra. Zerwałam się, zapaliłam świecę; patrzę, a to z pułapu kapie! Co było robić? Odsunęłam łóżko od ściany, i krople padały już na podłogę, aż ustały nad ranem, gdy i deszcz ustał.

— Dach jest widocznie uszkodzony. Gazda powinien go naprawić.

— Właśnie dziś z rana posłałam po naszego gospodarza, i gdym mu pokazała wilgotną plamę na suficie i strugę na podłodze, i opowiedziałam, że trzeba było aż łóżko odsunąć, odrzekł mi na to: „Wiecie co? a toście dobrze zrobili!“

Jakób roześmiał się znowu.

— Zdumiałam się. Żadnego zakłopotania, powiadam Kubusiowi! Nie przestał ani na chwilę palić swej krótkiej fajeczki; przeciwnie, na twarzy jego był jakiś dobrotliwy uśmiech, jakby pobłażanie dla mnie, że z takiej drobnostki robię wielkie rzeczy! Potem zwróciłam jego uwagę, że w chacie niema najniezbędniejszych rzeczy, że brakuje nawet szafy do sukien, i że jemu o to chodzić przecież powinno, żeby goście byli zadowoleni. Wie Kubuś, co mi odpowiedział? „Takie pudło to mnie ta nie cieszy!“ I jakby stał na stopie zupełnej równości towarzyskiej z nami, zasiadł naprzeciw mnie, na tem tu oto miejscu, gdzie siedzisz i zaczął wypytywać o drogę, o zdrowie nasze, z jak daleka przybywamy i tym podobnie, a w obejściu jego przytem była najzupełniejsza swoboda, a nawet powiedziałabym, że pewne poczucie wyższości, jakby występował w roli opiekuna i protektora. Słychane rzeczy!

— Szanowna pani przywykła do tego, że chłopci kłaniają się do kolan i stają u drzwi nieśmiało; ale tu są inne obyczaje, innemi stosunkami wytworzone od wieków. Tu góral nie zależy, ani nie zależał nigdy od dworu, więc i w zachowaniu się jego niema pokory, a jest natomiast swoboda, pewność siebie i szlachetna godność w obejściu. Jest on u siebie panem i uważa się za zupełnie równego temu, komu wynajmuje dom, a nawet do pewnego stopnia czuje się wyższym, bo tu jest gospodarzem, a my tylko gośćmi. Z pewnym przekąsem nazywa przyjezdnych „panami kieszonkowymi“, podczas gdy on sam czuje się „panem grun-

towym“. Obyczaj odmienny, jaki goście z sobą przynoszą, jest mu równie obojętny, jak ich sposób wyrażania się i ich ubiór, z którego pewnie się śmieje. Góral jest sprytny: rozumie, że przyjeżdżający mają więcej od niego wiadomości o świecie i o tem wszystkim, co się na nim dzieje; ale własne swoje wiadomości uważa za wystarczające dla siebie, a swój sposób widzenia rzeczy, jego zwłaszcza spraw dotyczący, często ma za lepszy od naszego, w czem się rzadko myli. Stąd wynika, że nie obawia się rozmowy z ludźmi wykształconymi, wygłasza zdania śmiało i stanowcze, zapuszczając się nawet w długie dysputy. Pogląd ma przytem jasny, sąd zdrowy, stoi też niezaprzeczenie wyżej od naszego chłopca. Stąd wynika, że taki prosty góral, jak Wojciech Roj, był serdecznym przyjacielem doktora Chałubińskiego, człowieka wielkiego rozumu i olbrzymiej wiedzy.

— Roj, dziwne nazwisko! Czytałam niegdyś powieść Waltera Scotta, pod tytułem: „Rob Roy“.

— Nazwiska góralskie istotnie dają wiele do myślenia — odrzekł Jakób.

— Babuniu! — odezwała się dziewczynka. — Czy babunia wie, jak się nazywa nasz gazda?

— Wiem, Ślimak.

— A żona jego nazywa się z domu Gąsienica. Ślimak i Gąsienica, jakie to zabawne! Prawda, babuniu?

— Ta trzpiotka miała czas już wszystkiego się dowiedzieć — zauważyła panna Katarzyna, a uśmiech słoneczny twarz jej rozjaśnił. — Co za dziwaczne nazwiska! Zoologja tu widzę kwitnie: Kubusiowi, jako przyrodnikowi, pewnie się podobają.

— I pani będą się podobały, gdy powiem, że należą do najwyższej arystokracji góralskiej, jeżeli pod tem mianem rozumieć będziemy dawność rodów. Gąsienicom przywileje posiadania polan w Zakopanem nadał jeszcze król Stefan Batory.

— Któż widział te dokumenty?

— Może je widzieć każdy we Lwowie w aktach grodzkich. Mają też przywileje Topory, Jarząbkowie, Kalatowie: trzeba więc mieć respekt dla nazwisk góralskich. Jest w Zakopanem miejscowość, należąca do rodziny Chramców i nosząca nazwę „Chramcówki“. Wskazówka to, że niegdyś tam stał pogański chrám, i że ten ród góralski z kapłanów się wywodzi, choć nie posiada udowadniających swą starożytność dyplomów.

— To jeszcze nie koniec, babuniu — mówiła Marysia — u Ślimaka i Gąsienicy służy za pasterza Król, zupełnie jak w bajce zaklętej.

— Co też ta mała wygaduje!

— Ależ tak, babuniu, doprawdy! A wie babunia, jak się nazywa góralka, którą gaździna nam naraiła do służby?

— Mów, ty trzpiocie, bo ja wcale nie jestem domyślna: Jagusia!

— Jagusia Papież! Mieszkamy pod jednym dachem z Królem i Papieżem. Czy babunia spodziewała się tego w Miratyczach?

— I przed przybyciem tutaj znajdowaliśmy się w tatarskiej mocy, bo nas przywiózł Tatar — dodał Henryk.

Doktór i panna Katarzyna, spojrzawszy na siebie, roześmieli się jednocześnie, a staruszka, patrząc na rozweseloną twarzączkę dziewczynki, powiedziała:

— Możeby nam tu i nieźle było, gdyby nie ta mgła.

— A wie babunia, jak Papież tę mgłę nazywa?

— No, jak? — spytała z uśmiechem.

— Szmatą, babuniu! Dziś opowiadała Jagusia, jak jej matki krowę „szmata zawinęła i prasnęła dołu na skole“.

— Mój ty dzieciaczku, tak już po góralsku szczebioczesz, że nic nie rozumiem.

— Babuniu — tłumaczył Henryk — Marysia mówi, że krowa dostała się we mgłę, jak w szmatę, czyli chustę, i że ją szmata zrzuciła na kamienie.

— A to malowniczy język! Co się stało dalej?

— Bigos, babuniu! — wołała, skacząc filutka. — Tylko, że go nikt nie jadł, bo „krowę prasło łośńskiej jesieni, a latosiej wiosny juhasy naśli jej kości“.

— Aj ty figlarko! Widzę, że listy do dziadunia gotowaś pisywać po góralsku. Ale bo też tu jesteśmy, jakby na innym świecie — dodała, zwracając się do doktora — jak pod dzwonem ze szkła matowego. Dziś z rana wstaję, patrzę w okno: nic nie widać! Myślę sobie, jak też to długo będzie tej niepogody? i idę zobaczyć, co robi mój kapucyn.

— Kapucyn?

— Ja mam takiego kapucyna, wie Kubuś, co mi zawsze przepowiada pogodę i nigdy się nie myli. Przywiózł mi go z Warszawy pan sędzia. Ten kapucyn, proszę Kubusia, jak pogoda, wychodzi z kapliczki aż do krzyża; a gdy się na deszcz zanosi, naciąga kaptur na głowę i do kapliczki wraca. Wzięłam go tu ze sobą, bo takem się do niego przyzwyczaiła, że bez kapucyna ani rusz! Pierwsza rzecz, jak wstanę, patrzę, co kapucyn robi. I nawet w Miratyczach brat z robotami w gospodarstwie na niego się oglądał, choć miał swój barometr. Otóż niech Kubuś sobie wyobrazi, kapucyn dziś kaptur aż do kolan sobie ściągnął. Podaj-no go, Marysiu, niech pan sam zobaczy.

Jakób parsknął śmiechem na widok tekturowej figurki, którą dziewczynka przed nim postawiła.

— Księżyna widocznie był nieprzygotowany na taką wilgotność powietrza, jaką tu zastał — mówił, przypatrując mu się — więc włożywszy kaptur na głowę z wielkiego zdziwienia, coraz niżej go sobie ściągał. Pani zapewne wie, na czym ten figiel polega?

— Tłumaczono mi, że jest tam struna, która się pod wpływem wilgoci rozkręca, a skręca pod wpływem suszy w powietrzu — odrzekła. — Ale Henryś to ma prawdziwy barometr i też narzeka, że mu się w drodze popsuł. Niech Kubuś sobie wyobrazi, że wskazówka opadła niżej, niż „susza“

stoi: a szkoda, bo to kosztowało kilka rubli i chłopiec się tak cieszył, że będzie mógł obserwować na nim zmiany powietrza i zapisywać swoje spostrzeżenia, bo podobno wszyscy wielcy podróżnicy tak robią.

— Chciałbym widzieć ten barometr — powiedział Jakób.

— Henryczku — rzekła do chłopca panna Katarzyna — pan Jakób zna się na barometrach, przynieś-no swój.

— Ach panie! — mówił Henryk z żalem. — Taki śliczny, nowiutki przyrząd! Dostałem go od dziadka.

Był to średniej wielkości aneroid. Pan Jakób obejrzał go starannie i rzekł:

— Aneroid ten nie jest wcale zepsuty: Henryś przekona się o tem, gdy państwo powrócicie na równiny. Tam wskazówka jego wróci do dawnego zwyczaju.

— Nie rozumiem, Kubusiu. Jakże coś może być dobrem w Miratyczach, a złem w Zakopanem, jeżeli się nie zepsuło! — rzekła panna Katarzyna, wzruszając ramionami.

— Bo podziałka tego aneroidu nie jest zastosowana do górskiego ciśnienia powietrza. Wskazówka opadła tak nisko, że aż przeszła granicę deszczów i suszy na równinach. Zdarzył się tu ten sam wypadek co z kapucynem, nieprzygotowanym wcale na nadmiar wilgoci w górach, która, rozkręcając zanadto strunę, na jakiej go uwiązano, jest powodem, że ściąga swój kaptur aż do kolan.

— Więc to wilgoć jest powodem zmian w barometrach? A pan mówił, że ciśnienie!

— Jedno i drugie. Okresy suszy i spokoju są zwykle rezultatem wysokiego ciśnienia, przeciwnie: deszcze i wiatry powodują niskie ciśnienie. Dlatego zwykle barometr wznosi się na pogodę, a opada na deszcz i burzę.

— A jak mam rozumieć obecnie ruchy mego aneroidu — pytał Henryk — kiedy on już wcale stanu pogody nie pokazuje, choć, o ile zauważyłem, wskazówka także zmienia położenie?

— Znaczy to tylko, że barometr twój, przygotowany dla

równin, dobry jest w tych miejscowościach, gdzie ciśnienie powietrza waha się między 700 a 790 milimetrami; a dla miejscowości wysoko położonych, jak np. Zakopane, gdzie to ciśnienie tylko od 660 do 704 milimetrów wynosi, trzeba zrobić aneroid z odpowiednią podziałką i napisami. Podróżnicy też zwykle używają odpowiednio urządzonych barometrów rtęciowych, które służyć mogą dla każdej miejscowości, a nawet używane bywają do mierzenia wysokości gór z tej przyczyny, iż prawie na każde  $10\frac{1}{2}$  metrów wzniesienia rtęć w barometrze opada na 1 milimetr.

— Szkoda, że o tem nie wiedziałem — rzekł chłopiec — byłbym prosił dziadunia o kupienie mi prawdziwego podróżniczego barometru, zamiast tego, który mi się tutaj na nic nie przyda!

— Barometr taki, mój chłopcze, jest narzędziem kosztownem, a i obchodzenie się z nim nie jest tak łatwe, jak ci się zdaje; wymaga dużo wiadomości i nauki, których ty jeszcze posiadać nie możesz, z barometru więc takiego nie umiałbyś korzystać.

— Czy deszcze tutaj długo trwają? — zapytał chłopiec.

— Rozmaicie: kilka godzin, kilka dni, albo dwa i trzy tygodnie.

— A to piękna pociecha! — zawołała z przestraczem panna Katarzyna.

— Nie pociecha, babuniu, tylko „psota“. Jagusia mówi, że tak górale deszcz nazywają — wtrąciła znów Marysia, dumna ze swych wiadomości.

— A w tej mgle, czy długo uwięzieni będziemy?

Doktor popatrzył uważnie w okno.

— Tego nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że już



Mieczyk  
*Gladiolus.*

niedługo. Niech pani zdobędzie się na trochę jeszcze cierpliwości.

— Przewiduję, że będę jej wiele potrzebowała — odzwała się z westchnieniem. — Czy wie Kubuś, że nie mam najmniejszego pojęcia o tem, w jakim ten dom stoi otoczeniu. Ksiądz proboszcz pisał do znajomego tu księdza, żeby wynajął mieszkanie dla nas pod lasem, i żeby był widok na góry; domyślałam się jednak, że ani jednego, ani drugiego stąd nie widać! Ale się jakoś wyjaśnia, czy uważacie?

— Zdaje się, że będziemy mieli pogodę! — zawołał Henryk.

Dziwne zaszło zjawisko. Dzwon z matowego szkła, jak trafnie się wyraziła panna Katarzyna, nagle tak się rozjaśnił, jakby na niego zgóry padły promienie światła. I widać czarodziejska to była lampa, bo cudowne pod jej wpływem działały się rzeczy. Ściany dzwonu rozszerzyły się, a cienie płotu i czterech drzew stały się rzeczywistością. Wyłoniła się ze mgły łączka z bujnie rosnącym na niej rdestem, dzikim rumiankiem i podbiałem, a za nią zielony owies, gęsto przetykany czerwonym kwieciem mieczyków. Ściany dzwonu rozszerzały się coraz bardziej, a łączka rosła coraz więcej, więcej i więcej... Na łące, jak w bajce, ukazało się kilka chat rozrzuconych malowniczo i strumień, pędem biegnący po kamieniach, a potem ciemne drzewa lasu.

Wszyscy cisnęli się do okna, patrząc ze wzrastającym podziwem, a doktor miał na twarzy wyraz bliskiego a pewnego triumfu.

— Chwała Bogu, że mamy widok na las — odezwała się panna Katarzyna — ale szkoda, że gór nie widać! Z pewnością są w innej stronie. Lasek jakiś młody, niski, ale lepszy taki, niż żaden.

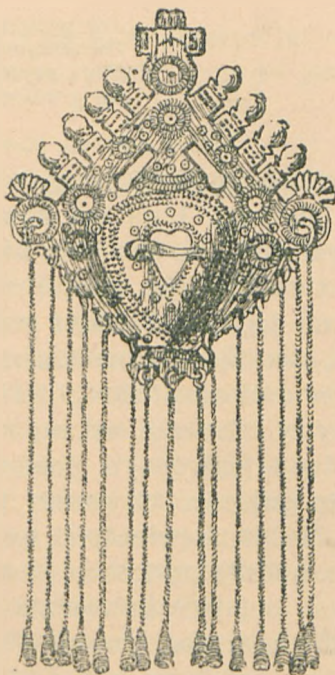
Gdy to mówiła, lasek nagle urósł; ukazały się drzew wierzchołki, a ponad nimi jeszcze wzgórze lasami iglastymi porośłe, a nad wzgórzami pasma gór, ciągle rosna-



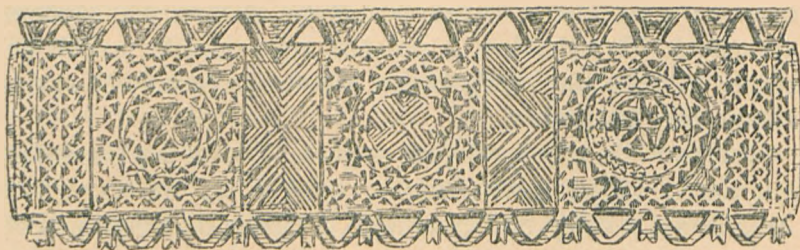
cych na wysokość — aż zakończyły się ostremi, ośnieżonemi szczytami. Niewidzialna, a potężna ręka unosiła powoli zasłone, aż zajaśniał czysty błękit, a nad nim promienie słońca zalały cały krajobraz.

Zapanowała najpiękniejsza pogoda. Ukazał się wspaniały łuk tęczy, której jeden koniec opierał się na wzgórzach Antałówki, a drugi na Gubałówce. Podziw, zachwyt patrzących, były nieopisane. Babunia Kasia pierwsza zawołała:

— Co za cudowny kraj!



Spinka.



#### IV.

### PRZY BLASKU SŁOŃCA.

*Jak potopu świata fale  
Powstrzymane w swoim biegu,  
Stoją nagie Tatry w śniegu  
By graniczny słup, zuchwale!*

*Pol: Tatry.*

Wszyscy wyszli na ganek i patrzyli na amfiteatr gór, wznoszących się piętrami, i na ich kontury, odrzynające się ostro na jasnym błękitcie. Strumień błyszczał jak roztopione srebro — i pieniać się, spadał coraz niżej małymi kaskadami, a szum jego miał jakieś metaliczne dźwięki, niby granie surm, nastrojonych na ton radosny. Łąka błyszczała wszystkimi odcieniami zieloności i bogactwem kwiecia. Był to wzorzysty kobierzec, utkany z bratków, rumianków, dzwoneczków i jaskrów, a pomiędzy nimi gdzie niegdzie, jak złote gwiazdy, błyszczały jasne, połyskujące liście tłuścioszów. Nad temi gwiazdami, na cienkiej, zaledwie widzialnej łądyżce, unosiły się drobne, ciemno-błękitne kwiateczki, niby muszki, bujające swobodnie. Cała dolina nagle zarojła się ludźmi i zawrzała życiem. Ptactwo zabrzmiało hymnem radosnym, wzbijając się pod obłoki. Pasterze wyprowadzili krowy na pastwisko, a dźwięki dzwoneczków, uwiązanych na ich szyjach, i nawoływania napełniły powietrze.

— O tak! — zawołał z zapalem pan Jakób. — Cudowny kraj! Kraj nieustającej wiosny, bo przykrości lata, dające się nam na równinach uczuwać, tutaj prawie nie istnieją. Drzewa jego i łąki są wiecznie zielone; słońce w zimie grzeje jakby w maju, a latem jędrne, chłodne poranki, krzepią zwątlale siły chorych i starców rzeźwiącem tchnieniem. Cudowny kraj, gdzie ludzie przemoknąwszy nie dostają katarów, a mgła i wilgoć, gdzie indziej roznoszące nasiona chorób, tutaj niosą płucom życiodawczy zasilek, bo powietrze tak jest przesycone obfitością ozonu, jak mało gdzie w Europie!

— Przepraszam pana, że przerywam — odezwał się Henryk — ale... co to jest ozon?

— A czy wiesz, co jest tlen?

— Wiem. Tlen jest częścią składową powietrza.

— A więc ozon jest odmianą tlenu, posiadającą wszystkie jego własności chemiczne w wyższym znacznie stopniu. Jest to bezbarwny gaz, charakterystycznego fosforowego zapachu, który zawsze znajduje się w wilgotnem powietrzu po burzy z piorunami, ponieważ powstaje przy wyładowywaniu się elektryczności. Najwięcej go jest w lasach sosnowych, gdzie tworzy się pod wpływem żywicy i olejku terpentynowego.

— Czy ten gaz jest taki zdrowy, że, jak pan mówi: „niesie płucom życiodawczy zasilek?”

— Nietylko zdrowy, ale prawdziwie dobroczynny; wszelkie cząsteczki organiczne, zawieszane w wodzie lub powietrzu, w zetknięciu z ozonem, ulegają spalaniu, czyli utlenieniu. On poprostu pożera bakterje, więc jako środek dezynfekcyjny i leczniczy ma niezmiernie ważne znaczenie.



Tlustosz *Pinguicula*.

W Zakopanem znajduje się go bardzo wiele, a powietrze tu jest czystości nadzwyczajnej. Badał je prof. Bujwid i nie wiele znalazł w niem bakterij chorobotwórczych. Dlatego, gdy w innych krajach ludzie chronią się do domu przed wilgocią, z obawy zaziębienia, tutaj swobodnie używają spaceru. Jest to cudowny kraj, gdzie lud w pięknym, malowniczym stroju, chodzi lekko i wdzięcznie, gdzie ściany chat pachną wanilią, a kamienie fiołkami!

— Kubuś się, doprawdy, w Tatrach rozkochał! — zrobiła uwagę babunia Kasia.

— I państwo się prędko rozkochacie, bo codziennie nowe będziecie odkrywali w nich piękności. Choćby się szanowna pani wcale nie ruszała z domu, zawsze będzie pani miała na co patrzeć, gdyż Tatry co chwila, co godzina w innem ukazują się oświetleniu. W dzień słońce przechadza się po nich ze swą bogatą paletą i na różne kolory je maluje, a w nocy księżyc zachodzi z lampą z coraz innej strony, a i lampa jego także rozmaicie się pali. Tatry niejednego już natchnęły poetę, ale nie będę słów ich przytaczał, bo to nasi poeci, którzy kochają wszystko, co nasze; muszę jednak powtórzyć pani słowa Prusaka, Stephana, dyrektora poczt państwa niemieckiego, który tu w tych czasach przyjeżdżał. Wiersz jego w przekładzie polskim tak brzmi:

„Sterczą Karpaty jak niebios kolumny:  
Lodowy potok łamie skał granity,  
I w kraj Sarmatów czarowny a tłumny  
Zsyła urodzaj bujny a obfity.  
Z ołtarzy skalnych lśni słońce rumiane,  
Harmonją światel śpiące szczyty bieli,  
Królowa niebios wita Zakopane,  
Tę Tatr dziecinę na lasów pościeli“.

— Prusak tak mówi o nas? — odezwała się, kiwając głową ze zdziwienia. — To proszę Kubusia, chyba już świat się kończy!

— Tatry są taką osobliwością — mówił dalej — że znawcy

nie wiedzą, z jakimi je górami porównać na ziemi. Słynny podróżnik i autor, Jerzy Brandes, zwiedziwszy wprzód Alpy szwajcarskie, tyrolskie i austriackie, Pireneje, Sierra Nevada, Sierra Morena i Guadarama, Apeniny, góry szkockie, skandynawskie i greckie, powiedział, gdy przed Tatrami stanął po raz pierwszy, że „takich gór nigdy nie widział i że podobnych nietylko niema w Europie, ale chyba na całej ziemi“. Wprawiły go one w zdumienie i podziw.

— Hm, hm — kiwała głową babunia Kasia. — Nie dziwię się wcale, mój kochany Kubusiu, tylko widzisz, dotąd tak zawsze bywało, że od nas wyjeżdżano zagranicę i zachwycono się tam wszystkim, co tylko napotkano, a o naszym kraju było cicho, jakby makiem zasiał, jakby już u nas nie było godnego widzenia. A tutaj i cudzoziemcy zlatują się... No proszę! Chwała Bogu.

— Tatry, jak oni sami powiadają, są piękniejsze i bardziej malownicze od Alp, bo gdy tam przeważnie są skały pokryte śniegiem, lub stoki roślinnością okryte, nasze Tatry nie tak wysokie, ale dziksze, przeważnie lasami porośnięte, które tak w lecie, jak i w zimie, piękną im nadają zieloność. Dlatego też nazwałem je krajem wiecznej wiosny, bo zieloności tak cudownej, tak świeżej, w tak bogatych jak tutaj odcieniach, nie widziałem nigdzie!

— Ale gdy pan mówił, że ściany tutaj pachną wanilią, to pan żartował? — spytała figlarnie Marysia. — Prawda?

— Żartowałem? Ależ bynajmniej! Czyż nie czujecie delikatnej woni, wydzielającej się z drzewa pod wpływem słońca. Proszę tylko powąchać.

Dziewczynka z niedowierzaniem przyłożyła nosek do parapetu ganku i uderzywszy w dłonie, radośnie zawołała:

— Prawda, wanilja! Bardzo nawet przypomina babki wielkanocne. Dlaczego to, panie Jakóbie?

— Pochodzi to stąd, że drzewo świerkowe zawiera w sobie materję, mającą zapach zbliżony do zapachu wanilji. Jest to tak zwana *koniferyna*.

Panna Katarzyna, której bardzo zaimponowało to, co Jakób mówił o cudzoziemcach, odezwała się:

— Dzieci słyszały coś o Anglikach od naszej gaździny. Podobno jakiś baronet przyjechał z całym dworem: ale ja zaraz powiedziałam, że to pewno bajka.

— Na ten raz bajka jest prawdziwą.

— A widzi babcia! — zawołała z triumfem Marysia.

— Więc to, proszę Kubusia, naprawdę Anglicy?

— I nie pierwsi, łaskawa pani: miewaliśmy już tu Anglików, chociaż nie tak wspaniałych. Anglicy lubią oryginalność, uganiają się za nowemi, nieznanemi wrażeniami, a Szwajcarja i Włochy, których każdy zakątek jest znany aż do znuzenia, już im się uprzykrzyły. Tu ich nęci urok nowości, a Tatry są dla nich ziemią jakby świeżo odkrytą. Nic o nich nie wiedzieli, bo i geografia naszego kraju jest tam przedmiotem prawie wcale nieznanym. Tymczasem teraz gazety angielskie zaczynają rozpisywać się o tej nowej Ameryce, i dają piękne nawet ilustracje, przedstawiające widoki z Tatr. Jest nadzieja, że będziemy tu mieli więcej wyspiarzy.

— Więc ci Anglicy przyjechali tu tylko zobaczyć Tatry, czy też dla kuracji?

— Mają jeszcze inny cel przytem.

— Jaki? — zawołali wszyscy razem, wpatrując się w Jakóba z ciekawością.

— Baronet szuka róży bez kolców.

— Róży bez kolców! — powtórzyła zdumiona dziewczynka. — To taka róża jest na świecie?

— Profesor Strand, znakomity naturalista, utrzymuje, że istnieje; powiedział nam wczoraj nawet jej nazwisko i dał wskazówki, gdzie jej szukać; zowie się *Rosa alpina*.

— A więc Kubuś widział tych Anglików i rozmawiał z nimi? — pytała panna Katarzyna.

— Odpoczywaliśmy właśnie we trzech po wycieczce, w chacie Parzonki na Starej Polanie, gdy oni tam przybyli,

szukając schronienia przed burzą. Zepsuło im się koło u karety i nie mogli dalej jechać. Tam nawet z konieczności zanocować musieli z całym dworem.

— Proszę pana — spytał Henryk — jeżeli ona nazywa się *alpina*, to dowód, że ojczyzną jej są Alpy. Czemuż jej ten baronet w Alpach nie szuka?

Jakób wzruszył ramionami.

— Pańska fantazja! — odpowiedział. — Wreszcie baronet chce się przekonać, jak daleko sięga rozprzestrzenienie tego kwiatka.

— W jakim wieku ten pański baronet? — spytała babunia Kasia.

— Może mieć lat siedmdziesiąt, ale trzyma się doskonale.

— Osobliwy człowiek... w tym wieku gonić za różą!

— Posiada on podobno słynny na całą Anglię zbiór róż przy swym zamku, bo jest wielkim tych kwiatów miłośnikiem; tylko mu róży bez kolców brakuje. Chce mieć zbiór zupełny.

— Czy to bogaci ludzie? — pytała dalej.

— Tak się zdaje, z objętości kufrów i wykwintnych przyborów podróжных, wreszcie z liczby służby, jaką z sobą przywieźli. Profesor Strand zna ich i utrzymuje, że tam jest kolosalna fortuna, tylko baronet nie ma jej komu przekazać.

— A czyż nie ma dziedzica w prostej linii?

— Nie.

— Biedny — szepnęła — szczerze go żałuję. Umierać bezdzietnie to bardzo smutno.

— A może ten baronet szuka skarbów ukrytych w górach, a róża bez kolców jest tylko pozorem dla osłonięcia prawdziwych jego zamiarów, dla odwrócenia od nich uwagi? — wtrącił Henryk. — Czy pan nie przypuszcza tego?

— Skarbów zbójceckich może? — powtórzył, śmiejąc się, Jakób. — O, nie, możesz być tego pewny! Gdyby szukał skarbów, to w takim razie mielibyśmy tu już jakieś Towarzystwo angielskie, rozporządzające kapitałem, zebranych

przez akcje, i spółka ta sprowadziłaby tutaj cały sztab inżynierów i górników. Nie, baronet nie szuka skarbów, jest on dość bogaty; a czy co innego chce tu jeszcze znaleźć oprócz róży, tego nikt nie wie. Zresztą, ludzie mają rozmaite o skarbach pojęcia. Jest tu jeden uczony przyrodnik, dla którego skarbem najcenniejszym jest pewne, bardzo małe zwierzątko, znajdujące się podobno w jednym z tutejszych jezior, bo dla niego tu przyjechał, i zaręczam, że nie oddałby go za trzos złota.

— A pan, panie Jakóbie, czy także szukasz czego?

— Zbieram rośliny lecznicze, z których zielnik sobie układam. Gdybym — dodał, spoglądając z wyraźną intencją na Henryka — do tych poszukiwań znalazł towarzysza, któryby mi w układaniu i suszeniu pomagał, zabrałbym go chętnie z sobą na wycieczkę. Może przypadkiem znajdziemy i różę bez kolców...

— Niech pan mnie weźmie! — zawołał gorąco Henryk. — Będę panu gorliwie pomagał. Ja umiem zbierać i suszyć rośliny. Robiłem to nieraz.

— Niech pan i mnie zabierze! — prosiła, składając ręce dziewczynka. — Ja będę panu wynajdywała najśliczniejsze kwiaty.

— Moje dziecko — odrzekł pan Jakób — botanika nie zna kwiatów pięknych, ani brzydkich. Dla niej wszystkie są godne podziwu, bo wszystkie są cudownym tworem Bożej ręki.

— A mnie starą chcecie samą tu zostawić! — odezwała się babunia Kasia z pewnym żalem. — Weźcie i mnie. Pójdę z wami tak daleko, jak tylko będę mogła. Ale ja bardzo niewiele mogę, mój dobry Kubusiu, najwyżej jakiś mały spacer... Na wycieczki się nie wybieram. To nie na mój wiek, ani na moje siły; nogi mi nie dopisują. Henryś niech podziwia te cuda! Odprowadzimy was obie z Marysią kawałek drogi i wrócimy, bo i to moje dziewczątko nie może się męczyć — dodała, gładząc z miłością ciemną główkę. — Doktor zabronił.



Dziewczynka zaczęła płakać.

— Nie płacz, dziecko — mówiła, tuląc ją, panna Katarzyna. — I ja bym też chciała z wysokiego szczytu zobaczyć kawał świata i oglądać te wszystkie cudowności, o których się nasłuchiłam, ale trudno: jak nie można, to nie można! Jeżeli tutaj u podnóża gór jest tak pięknie, jakże tam dopiero być musi! Słyszałam, że ci, co chodzą bardzo wysoko, widzą obłoki, czołgające się u stóp swoich. Czy to prawda, Kubusiu?

— Więcej jeszcze, szanowna pani: widzą nieraz nad sobą czyste niebo, podczas gdy poniżej ich stóp szaleje burza i biją pioruny.

— Ach, panie, to musi być wspaniałe! — zawołał Henryk. — Boję się piorunów, ale chciałbym to widzieć!

— O tak — odrzekł Jakób — kto nie był choć na jednym szczycie i nie zajrzał w łono gór, ten o ich piękności nie może mieć żadnego wyobrażenia. Ja także jestem doktorem i zdaje mi się, że ruch umiarkowany na świeżem powietrzu, może tylko na dobre wyjść panience. Zresztą, są sposoby, ułatwiające odbywanie wycieczek osobom słabym: wózki góralskie dość daleko podwożą w górę, a koniki, przyuczone do chodzenia pod wierzch, są tak mądre, że próbują każdy kamień, zanim nogę na nim postawią.

— To wszystko bardzo kosztowne są rzeczy — powiedziała głosem nieco przyciszonym panna Katarzyna — a my z małemi przybyliśmy tu środkami i musimy się liczyć... Przyjechaliśmy dla kuracji, nie dla przyjemności. Jeżeli się da jedno z drugim połączyć, to i owszem, byle nie kosztem pieniędzy, przeznaczonych na leczenie. Panu bratu jest bardzo ciężko na tych trzydziestu włókach, bo Miratycze były obdłużone, więc ciągle spłaca i spłaca. Jak się przytem opędzi wydatki gospodarstwa i zapłaci podatki, to ledwie się koniec z końcem zwiąże. Do tej podróży nigdyby nie przyszło, gdyby doktor nie powiedział, że to jest dla Marychny konieczne. Więc tedy Marcin wyjął

ze skrzyni pieniądze, które zachował na czarną godzinę; ja też miałam trochę grosza, schowanego na wypadek choroby, i tak jedno do drugiego, zebrała się sumka. O mój Kubusiu, gospodarować na wsi teraz bardzo ciężko!

— Słyszałem, że baron L. chciał to kupić.

— Tak, chciał nawet grubo zapłacić, ale mój Kubusiu, nie godzi się tam świętej ziemi sprzedawać; choćby przyszło ręce pourabiać po łokcie i żyć suchym tylko chlebem, trzeba wytrwać.

— To prawda.

— Głodu nie mamy. Chodzimy cało i dzieci kształcimy, ale musimy każdy grosz obejrzyć dwa razy, zanim go się wyda. Sprzedawszy, możnaby żyć nawet dostatnio, bo baron ostrzy na to zęby i nawetby się nie targował. Potrzebny mu ten kawał ziemi dla zaokrąglenia majoratu, ale czyż takie przekłete pieniądze przyniosłyby szczęście! Brat prosi Boga, żeby pozwolił wytrwać chociaż do czasu, gdy Henryś urośnie i młode siłami i młodą głową podniesie gospodarstwo. Ale nim do tego przyjdzie, brat starga siły do reszty...

— Sądzę, że potrafimy wszystko pogodzić — odrzekł doktor. — Na początek pojedziemy wszyscy wózkami do doliny Kościeliskiej, a potem będziemy chodzili w góry z Henrysiem, jeżeli szanowna pani pozwoli, aby mi towarzyszył. Później, gdy panie wzmocnią się tutejszem powietrzem, wybierzemy się znowu wszyscy razem. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda — zawołali wszyscy razem, a panna Katarzyna z wdzięcznością uścisnęła rękę Jakóba.

— Troszczyłam się o moje dzieci, mówiłam sobie: co za bieda, że nie mają z kim chodzić! A tu Opatrzność nam ciebie zesłała... Jakiż Kubuś dobry!

— A ja będę oglądała jeziora, wodospady i przepaście! — wołała dziewczynka, skacząc z radości. — Będę widziała jaskinie, w których kryli się rozbójnicy! A może i skarby zbójckie znajdziemy?

— Jest! I tej się już skarbów zachciewa — powiedziała, śmiejąc się, babunia Kasia.

Ganek, przy którym rozmawiający siedzieli, obsadzony był chmielem; w ogródku rosły cztery jesiony i dwie małe limby, pod płotem był zagonek kartofli. Gaździna przyszła je okopać, a zobaczywszy swych gości na ganku, skinęła im głową uprzejmie, mówiąc:

— Dzień dobry; fałaz Panu Jezusowi, Matce Boskiej, co nam dali piknom pogode. Jakoz wom się tu u nas spodobowało?

— O, bardzo nam się podoba! — odpowiedziała Marysia.

— Fała Panu Jezusowi. Spało wom się dobrze?

Tu panna Katarzyna nie mogła wytrzymać i opowiedziała nocne przygody z łóżkiem.

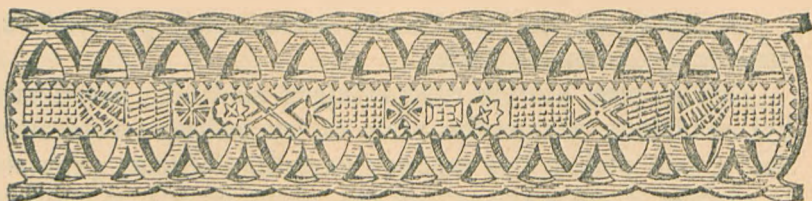
Gaździna, kobieta już niemłoda, ale zdrowa, rumiana, z twarzą okrągłą i bystrym wyrazem niewielkich siwych oczu, słuchała uważnie; a gdy babunia Kasia skończyła, uśmiechnęła się sprytnie, mrugnawszy okiem, i rzekła:

— Dobrzeście zrobili; fała Panu Jezusowi!

I wzięwszy motykę, pochyliła się nad zagonem kartofli.

Cała dolina kąpała się w słońcu: ptaki bujały wesoło w powietrzu, a liczna kapela muszek grała dokoła ganku, to wzbijając się w górę, to siadając na liściach chmielowych. Z łączki dochodziło ostrzenie kosy. To Ślimak kosił swój kawałek, tuż przy ziemi — bo góral nie zmarnuje ani źdźbła cennego siana; on właściwie łąki nie kosi, ale goli ją. A miał u pasa zawieszoną prześlicznie cyfrowaną kózkę, w której tkwiła kamienna osetka, czyli jak górale mówią „oselnik“.

Pełno osób wyległo na spacer, bo jak po piasku morskim suchą chodzi się nogą tam, gdzie przed chwilą lizały go fale, tak w Zakopanem po największej ulewie iść można na spacer bez kaloszy, zwłaszcza pod górę, bo woda przepada gdzieś między kamieniami i żwirem.



V.

PORTRET BEZ RYSÓW.

*Rozkoszna, jedyna,  
Pochmurna dolina,  
Dla całych Tatrów ponęta —  
Lecz lasy i skały,  
Wkrąg ją opasały,  
I bramą z głazów zamknięta.*

*Goszczyński: Sobótka.*

Panna Katarzyna, pomimo że pragnęła przyjrzeć się góróm zbliska, jednakże ze względu na koszty wymawiała się od wycieczek i utrzymywała, że wystarczy jej patrzeć na nie z Zakopanego. Ale od czasu, gdy pan Jakób zaprowadził całą rodzinę na Gubałówkę, wygodną, łatwą drożyną, gdzie staruszka mogła co chwila odpoczywać na trawie w cieniu drzew — i stamtąd pokazał jej całe Tatry w chwili, gdy zachód słońca malował je na różowo, tak została oczarowana tym widokiem, że sama zapagnęła obejrzeć Kościeliską dolinę, o której słyszała, że jest „perłą Tatr“ najpiękniejszą, i że do niej wózkem wygodnie można dojechać.

Wyruszone więc o dziesiątej rano przy pięknej pogodzie. Panna Katarzyna włożyła czarny słomkowy kapelusz z dużem rondem i popielatą perkalową suknię świeżej daty, w której jej było bardzo ładnie, a Marysia w ponsowej, kretonowej sukience, której odblask zabarwił nieco jej bladą twarzyczkę,

i w pasterce z białej słomki, wyglądała jak piękny polny mak ze złotą główką, i nie posiadała się z radości, że jedzie.

Gdy minęli stary drewniany kościółek, przysadzistą staroświecką dzwonnice i wjechali w ulicę Kościeliską, Marysia, widująca dotąd tylko chaty góralskie pojedynczo rozrzucone, wydziwić się nie mogła wielkiej ich tutaj ilości; kształty ich oryginalne uderzały ją więcej teraz, gdy je widziała nagromadzone jedne przy drugich.

— Babuniu, to jak miasto! — wołała. — A jakie śmieszne te domki! Dachy wyglądają jak śpiczaste kapelusze, obszyte sztywnymi, szeroko rozpiętymi falbankami.

— A to, wicie, na to, coby wom na nos nie padało, kie wyjdziecie z ganecka pozierać<sup>1)</sup> — wtrącił Jasiak woźnica, dziarski ośmnastoletni chłopak.

Skończyło się Zakopane: droga wieszła się na stokach tak stromych, że panna Katarzyna aż zastaniała oczy, lub załamując ręce, wołała:

— Kubusiu, toś nas wywiódł nad przepaście! Matko Ostrobramska, ratuj! Ostatnia godzina! Henryku, trzymaj Marysię!...

— Nie bójcie się — mówił Jasiak — jo hamujem.

I w jednej chwili znikł jak kamfora, co zwiększyło jeszcze niepokój panny Katarzyny, lecz wnet ukazała się znowu figlarna twarz Jaśka.

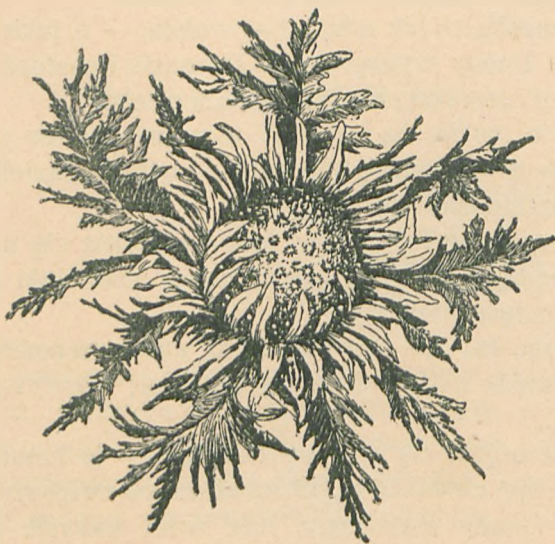
— Jescek śmierci nie widział — żartował niecnota — nie idzie po was, to se i nie bójcie. Wie dali! Wiś<sup>2)</sup>, wiśta siwy! Pokaże pani, jako ją grzecnie powiesziesz!

I rażno odskakując od licznych kamieni, wesoło potoczył się wózek na samo dno mniemanej przepaści. Jasiak już znowu siedział na swoim miejscu. Było to ciągłe zeskakiwanie i wskakiwanie, w miarę tego, czy wózek jechał pod górę, czy z góry. Góral bardzo miłuje konie i wtedy tylko siedzi na wózku ze spokojnem sumieniem, kiedy wie, że koniowi nie cięży.

---

<sup>1)</sup> Spoglądać. <sup>2)</sup> Na lewo.

Panna Katarzyna wkrótce się udobruchała. Tymczasem wjechano na prześliczną drogę pod Reglami, mając po jednej stronie faliste łąki, gęsto przetykane kwieciem, i lasy świerkowe, przy których od czasu do czasu stały na straży rozłożyste jesiony i posiwiące buki, a po drugiej rozległe na stokach wyrębiska, młodą i jasną zdaleka błyszczące zielenią. Wyrastało tam bujne młode pokolenie w miejsce



Kąsina niska. *Carlina acaulis*.

tego, które padło pod toporem — a pomiędzy niem czarnice, poziomki, maliny, wonne trawy i turzyce, storczyki, mleczaże, chabry górskie i moc różnobarwnego kwiecia. W próchniejących pniach żyły liczne gatunki paproci — a tu i ówdzie, przysłonięte do gruntu długimi, pierzasto wycinanymi liśćmi, błyszczały jak gwiazdy, złociste, różowe i białe, kąsiny niskie. Kwiat ten dziwny, otulony w srebrzystą okrywę, rozstrzępioną nakształt licznych, słomianych ździebełek, uchodził niegdyś za cudowne lekarstwo na



Wierzbówka wąskolistna.  
*Epilobium angustifolium.*



Dziewięciornik.  
*Parnassia palustris.*

wszystkie choroby, stąd lud dawał mu nazwę: „Dzie-  
więć sił“.

Pomiędzy kamieniami jaśniały białe dziewięciorniki, złote  
jastruny, wonne fiołkowe miesięcznice, a nad tem wszyst-  
kiem panowała wszechwładnie wierzbówka wąskolistna.  
Różowe jej bukiety na wysokich łądźkach tak się tam  
bujnie rozrastają, że zagłuszają wszystkie inne rośliny.

Całe stoki bywają od niej różowe, jakby się w brzasku jutrzeńki kapały.

Wrażliwą dziewczynkę tak zachwycił ten widok, że aż na bladą jej twarzyczkę wystąpiły rumieńce. Różowa góra przypominała jej bajki o złotych pałacach, koralowych dachach i różnych cudownościach. Pan Jakób odezwał się, że kupcy, handlujący herbatą, zrobiliby tu dobry interes.

— Cóż te kwiaty mogą mieć za związek z herbatą? — zapytała panna Katarzyna.

— Używane są do fałszowania — odrzekł. — Wąskie, ząbkowane liście wierzbówki podobne są z kształtu i barwy do liści krzewu herbatniego. Otóż listki te, poddane takiej samej czynności, jak liście herbaty, naśladują je do złudzenia; fabrykanci zwijają je w dłoniach, suszą i po ususzeniu mieszają z herbatą prawdziwą. Wprawne tylko oko dostrzeże zafałszowanie.

Marysia zaczęła prosić, żeby wóz przystanął, bo chciała urwać sobie trochę kwiatów, ale góral sprzeciwił się temu, mówiąc:

— Trza nam się spieszyć, coby my zaś z deszczem nie wracali.

— Co mówicie o deszczu przy takiej pięknej pogodzie! — obruszyła się panna Katarzyna.

— Ale Babia góra w czepcu — odrzekł, wskazując biczyskiem na zachód, gdzie widniało pasmo Beskidów i szczyt, który mgły owijały.

— Może też słońce zdejmie ten czepiec — pocieszał doktor — poco się martwić zawczasu? Mam nadzieję, że dolina Kościeliska pokaże nam się w całej krasie, choć nie jest to zupełnie bezzasadne, co mówi nasz woźnica. Górale mają dwa barometry, rzadko ich zawodzące: Giewont i Babią górę. O tej ostatniej Felicjan Faleński tak mówi:

U widnokręgu, hej! w dali,  
W stronie, gdzie niebo się pali,  
Siedzi starucha;



Śniegami siwa, mgłą skrzepła,  
 Od słońca blasków osłepła,  
 Od grzmotów głucha.  
 W pożary gdzieś zachodowe  
 Zwróciwszy głowę,  
 Przy tem ognisku ze słońca,  
 Grzeje się drżąca.

Dopóki łyse jej ciemie  
 W tłach szafirowych snem drzemie,  
 Aż zazdrość bierze —  
 Dopóki szumią w niej gaje,  
 Że starowina się zdaje  
 Mrużyć pacierze —  
 Idź, gdzie cię oczy poniosą:  
 Z strzelbą, czy z kosą,  
 Lub pędzić w leśne manowce  
 Bydło i owce.

Lecz jeśli jejmość pękata,  
 Wspomniawszy odwieczne lata,  
 Gdy była młoda,  
 W czepiec obciąga łysinę,  
 I wstęgi z błyskawic sine  
 Wiąże pod brodą —  
 Nim się w niej wiatry zakrztuszą,  
 Uciekaj z duszą!  
 Bo ci po pierwszym piorunie,  
 Z ramienia runie.

Wiersz ten rozśmieszył wszystkich: Henryk oświadczył, że teraz z większem poszanowaniem będzie spoglądał na Babią górę, a Marysia, której różana góra nie dawała spokoju, zapytała:

— Czy te kwiaty, z których się robi herbata, rosną tylko w górach?

— O, nie, to nie są kwiaty wyłącznie górskie; można je często spotkać na równinach.

— A ja ich nigdy nie widziałam!

— Bo rosną pojedynczo, więc nikt nie zwraca na nie uwagi, a tutaj występują w całej masie, więc biją w oczy swoją barwą zdaleka.

Wóz to spuszczał się na dół, to wspinał do góry, a woźnica szedł przy nim, rozmawiając wciąż z końmi i hamując koła wedle potrzeby. W wozie także rozmawiano wesoło, a panna Katarzyna, patrząc na rozpromienione twarze dzieci, wdzięczna była z całego serca doktorowi, że ją do tej wycieczki nakłonił. Zwiędła jej twarz pod wpływem nowych, niespodziewanych wrażeń jakby odmłodziła. Wreszcie po godzinie zjechało na łąkę około tartaka, przy której stoi chatka gajowego.

— Jak się zwie ta polanka? — spytał Henryk.

— Kiry.

Panna Katarzyna doznała niemiłego uczucia i przeżegnała się nieznacznie.

— Jezus Marja! — szepnęła. — Czyż jedziemy w krainę żałoby! Kiry strzegą drogi do Kościelisk...

— Niech się pani uspokoi — rzekł, uśmiechając się, Jakób — nic żałobnego niema w tej krainie, zwłaszcza w takim dniu słonecznym, jak dzisiejszy.

— Przeciwnie — powiedziała z pewnym naciskiem — te stoki gór, ciemnym lasem porośłe, wyglądają doprawdy, jakby kirem pokryte.

Jasiek zatrzymał konie, pobiegł ku skale, i odłupawszy kawałek siekierką, przyniósł Marysi, mówiąc:

— Niech se sowajom<sup>1)</sup>.

— Co to takiego? — zapytała dziewczynka ze zdziwieniem, przypatrując się niespodzianemu podarkowi.

— To je jarec — objaśnił Jasiek.

— Coś jakby skamieniałe zboże — zauważył Henryk.

— Podobne do ziarn jęczmienia — dodała panna Katarzyna.

— Bo też jęczmień po góralsku zwie się jarcem — rzekł doktor — opowiadają nawet legendę, skąd się tu wziął, ale to nic niema wspólnego ze zbożem. Ziarnka te, są to

---

<sup>1)</sup> Schowają.

skorupki skamieniałe, w których niedys mieszkaly drobne żyjątki. Gromadziły się tu powoli całe ich pokolenia i powstała stąd skała. Mineralogja zwie takie skały wapienne „numulitowemi“.

— Kiedyż to było, panie Jakóbie? — spytał chłopiec.

— Bardzo dawno, jeszcze przed stworzeniem człowieka, w owych czasach zamierzchłych, o których mówi Pismo Święte: „I duch Boży unosił się nad wodami“. Tatry były wtedy łożyskiem oceanu.

— Ale niewszystkie skały powstały z takiego jęczmienia?

— Nie, wiele jest pochodzenia ogniowego, inne znów składają się z tak drobnutkich skorupek zwierzęcych, że dojrzeć ich nie można bez mikroskopu, a wszystko to żyło niegdyś w wodzie. Zwolna dopiero morze ustępować zaczęło, a z głębi wód wynurzały się różne pokłady, poosadzone przedtem na dnach morskich. W wielu miejscach na ziemi tym sposobem powstały całe łańcuchy gór i wielkie obszary łądów.

— Nie może mi się to w głowie pomieścić, jak uczeni mogą wiedzieć, co się działo przed stworzeniem człowieka — powiedziała panna Katarzyna, wzruszając lekko ramionami. — A co się kiedyś stanie, czy także wiedzą?

— Z tego, co było i jest, wnoszą o tem, co będzie.

— A czy Anglik znajdzie różę bez kolców? — zapytała Marysia.

— Skoro uczeni wszystko wiedzą, to może nam pan odpowie na to pytanie — wtrącił z uśmiechem Henryk, nie chcąc się przyznać, że sam różę bez kolców ciągle miał na myśli i że jej wzdłuż drogi, którą przebywali, upatrywał.

Panna Katarzyna zwróciła na Jakóba oczy z wyrazem oczekiwania, bo i ją także interesował cudzoziemiec.

— Sądzę, że znajdzie to, czego szuka — odrzekł poważnie.

Odpowiedź, choć niezupełnie jasna, zadowoliła wszystkich.

Przejechawszy od tej skały kawałek drogi wśród lasu,

wóz dotarł pierwszej bramy Kościeliskiej z olbrzymich skał utworzonej, gdzie Towarzystwo Tatrzańskie umieściło tablicę, poświęconą pamięci pośła Kantaka, który w Berlinie wobec Niemców dzielnie się za prawami ludności polskiej ujmował. Widok od tej bramy dawał już niejakię pojęcie o tem, czego się poza nią spodziewać było można, i dzieci wydawały okrzyki zachwytu i radości — a tu pan Jakób mówił, że dalej będzie jeszcze piękniej!

Wody uchodzą stamtąd z wielkim szumem, a nad potokiem jest droga, usłana z głazów. Po tej drodze wóz przejechał na rozległą polanę, otoczoną dokoła lasem, ponad którym stoją olbrzymie turnie — i minąwszy pasterskie szałas, posuwał się obok rozpadających się w gruzy budynków. Tu były dawniej kuźnie, obrabiające żelazo, i huty, przerabiające rudę, dobywaną w Kościeliskach. Gdy się wierzchnie pokłady wyczerpały, zaniechano głębszego kopania, jako nieopłacającego się. Tutaj zwracają uwagę podróżnych dwie stare lipy, wielka osobliwość botaniczna, bo lipa nie zwykła rosnać na takiej wysokości.

— Niegdyś było tu gwarno i ludno — odezwał się doktor — a teraz jest cisza i pustka, i mech porasta na gruzach budynków. Tam, gdzie ten komin sterczy na prawo, a przez jedyne okno, pozostałe w ścianie, widać rosące wewnątrz świerki, była gospoda. Nocowała w niej w r. 1860 wraz z rodzicami Deotyma.

— Deotyma, wielka poetka! — zawołali jednocześnie wszyscy. — Była tutaj?

— Nietylko była, ale opisała swoją wycieczkę w „Gazecie Warszawskiej“ p. t. „Wspomnienia z Karpat“.

— I nie bała się tutaj nocować? — zdziwiła się Marysia.

— Był to już napół rozwalony budynek, który dopiero zaczęto odnawiać. Gospodarz i gospodyni głęboko się zdumieli, gdy państwo Łuszczewscy, których wieczór zaskoczył w Dolinie, zażądali noclegu i usiłowali im to wszel-

kiemi sposobami odradzić, ale zapóźno już było na powrót do Zakopanego, więc cieszył ich widok i takiego schronienia. Pokazano im dwie izby: do jednej deszcz zaciekał i rozbity komin gruzami zaścielał ziemię, druga była obszerniejsza, z trzema oknami, ale bez drzwi i bez sprzętów. Znalazł się stół i świeczniki. Była to niedziela: górale przybyli na zabawę i przypatrywali się przez okno ich wieczery, do której państwo Łuszczewscy też zaprosili spotkanych w dolinie artystów-malarzy, znajomych z Warszawy. Noc przeszła spokojnie mimo krzyków uczujących górali, a nazajutrz gospodarz przyszedł rozpromieniony i winszował im, że noc przeszła bez wypadku, dodając, że to pierwsza, jaką tam przepędził. Gdy zdziwieni, nie mogli go zrozumieć, objaśnił, że przed kilku laty przyszli tu zbójnicy z Węgier, dom napadli, zrabowali, i poprzednika jego z całą rodziną zabili. „To też ja — mówił — nigdy tu nie nocuję. Co wieczór z żoną i dziećmi wynoszę się do wioski, leżącej za doliną, i dopiero wczoraj, widząc, że państwo zostają, myśmy także zostali“.

— Babuniu, ale my tu nocować nie będziemy? — spytała niespokojnie Marysia.

— Nie, moje dziecko — odrzekła panna Katarzyna — wrócimy przed wieczorem.

— Szkoda, że Deotyma zamiast przed laty nie wybrała się w Tatry dopiero teraz! — westchnęła panna Katarzyna. — Czytałam jej „Branki w jassyrze“ i chciałabym mieć sposobność podziękowania jej za naukę, jak trzeba znosić cierpienia.

— A ja za wszystkie piękne rzeczy, a zwłaszcza za „Piosnkę w Karpatach“, gdzie każda strofa inny maluje obraz górskiej przyrody, a wszystkie są jak sznur pereł, nanizanych na złotą nić — zawołał Henryk z zapałem i zadeklamował pierwszą strofę:

Każda góra ma swą chwałę,  
Swe podanie i swój szczyt,

Na nich leżą śniegi białe,  
Jakby jakiś wieczny świt...

— Masz słuszność — rzekł Jakób. — „Piosnka“ jest prześliczna!

— Proszę pana — odezwał się Henryk, którego myśl oprócz piosnki Deotymy i róży bez kolców zajęta była także zbójnickimi napadami — dziwi mnie to, że rozbójnicy mogli napadać tak blisko Zakopanego.

— Mój chłopcze, Zakopane, takie dziś głośne ze swych własności uzdrawiających, wtedy było nieznaną wioszczyną. Jest tu w lesie kapliczka, postawiona na miejscu dawnego kościółka, który dla całej dalekiej okolicy podtatrzańskiej był jedyną świątynią Bożą.

— Więc Zakopane nie miało kościoła? — spytała panna Katarzyna.

— Nie. Postawił go dopiero ksiądz Stolarczyk, najpierwszy proboszcz zakopiański. Lud tam siedział zdziczały, i trzeba było długiego czasu, zanim proboszczowi udało się nakłonić go do chodzenia na nabożeństwo. Początkowo górale przychodzili do kościoła z fajkami i zapalali je u lampki, wiszącej przed ołtarzem. Gdy ksiądz mówił kazanie, rozkładali się na ziemi, jak w lesie u ogniska przy słuchaniu zbójceckich powieści, a kiedy po raz pierwszy zagrały organy, puścili się w taniec z dziewczętami. Niełatwe miał ksiądz zadanie, zanim zdołał złagodzić dzikość i poprawić obyczaje ludzi, żadnego przedtem nie znających hamulca. Uczył on ich z ambony, przekładał, wrzusał, gniewał się. Żył życiem swych owieczek, tępił zbójnictwo i pijaństwo, doradzał w interesach prawnych, sądził z targi majątkowe, wszystko bez cienia sentymentalności, nawet z pewną twardością, zgodną z wymaganiami natury nie tylko duchowej, ale i materialnej, co mu nie ujmowało, ale dodawało szacunku. Góral z rodu, przemawiał do nich ich własnym językiem; używał dosadnych wyrażen i najlepiej trafiających do ich umysłu porównań, a przytem ob-

darzony ogromnym wzrostem i nadzwyczajną siłą, zjednywał sobie powagę i wpływ nad tymi, którzy jedynie dla siły mieli poszanowanie. Sabała, gdy pierwszy raz księdza Stolarczyka zobaczył, wykrzyknął zdziwiony widokiem jego olbrzymiej postaci: „E, jegomość! Wyroz tez s was chłop! Ej, ha! Je, kaz tez ta teli wyros? No s wami tobyk się nie namyślał, ale byk sie dziś we dwok do Luptowa ponios“.

— Nic nie rozumiem — przerwała panna Katarzyna.

— Słynny zbójnik tatrzański, Janosik, przebywał najczęściej na Liptowie<sup>1)</sup>, Sabała dawał więc księdzu do zrozumienia, że dzielny byłby zbójnik z niego. Pochwała to największa dla górala. Doszło do tego, że górale nietylko modlili się z książek, ale śpiewali ułożone przez proboszcza pieśni. A ile to pracy, ile trudu i zabiegów kosztowało! Gdy Zakopane z nieznaney wioski stało się głośną stacją klimatyczną, skarżył się ksiądz na spustoszenie moralne, jakie goście między góralami szerzyli, przyuczając do zbytelnego życia i próżniactwa. Lekki chleb przewodnika smakował wielu bardziej, niż ciężka praca przy roli. Wzdychał więc ksiądz Stolarczyk za dawnymi czasami, a skarga ta co rok była żałośniejsza. Umarł sparaliżowany, mając lat osiemdziesiąt.

— A wicie — wtrącił Jasiek — jako z kćcinami przijehali, a cem jegomość z kościelnym przišli, mróz ju okćcił dzieciátko!

— Jakże to było? — pytała zaciekawiona panna Katarzyna.

— A to wicie, na Olcy<sup>2)</sup>, Bóg dał syna Miałowemu<sup>3)</sup>

---

<sup>1)</sup> Liptów — kraina, leżąca po południowej stronie Tatr, przecięta doliną Wagu, częściowo górzysta wskutek łańcuchów karpaccich. Zamieszkują ją Słowacy. Za czasów, gdy podróżowali po Tatrach sir Warburton i jego przyjaciele, należał do Węgier; jak wtedy mówiono, leżał po węgierskiej stronie Tatr i stanowił Liptowski komitat. Po wielkiej wojnie światowej zbocza Tatr, należące do Węgier, przypadły rzeczypospolitej Czeskosłowackiej. Sięgają one na Liptów, Spiż i Orawę.  
<sup>2)</sup> Olcza, wieś blisko Zakopanego. <sup>3)</sup> Michałowemu.

Staskowi i Majchrowej Jagunie, więc przijehali z kumami kścić go w Zakopane. Kościelny, wicie, Ślimak, był u organistego, to i poseł po jegomości, a łopi<sup>1)</sup> myślom: „jako tu cekać po próznicy?“ Największy wyśmiesnik<sup>2)</sup>, Gąsienica swok<sup>3)</sup>, radzi: „Poślibyśmy do zida, Stasiak paleńki<sup>4)</sup> nie pozatuje na zdrowie syna“. Idą se, pośpiewując:

„Radak cie widziała, jescebyk cie lepi,  
Kieby se, hunewocie, gozałeckie nie pił“.

Kuma w krasnej wizytce<sup>5)</sup> miała ostać w kruchcie, ale słysy baba piosnecki i cni<sup>6)</sup> jej się strasecnie<sup>7)</sup>, tak se myśli: „Oni se w karcmie kielusek<sup>8)</sup> po kielusku pijom, o mnie ani zastojom. Haw ja zmarznionta i samotna: abo pójde ozgzać sie kapecką! Ty nieboze pocekaj tu krzynkę!“<sup>9)</sup> Owiązała dziecię w nowiusieńką smatę<sup>10)</sup> i powiesiła zwitek na kłamce u kościelnych dźwierzy<sup>11)</sup>. Ozgzewa się kuma, kielusek po kielusku pije, piosenkę po piosence śpiewa, a dzieciątko wisi, mróz po śniegu skrzypi, a jegomość pi-som. Napisał, kładzie kozuch, idzie do kościoła... pusto. Kaz<sup>12)</sup> kściny? Kaz kumowie? Kaz kogos najdzie, kie wsyscy u zida! Wyodzi z kościoła: cosik uwidział u dźwierzy. Jakowe haw<sup>13)</sup> dziady<sup>14)</sup> wisom? Poziera do smatki: w niej skostniałe, sine ciałko Staśkowego syna... W poćciwym jegomości dusa sie zatrzęsła. Kija sękatęgo wzion i do karcmy poseł, hań<sup>15)</sup> łopów ogrzmocił i ozpędził. Gęślicki<sup>16)</sup> ucichły i piosenki ustały, a tako byli łopy popici, ze nijako nie mogli zrozumieć, jakowym cudem jegomość o pogrzebie mówiom, kie oni se kściny oblewali.

Wóz, minąwszy kapliczkę, zatrzymał się na żądanie pana Jakóba, który zapowiedział, że ma tu coś osobliwego do pokazania — i pomógłszy wysiąść staruszce, pociągnął wszystkich nad potok w miejsce, gdzie słyhać było coś w rodzaju głośnego bulgotania.

---

1) Chłopi. 2) Żartowniś. 3) Szwagier. 4) Okowity. 5) Kaftaniku.  
6) Tęskni. 7) Strasznie. 8) Kieliszek. 9) Troszkę. 10) Chustkę. 11) Drzwi.  
12) Gdzie? 13) Tutaj. 14) Torby. 15) Tam. 16) Skrzypki.



— Macie tu, państwo, przed sobą źródło, jakiego jeszcze nie widzieliście i może nigdy nie zobaczycie — powiedział. — Woda wydobywa się z pod ziemi wprost do góry i rozlewa na boki trzema strumieniami tak silnymi, że każdy z nich dawniej obracał młotem w kuźnicy. Przypatrzcie się tylko: można dokładnie rozróżnić trzy prądy, jakby trzy źródła, każdy w inną dążący stronę.

— A prawda! widać to doskonale — rzekł Henryk — ale co to za roślina tak gęsto rozrasta się w wodzie przy brzegach?

— Jest to odmiana górska rzeżuchy: rzeżucha opica, charakterystyczna dla roślinności źródeł i potoków tatrzańskich. Jest bardzo podobna do niżowej rzeżuchy gorzkiej (*Cardamine amara*), różni się tem, że listki ma w 5—8 parach, a kwiatostan skrócony. Spotyka się zresztą i formy przejściowe między niemi. O! patrzcie: i tu znajdujemy takie. Podobnie jak pospolicie siana u nas na Wielkanoc na sałatkę na babkach tekturowych rzeżucha łąkowa, tak i te dałyby się zapewne użyć jako przyprawa do mięsa.

Henryk zerwał gałązkę i gryząc ją, chwalił przyjemną gorycz tej sałatki.

— To biało kwitnie! — zawołała dziewczynka, spróbowałszy także, i zerwała łodyżkę, na której wierzchołku



Rzeżucha opica. *Cardamine opicii*.

skupione były białe, drobne kielichy. — Ładne kwiateczki. Ale pić mi się chce po tej gorzkiej sałacie.

Wyjąwszy kubeczek z kieszeni, chciała zaczerpnąć wody, ale pan Jakób powstrzymał ją, mówiąc:

— Nikt nie pije tej wody wprost ze źródła, bo jest tak zimna, że zęby od niej cierpną. Musi stać czas jakiś w szklance, żeby się ogrzała. Ciepłoty ma tylko 3 stopnie Réaumura; dlatego zapewne źródło to zowie się Lodowem.

Ale nikt nie chciał czekać, aż się woda ogrzeje, bo wszystkim było pilno iść dalej. Przytem strumień miał im towarzyszyć, więc pragnienie wszędzie łatwo zaspokoić mogli.

Obecnie przy źródle Lodowem stoi wygodny hotel dla podróżnych, ale wówczas, gdy nasi znajomi zwiedzali Kościeliską dolinę, była tam tylko prosta buda z desek. Turyci w niej zazwyczaj odpoczywali i posilali się, a górale mieli przystanek dla wozów. Dziś już trzy wózki tam stały, a odprężone konie jadły owies z uwiązanych na karkach płóciennych woreczków. Nieopodal na trawie rozłożeni woźnice palili tytuń z krótkich fajeczek, rozmawiając wesoło.

— Są już goście w dolinie i raniej wstali od nas — zauważył pan Jakób.

Po krótkim odpoczynku wyruszyli wszyscy wraz z Jakiem, który, napoiwszy konie i nasypawszy im owsa, zostawił wóz pod opieką znajomych górali i ofiarował się za przewodnika.

Skały, zwężające się w tem miejscu, tworzą najwspanialszą, jaką można sobie wyobrazić, bramę. Skorzystało z tego położenia Towarzystwo Tatrzańskie, pragnąc uczcić pamięć Kraszewskiego, który niegdyś tak samo jak Gószczyński szukał w Tatrach zdrowia i wypoczynku. Umieściło w skale murowaną tablicę z odpowiednim napisem i nadało temu miejscu nazwę „Bramy Kraszewskiego“. Żeby odczytać napis na tablicy, trzeba przejść kładką przez potok. Z tej strony widzi się tylko wspaniałą bramę, z tamtej przez bramę otwartą spogląda się w czarowną krainę.

— Teraz możecie patrzeć dowoli i podziwiać — rzekł Jakób, gdy przeszli na drugą stronę potoku.

Spełniło się to, co powiedział. Tyle wyszafowano słów na wyrażenie zachwyty przy wjeździe na Kirę i przy „Bramie Kantaka“, że teraz ich brakło narazie, bo widok, jaki mieli przed oczyma, przeszedł wszelkie oczekiwania. Wszyscy stali milczący i zdumieni. Panna Katarzyna pierwsza przemówiła, składając ręce.

— Najświętsza Panno Ostrobramska, jakżeż tu pięknie! Mój dobry Kubusiu, ja nawet nie domyślałam się w Miratyczach, że są na świecie takie cuda!

Doktór uśmiechnął się.

— Żeby tylko dopisała nam pogoda — wyrzekł, patrząc na pływające po niebie białe, rzadkie nakształt waty obłoczki, niektóre z nich zaczepiały się o szczyty piętrzącej się turni i rozdierały. — Wieść niesie, że rzadko komu udaje się widzieć dolinę Kościeliską bez deszczu. Żałowałbym, gdyby tak dzisiaj być miało, bo choć ona zawsze jest piękna, ale dla uwydatnienia wszystkich jej uroków, potrzeba koniecznie słońca. Goszczyński o niej mówi:

Rozkoszna jedyna,  
Pochmurna dolina,  
Od całych Tatrów kochana.  
Lecz na niej mgły gęste  
I deszcze w niej częste,  
Dolina często spłakana.

— Będzie lało, ino nie zara — wygłosił filozoficznie Jasiek.

— A kiedy? — zapytał Henryk.

— Ku wieczorowi.

Dzieci, którym narazie podziw zamknął usta, prześcigały się teraz w radosnych okrzykach. Brzmiała w nich cała ich wrażliwość na piękno i gorący zachwyty młodości. Tytu już poetów opisywało ten uroczy zakątek tatrzański, a nikt jeszcze nie zdołał odmalować wiernie jego piękno-

ści. Zachwycony Goszczyński zowie ją „rozkoszną, jedyną“, a Felicjan szepce głosem, w którym zdumienie i groza zdaje się tamować oddech w piersiach:

Idziemy, i oto znów zagnała krok śmiały  
 Do ziemi ziębiący przykuwa nam strach.  
 Tam lasy lecące w powietrzu zostały!  
 Tam sterczą niesione na obłokach skały!  
 I cisza coś mówi do siebie jak w snach.

Możnaby tu spędzać dnie całe na przyglądaniu się. Białe wapienie, bramowane świerkami; czysty kryształ potoku, spadający w kaskadach, srebrną miejscami zabelonych pianą; głązy ciemnymi pokryte porostami, od których woda w płynny zamienia się szmaragd, wreszcie fantastycznie piętrzące się skały — wszystko to daje niewyczerpane pole do porównań, i każdy, bujniejszą nieco obdarzony wyobraźnią, dopatruje się w nich jakiegoś podobieństwa, choć każdy co innego widzi. Na jedno tylko zgadzają się wszyscy niemal zwiedzający, na podobieństwo poszarpanych szczytów do skamieniałych potworów: tylko gdy jedni widzą w nich sowy i olbrzymie orły, inni dopatrują się niedźwiedzi, rumaków, a nawet smoków legendowych. Goszczyński wziął Kościeliską dolinę za tło do kilku scen w swej pięknej powieści z czasów Bolesława Chrobrego, p. t. „Oda“ i do poematu p. t. „Sobótka“, a Deotyma rozpoczyna nią cudnej piękności prolog do swej tragedji p. t. „Wanda“.

Henryk, marzący zawsze o czasach rycerskich, widział w fantastycznych kształtach turni średniowieczne zamki z murami i basztami, a bujna wyobraźnia chłopca w jednej chwili zaludniła krużganki owych zamków tłumami giermków, dam i rycerzy. Gdy się ze swych wrażeń głośno spowiadał, Marysia, mająca świeżo w pamięci bajkę o „Śpiącej królewnie“ i zamku, do którego wszystkie drogi pozarażały, twierdziła, że musiał być podobny jak dwie krople wody do tych skał, których ściany widziała wyglądające

z pośród drzew. Zachwycała ją bogata roślinność i przepych zieloności we wszystkich odcieniach.

Jasiek wymieniał nazwy.

— Niekze słuchajom: ta tu skała zowie się Dudowe kominy, a na niej som Organy. A tam dalej ta naga turnia, to som Stoły. A dalej jest Ratusz, Zamek, Dzwonnica, Groby...

— A cóż za dziwne nazwy! — zawołał Henryk. — Przyjechaliśmy do doliny przez Kiry... Czytałem gdzieś, że z nazw miejscowości, można pierwotne ich dzieje odgadnąć. Z tych tutaj możnaby wnosić, że w dolinie Kościeliskiej odegrał się kiedyś straszliwy dramat! A co to za otwory czworokątne w Dudowych kominach, zupełnie jakby okna w murach?

— To som Zbójeckie okna.

— A dlaczego tak się nazywają?

— Bo to są otwory do jaskiń, w których ukrywali się zbójnicy — odpowiedział Jakób.

— Dawno to było? — zapytał Henryk, zwracający się do Jaśka.

— Et, dawno — odrzekł niechętnie.

— Górale nie lubią mówić o zbójnikach — szepnął mu Jakób półgłosem.

— Dlaczego?

— Najpewniej dlatego, że wielu jest pomiędzy nimi potomków samych zbójników, a żyją jeszcze tacy, którzy zbójowali.

— Ale tu nas nikt nie napadnie? — zapytała dziewczynka, oglądając się trwożliwie.

— Niema obawy: nie kryją się już oni, chodzą spokojnie między ludźmi i o żadnych napaściach nie myślą.

— Ale nikt o tem nie wie?

— Wszyscy wiedzą: takim jest słynny bard tatrzański, Sabała.

— Doprawdy? — zawołali ze zdumieniem brat i siostra.

— Niestworzone rzeczy Kubaś opowiada — odezwała się panna Katarzyna. — To być nie może, nigdy temu nie uwierzę!



Szarotka.  
*Leontopodium alpinum.*



Skalnica czyli Łomikamień.  
*Saxifraga.*

— A jednak tak jest. Cała zagadka polega na różnicy między wyrazem zbójnik a rozbójnik. Górale brzydzą się rozbojem, a zbójowanie mieli sobie za pewnego rodzaju

bohaterstwo. Zbójnik zabierał pieniądze bogatym, a dawał biednym; zabijał zaś tylko w razie koniecznej potrzeby, to jest we własnej obronie. Zbójnik, to junak, bohater!

— Typ Rinaldo-Rinaldiniego — szepnęła, kręcąc głową.

Tak rozmawiając, znajomi nasi posuwali się coraz głębiej w dolinę i upatrywali róży bez kolców, bo choć o niej nikt nie mówił, myśleli jednak wszyscy. Nawet babunia Kasia nie mogła się obronić chęci znalezienia jej przypadkiem, choć się z tem nie wydawała. Nie spotkano jednak róży ani jednej, nawet z kolcami. Zato zdobyto szarotki, tak zwane przez górali „Kocie łapki“, ten klejnot górskiej flory, rosnące kępami na krawędziach skał wapiennych, w mniej dostępnych miejscach. Ale ta niedostępność drobnostką była dla Jaśka; poskoczył, wspiął się jak

kot na skałę i przyniósł kilka kwiatów, których śnieżno-aksamitna białość, czyni je tak niepodobnemi do wszystkich innych, a kształt promienisty przypomina gwiazdy. Znalaziono



Zawojek. *Lilium Martagon*.

zawojek, wspaniałą lilję, której różowe kielichy ciemnymi są usiane punktami. Na wysmukłej łodydze stoi ona zazwyczaj samotna, wzniesiona ponad tłum kwiecisty, a choć



Łomikamień modry.  
*Saxifraga caesia.*

niema w niej żadnych barw złotych, zowią ją powszechnie złotogłowiem. Sąsiedztwo jej bliskie stanowiły skalnice. Rośliny, należące do rodziny Skalnicowatych, prawie wszystkie rosną na znacznych wysokościach wśród skał i kamieni: stąd też ich nazwa pochodzi. Liście ich języczkowate, drobno piłkowane, zebrane są przy ziemi w różyczkę, a kwiaty ułożone w grono na wysmukłej łodyżce, białe, niewielkie, purpurowemi punkcikami znaczne, ni-

by drobnymi kropelkami krwi. Wreszcie znaleziono mięsiste rojniki, z listkami w łuskę dachówkowato ułożonemi, niby maleńkie węże, podnoszące z pośród mchów łebki, zakończone biało-żółtawemi kwiatami.

Nad brzegami strumienia, zraszane pianą jego kryształowych kaskad, rosły wysokie, dumne naparstnice, ukazujące żółte naparstki koron i ponure tojady, przyodziane w fiolety. Rosły rozmaite dzwonki i goryczki, błękitnemi z pośród traw i mchów patrzące na przechodniów oczyma, i zielonawo kwitnące o szerokich wzdłuż pofałdowanych liściach a wysmukłe ciemierzyce.

Henryk i Marysia z niemilknącemi okrzykami radości zrywali piękne kwiaty, a dziewczynka miała już taki wielki pęk, że, nie mogąc go objąć w dłoniach, obiema rękami przyciskała go do piersi.

— Jaki ładny, oryginalny mech! — zawołał chłopiec, wskazując na puszyste pokrycie skały, gdy przystanęli na chwilę.



— To nie jest mech — odrzekł Jakób. — W szczelinach skalnych sadowić się lubią przedewszystkiem drobnolistne roślinki o darnistym wzroście. Te, które tu widzisz, tem się odznaczają, że liczne ich łodygi, tworząc zbitą darenkę, chłoną chciwie wilgoć, którą nasycone niby gąbka długo przechowują. Trzeba widzieć te darninki na wiosnę, gdy się barwnem pokrywają kwieciami! Ja je widziałem i powiem, że niczem przy nich perskie kobierce, taka tu puszystość, takie bogactwo zachodzących na siebie kolorów, taka fantazja w rysunku!



Lepnica bezłodygowa. *Silene axulis*.

— Jak się nazywają te roślinki?

— Lepnica bezłodygowa, naradka, mokrzyca modrzewiolistna, piaskownica rzesowata, cherlerja rozchodnikowa czyli ożobin i kilka innych.

— A te większe okrągławe liście z czerwonym spodem, tak podobne do liści cyklamenów?

— To jest jaślinek, ma drobne kwiatki jasno-fioletowe.

W miejscu, gdzie dolina rozszerza się w obie strony, a na zachód i wschód rozciągają się piękne polany z szarłatami i szopami na siano, stoi pod skałą skromne schronisko. Podróżni nasi skierowali się ku niemu, żeby się posilić i napić herbaty, bo już zbliżało się południe.

Schronisko było puste, ale na stole znajdowały się czyjeś bagaże. Doktor tylko rzucił okiem, zaraz poznał eleganckie puzdro skórzane z mosiężnym okuciem, oraz piękny szkocki pled i rzekł:

— Anglicy tu są!

Słowa te magiczne na wszystkich sprawiły wrażenie. Zobaczyć zbliska Anglika, i to jeszcze Anglika, szukającego

róży bez kolców, była to gratka nielada. Nawet na twarzy babuni Kasi odmalowała się gorąca ciekawość. Wszyscy troje oderwać oczu nie mogli od spoczywających na stole przedmiotów, jakby pociągani siłą magnetyczną.



Naparstnica.  
*Digitalis.*

— Tu gdzieś blisko musi być ogień — odezwała się panna Katarzyna — czuję dym.

Doktór obejrzał się i zobaczył nieco dalej nad strumieniem palący się stos gałęzi, a przy ogniu poważną osobistość z rudemi faworytami, w białym fartuchu i białej czapce na głowie. Kręcił się obok góral, zbierał suche gałęzie i rzucał na ogień. Porozumiewali się na migi. Nieco dalej na trawie stało kilka błyszczących metalowych naczyń.

— Ale gdzież oni są, ci Anglicy? — szepnęła dziewczynka, chwytając Jakóba za poję od surduta, a oczy jej pełne były ciekawości. — Nigdzie ich nie widać!

— Pewnie poszli naprzód — odpowiedział. — Spotkamy ich wracających.

— A więc chodźmy za nimi — prosiła — chodźmy prędko! Ja chcę widzieć Anglików!

— Ależ, Marysiu, babunia musi odpocząć i pan Jakób także — zrobił uwagę chłopiec. — Wszyscy już głodni jesteśmy; pewnie i ty także.

Dziewczynka nie zaprzeczyła. Jasiek postawił koszyk z żywnością i wzięwszy samowar, poszedł z nim do ognia; w schronisku tymczasem posilano się, rozmawiając ciągle o Anglikach. Odpoczynek nie trwał długo; samowar był wkrótce gotów i po herbacie ruszono dalej, pomimo że doktor perswadował pannie Katarzynie, iż powinna dłużej wypocząć.

— Nie jestem zmęczona, doprawdy że nie, upewniam Kubusia — tłumaczyła się staruszka, trapiąca ciekawością prędszego ujrzenia Anglików.

Uszedłszy nie więcej nad kilkadziesiąt kroków, ujrzeni w miejscu cieniście, pod dużym świerkiem, pled na mchu rozłożony. Na pledzie, oparta plecami o głaz olbrzymi, siedziała piękna, bardzo dystyngowana dama w jasnym płaszczyku z surowego jedwabiu i bawiła się machinalnie kosztowną rączką parasolki; na twarzy miała wyraz tylko co stłumionego rozdrażnienia. Obok niej leżał kapelusz z cienkiego włókna palmowego, jasną przepasany wstążką — a z pod kapelusza wyglądała książka z czerwonymi brzegami. U stóp damy młoda jej towarzyszka układała bukiet z liści paproci i kwiatów dokoła rozsypanych. Skromna jej suknia z jasno-popielatej wełny za jedyną ozdobę miała wstążkę niebieską, związaną pod szyją, i takąż samą w pasie przepaskę. Były to Angielki.

Pan Jakób zdjął kapelusz, gdy mijał tę grupę. Milady raczyła się dość grzecznie odklonić, poczem podniosła do oczu lornetkę i przypatrzyła się uważnie przechodzącym.

— Piękna, ale niesympatyczna osoba — zauważyła panna Katarzyna. — Ma jakiś kwaśny wyraz twarzy i wygląda na bardzo dumną. Musi być chora, kiedy zamiast iść dalej, wołała tutaj pozostać.

— Czy pan uważał, że ona wzięła z sobą książkę? — odezwał się Henryk z oburzeniem. — Książka w Kościelskiej dolinie! A to czysta herezja!

— Może do nabożeństwa — zrobiła uwagę panna Katarzyna.

— Nie zdaje mi się — powiedział, uśmiechając się, doktor. — Z tego, czego byłem świadkiem na Starej Polanie, wynioskowałem, że ta pani przyjechała w Tatry niechętnie.

— Widocznie jest przywiązana do starego baroneta i nie chciała go puścić samego w tak daleką podróż.

— Wątpię: byłem nawet świadkiem, jak sir Warburton,

słyszając jej narzekanie na ten „szkaradny kraj“, czemu zresztą dziwić się nie można było, bo mówiła to w czasie ulewy, wymawiał jej, że się „uparła“ tu jechać, mimo jego odradzania i wbrew własnej chęci.

— Cóż ją więc zmuszało do tego?

— To tylko ona sama wie. Ale oto jesteśmy przy Pisanej.

Takie nosi nazwisko wysoka, gładka, prostopadła skała, pokryta napisami do wysokości człowieka i mająca przez to pozór olbrzymiej karty. Miękki wapień łatwo daje rycć po sobie, a jest równie jak papier cierpliwy; czy na nim kładą mądre myśli, czy lichy koncepty, wszystkie z jednaka znosi rezygnacją. I tem cierpliwiej znosi, że usłudni przewodnicy zacierają siekierkami dawniejsze napisy, aby przysporzyć miejsca dla świeżych nazwisk, które znowu z kolei innym ustąpić muszą. Podróźni nasi z ciekawością odczytywali różne zdania, cytacje z poetów, wreszcie nazwiska, między którymi wiele było znanych i sławnych — i umieścili własne na brzeźku skały, w miejscu niewidocznem wprawdzie, ale nie pokrytem jeszcze napisami.

— Czy też Anglicy zapisali się tutaj? — mówił Henryk, pilnie szukając. — A jest, jest! Dużemi wydatnemi literami: *Edward Warburton z Rochdale; Dawid hrabia Chester, Walter Dowmond...* hm, dziwne nazwisko, jak na Anglika, i *Johan Strand*<sup>1)</sup>.

— A, i profesor tu jest — rzekł Jakób, przyjemnie zdziwiony — widzę, że dotrzymuje towarzystwa swoim dawnym znajomym.

Z pod Pisanej, jak z czeluści, wytryska gwałtownie stru-

---

<sup>1)</sup> Zwyczaj rycia napisów na skałach w górach, aczkolwiek rozpowszechniony bardzo i jak na Pisanej dawniej ogólnie przyjęty, nie jest właściwy i pochwały godny i obecnie jest słusznie i energicznie zwalczany przez zwolenników idei Ochrony Tatr. Zaśmieca tylko i brudzi skały i przyzwyczajają do złego nałogu bazgrania podpisami ścian schronisk, murów i t. p. i umieszczania ich gdzie się tylko da, nieraz zupełnie po barbarzyńsku, np. na pomnikach, balustradach kamiennych i t. d., jak to się dzieje np. w Krakowie na balustradach kamiennych Wawelu,

mień, a prąd powietrza jest tak silny, że nachyliwszy się, czuje się go na twarzy. Jasiek, występujący w roli przewodnika, oświadczył poważnie, że w pieczarze śpi wojsko zakłète; że otwór sięga bardzo daleko i niewiadomo, dokąd prowadzi, oraz że tu jest źródło Czarnego Dunajca. Ale doktor zaprzeczył tym dwom ostatnim dowodzeniom.

— Woda, wypływająca z pod skały, nie jest wcale źródłem, tylko częścią rozszczepionego wyżej potoku Kościeliskiego. Co zaś do długości i rozmiaru tej pieczary, badał ją dawniej poeta Seweryn Goszczyński a w tych czasach dr. Jan Pawlikowski. Dostawali się tam oni z wielkimi trudnościami, i odkryli w tej skale kilka jaskiń, przez które przepływa potok. Do końca jednak labiryntu żadnemu dostać się nie udało, bo trafili na tak wąskie przejście, że tylko woda przezeń dalsze miała ujście.

Jasiek słuchał opowiadania z drwiącym półuśmiechem. Miał on własne o tem zdanie, ale milczał.

— Znaleźli tam jednak rzecz dziwną, rzecz, której nie szukali: ślady ludzkiej pracy. Dno pod wodą wyłożone jest drzewem, poprzykładanem kamieniami, i w dwóch miejscach strop podstemplowany dylami. Kto tego dokonał, w jakim celu i kiedy, to zagadka!

— Może zbójnicy ukrywali tam swoje skarby — zrobił uwagę Henryk.

— Może i to być — odrzekł Jakób. — Chodźmy teraz do miejsca, skąd dobywano złoto.

Słowa te wstrząsnęły wszystkich jak iskra elektryczna.

— Co! Gdzie? Czy być może! — wołali naprzemian Henryk i Marysia. — Złoto tu, w dolinie Kościeliskiej?

---

w Warszawie na pomniku Sobieskiego w Łazienkach, na ruinach zamku w Kazimierzu i t. p. Z tych względów powinien być bezwzględnie zarzucony. Za czasów wycieczki sir Warburtona idee ochrony przyrody nie były jeszcze tak silnie zaszczone w świadomości społeczeństwa, to też możemy wybaczyć temu kulturalnemu człowiekowi ten (z punktu widzenia naszych dzisiejszych na to zapatrywań) niewłaściwy i karygodny czyn. (K. S.).

— Kubuś chyba żartuje — odezwała się panna Katarzyna, patrząc na doktora z niedowierzaniem.

— Mówię najprawdziwszą prawdę!

— Hm, hm, a czy to daleko? — spytała. — Idziemy ciągle pod górę... Jestem zmęczona, i chciałabym przysiąść.

— Niedaleko. Przejdziemy mostek, potem jeszcze kawałek drogi pod skałą i będziemy u celu. Dolina tam znowu się rozszerza, a na prawo jest mała polanka.

Wkrótce zatrzymano się przy owej polance: na jej środku, wśród głązów mchem obrosłych, stał krzyż żelazny, wprawiony w podstawę z młyńskiego kamienia. Na ramionach krzyża wpisane były słowa Ś-go Pawła: „*I nic nad Boga*“.

Krzyż ten, w tem miejscu, wobec wspaniałej natury taki samotny i cichy, taki mały i taki zarazem wielki w swej prostocie, głębokie sprawia wrażenie. Odczuli je wszyscy. Panna Katarzyna uklękła i modliła się gorąco, aby Bóg pozwolił wyrosnąć zdrowo Marysi, a dzieci uwiły wieniec z kwiatów i liści paproci, których tu rosła obfitość i złożyły go u stóp krzyża.

— Dziękuję Kubusiowi, żeś nas tu przyprowadził — rzekła staruszka, siadając na kamieniu obok. — A teraz powiedz nam, co wiesz o tem złocie.

— Tu, na tem mniej więcej miejscu — rzekł doktor, siadając także — ale bliżej potoku, stała za czasów Zygmunta I-go płuczka, czyli młyn, jak mówią górale, w której woda, ściekająca po równi pochyłej, oddzielała złoto od piasku. Ślady jakiejś budowli i dwa młyńskie kamienie znalazł jeszcze Pol w 1852 r., gdy był tutaj z towarzyszymi. Nie ulega wątpliwości, że złoto w dawnych czasach znajdowano w Kościeliskim potoku; zczasem jednak wyczerpało się ono i nie opłacało kosztów dobywania. Zdaje się, że to nastąpiło jeszcze za czasów wspomnianego króla. Starzy ludzie powiadają, że ostatni młynarz, który tu złoto dla króla wyplukiwał, został zabity przez opryszków i tutaj pochowany. Krzyż stoi na jego mogile.

— Musiałby mieć zatem około czterystu lat — odezwał się Henryk — a wygląda jakby go niedawno wzniesiono.

— Krzyż pierwotny burza obaliła, zniszczyły słoty, kamień zaś z mogiły obsunął się po pochyłości na brzeg potoku. Towarzysze Pola wyciosali krzyż świerkowy, wyryli napis i dźwignęli kamień na dawne miejsce. Potem krzyż kilkakrotnie ulegał zniszczeniu, aż Towarzystwo Tatrzańskie kazało go odlać z żelaza.

— A co znaczy ten stos suchych gałęzi na boku? — pytał Henryk.

— Jakiś bezbożny Podhalanin, który duszę djabłu zapisał, założył się, że obrobiony kamień młyński zawiezie w niedzielę, w czasie nabożeństwa, na Ornak<sup>1)</sup>. Wioząc go, tam właśnie wywrócili się i kamień go zabił; tam też go pochowano, a każdy przechodzień rzuca świerkową gałąź na mogiłę według starego zwyczaju. Co rok powstaje z tych gałęzi nowy stos, który w jesieni zapalają, odmawiając pacierz za duszę grzesznika.

— Dzień dobry, doktorze — dał się słyszeć nagle głos znany i z poza dwóch dużych głązów wyszedł malarz, a uchyliwszy kapelusza w stronę pań, przystąpił do Jakóba, mówiąc: — Niedawno odszedł stąd sir Edward Warburton ze swoim towarzystwem. Wyobraź pan sobie, siedział przy krzyżu pół godziny z głową, opartą na dłoni, i nie odstąpił twarzy ani razu.

— Cóż to panu szkodzi?

— Co? Dobry pan sobie jesteś! Od samego początku doliny idę krok w krok za nim w pewnej odległości, tak, żeby nie być widzianym, i czatuję na sposobność narysowania go *en face*. Szkic, zrobiony przezemnie na Starej Polanie, przedstawia tylko profil, a mój doża, zaślubiający morze, musi stać na przodzie okrętu, patrząc wprost na widza, w pełnem oświetleniu, w całym majestacie potęgi

---

<sup>1)</sup> Hala i góra noszą tę nazwę.

i poczuciu własnej siły. Pojmujesz pan, iż Anglik nie powinien wiedzieć, że mi pozuje, bo wszystko byłoby stracone. Zdjąłem wprawdzie szkic z niego, gdy siedział zadumany, ale to tylko tak, dla własnej przyjemności.

Wyjął z teki kartkę i podał Jakóbowi.

— O kim panowie mówicie? — spytała panna Katarzyna, posłyszawszy ostatnie słowa tej rozmowy.

— O sir Edwardzie Warburtonie.

— Czy i ja mogę zobaczyć ten szkic?

— I owszem — rzekł Witold uprzejmie, podając kartkę — oto jest.

— Ależ tu niema wcale twarzy! — powiedziała ze zdziwieniem. — Ręka, podpierająca głowę, zasłania ją zupełnie.

— A jednak jest wyraz w tej postaci, chociaż twarzy nie widać — zauważył doktor.

— Tak, jest wyraz — powtórzyła — wieje z niej smutek bezdeny.

— Jest coś zagadkowego w tym człowieku — mówił malarz. — Patrzyłem na niego, gdy stał przy Pisanej; byłem bardzo blisko, ale nie widział mnie. Rozglądał się w napisach, jakby one mogły interesować cudzoziemca! Wreszcie zatrzymał wzrok na cytacji znanego wiersza Pola, którą wyrył ktoś w samym środku:

A czy znasz ty, w której stronie  
Takich jezior takie tonie;  
Takie chmury nad górami,  
Takie niebo nad chmurami!

Otóż oczy jego szły w kierunku wiersza od początku do końca jakby czytał; uważałem to dobrze.

— Pewnie się panu zdawało... — powiedział doktor zamyślony. — Czy profesor był razem z baronetem? Widziałem podpis jego na skale obok ich podpisów.

— Tak, poszli razem w kierunku Pysznej. Idę za nimi, może mi się lepiej powiedzie. Chodź pan ze mną!

— Nie jestem sam — szepnął Jakób.



— Ależ idź, idź, Kubusiu — prosiła panna Katarzyna, domyśliwszy się tych słów — i zabierz z sobą Henryka. Jasiek zostanie z nami i zaprowadzi nas do schroniska. Czy prędko będziecie zpowrotem?

— Nie umiem pani tego powiedzieć: ale gdybyśmy nie wrócili przed zachodem słońca, niech panie siadają na wóz i wracają do Zakopanego, bo wieczory w dolinach bywają chłodne, a chłód może zaszkodzić Marysi. My z Henrykiem towarzyszyć będziemy panu Witoldowi i choćby nas długo nie było widać, niech pani o nas będzie zupełnie spokojna.

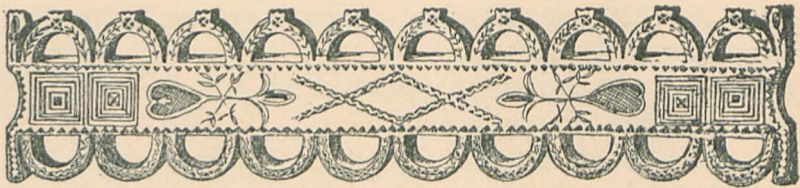
— Wiem, że pod opieką twoją nic mu się złego nie stanie — odpowiedziała. — Ufam ci zupełnie, Kubusiu. Do widzenia.

Marysia miała ochotę rozplakać się, że nie idzie także na wycieczkę, ale Henryk jej szepnął do uszka, że babunia Kasia nie mogłaby tak tu zostać bez żadnej opieki — i to nietylko łyzy dziewczynce wstrzymało, ale napełniło ją zadowoleniem, iż jest tak ważną i poważną osobą, że może nawet opiekować się starszymi od siebie.

Obie z babunią przeprowadziły wzrokiem trzy oddalające się postacie, a gdy zniknęły na zakręcie wijącej się pod skałą drożyny, staruszka spostrzegła, że szkic malarza pozostał w jej ręku.

Wyjęła z kieszeni okulary, przetarła je i zaczęła się znowu przypatrywać; wreszcie położyła kartkę i zamyśliła się głęboko.

Jak czasem nuta posłyszanej niespodzianie piosenki, lub widok jakiegoś przedmiotu budzi echa przeszłości, nawiązując nie wspomnień, po której przechodzą kolejno przed oczy duszy przeżyte boleści i radości, tak widok tej postaci z twarzą zasłoniętą, postaci nieznanego człowieka, obudził w duszy staruszki najboleśniejże wspomnienia z jej życia. Przeszłość tak żywo przed nią stanęła, jakby to była chwila obecna: przycichłe bóle odżyły na nowo i dwie ciężkie łyzy stoczyły się z jej oczu...



## VI.

### DOŻA WENECKI.

*Orzeł wisi na szafirze,  
Jak na tarczy rznięty znak.  
Prąd potoku brnie po żwirze,  
Jakby twardy życia szlak.*

*Deolyma: Płoska w Karpatach.*

Droga od krzyża wiedzie cienistym lasem do polany, gdzie też wydaje się zawsze podróżnikowi, że doszedł do końca doliny Kościeliskiej, zamkniętej dokoła górami. Ale tu niespodzianie odsłaniają się dalsze przestrzenie w rozległy okrąg rozwinięte. Droga na Bystrą przez Pyszną dość łatwa, a w połowie mniej więcej odległości napotyka się hałą prześliczną, zwaną Ornakiem. Płynące przez nią z gór trzy strumienie łączą się tu w jeden i pędzą w dolinę; jest to właśnie początek Czarnego Dunajca.

Jakób i Witold rozmawiali, a Henryk rozmyślał, że idzie oto brzegiem potoku, którego wody niegdyś niosły złotodajny piasek. Kto wie, czy i dziś jeszcze, poszukawszy, nie znalazłoby się w nim złota! Może nagromadziły się nawet całe pokłady... bo od czasu, gdy poszukiwania przerwano, upłynęło już parę wieków. A gdyby też jemu dane było odkryć te pokłady... coby to była za radość! Wszyscy w Miratyczach odetchnęliby swobodniej! Zapłaciłoby się długi i ustałyby procenty, pochłaniające plony z pól. Dziadek przestałby chodzić w łatanym szlafroku; Henryk sprawiłby

mu zaraz nowy, z miękkiej ciepłej flaneli. Kazałyby mu pokryć świeżą skórą fotel, który babunia Kasia od wielu lat pracowicie łątała ceratą. O, ta babunia, która im obojgu zastępowała matkę, jak ona uboga chodziła!...

Westchnął.

Tutaj podróżni nasi chwilę odpoczęli stojąc; uderzył ich widok mnóstwa drzew, złamanych do połowy. Był to ślad jakiejś starej katastrofy: istne pobjowisko! Jedne, już zupełnie uschłe, służyły za podstawę dla całych pokoleń mchów i paproci: inne zieleniły się u spodu od świeżych, bujnych pędów.

— Oto robota lawiny, o której mi opowiadano w Zakopanem — odezwał się Jakób. — Lawina ta, staczając się gwałtownie w dolinę, zabiła kilku ludzi, a las, rosnący na pochyłości Ornaku, tak zwałała, jakby kto kosą drzewa popodcinał. Wiele drzew stąd uprzągnięto, inne rozsypują się w proch pod działaniem powietrza i roślin pasorzytnych.

— Jest to widocznie robota z poprawkami — dodał Witold — bo są też złamania świeżej daty. W Alpach takie klęski zdarzają się często, ale w Tatrach podobno bardzo rzadko.

— Powiedz pan, że rzadko w postaci katastrofy; bo gdzie są góry tak wysokie, tam powstawać muszą i lawiny. Byłem raz zimą w Zakopanem i sam widziałem lawinę, staczającą się z Giewontu z odgłosem, podobnym do grzmotu, i słyszałem huk przy spadaniu, jakby kilka piorunów uderzyło naraz.

— Wspaniała to rzecz być musi, ale i straszna zarazem — odezwał się Henryk. — Ciekaw jestem, jak taka lawina powstaje?

— Nieodrazu ona powstaje — rzekł Jakób. — W zimie śniegu nie brakuje, zwłaszcza na szczytach gór, gdzie leżą twardnieje. Otóż, gdy na pochyłej powierzchni starego śniegu nagromadzi się w dużej ilości śnieg świeży a wilgotny, wtedy najmniejsze wstrząśnienie powietrza, a nawet krzyk lub odgłos strzału odrywa te nagromadzone masy od ich

podstawy. Sypią się one jedne na drugie, zlepiają, wirują, pędzą z hukiem ku dołowi coraz szybciej i rosną, a w tym szalonym pędzie unosi się tuman śnieżnego pyłu i otacza lawinę obłokiem; powietrze porwane jej pędem, wytwarza silny wichur i przygina drzewa. Lawina niszczy wszystko, co spotka na drodze.

— Straszna więc śmiercią zginęli ci ludzie na Ornaku — rzekł Henryk — ale przynajmniej zginęli w jednej chwili, bo siła tak potężna zabija chyba odrazu.

— Słyszałem o takich, którzy w Alpach porwani zostali przez lawinę, a jednak nie zginęli — mówił dalej doktor. — Podobno w czasie pędu mogli swobodnie poruszać członkami i doznawali takiego wrażenia, jakby płynęli; ale gdy się lawina zatrzymała, uczuli, że są przygwożdżeni do zlodowaciałego śniegu. Dopiero po pewnym czasie, gdy ciepło ich własnego ciała stopiło nieco otaczający ich śnieg, uwieczni mogli się poruszać, oswobodzić rękę lub nogę, lub wreszcie część ubrania, za które zostali schwytani.

— Czy owa lawina na Ornaku była taka sama, jak tamta w Alpach?

— Nie wiem. Może to była wiosenna lawina i spadła w czasie odwilży, podobnie jak śnieg, zsuwający się z dachów. Rośnie ona ciągle od napotykanego po drodze śniegu, ale nie wytwarza dokoła siebie tumanu.

— Straszne są siły niszczące natury — odezwał się malarz. — Ludzie wprowadzie bronią się przeciwko nim, jak mogą i umieją, ale niezawsze im się to udaje. Do takich środków należy stawianie domów z dachami tak pochyłymi, żeby lawinę oszukać mogły, uchodząc za dalszy stok góry. Wtedy lawina przelatuje po dachu dalej. Muszę kiedy namalować obraz, przedstawiający ludzi, zaskoczonych przez lawinę; ale żeby dzieło moje miało wszelkie cechy prawdy, chciałbym wprzód sam tego doświadczyć.

— A jeżeli pan zostanie zasypany? — zapytał, śmiejąc się, Jakób.

— Ha, to obrazu nie będzie — odrzekł z rezygnacją. — Lepiej zginąć, niż zostawić potomności dzieło słabe, niezgodne z prawdą. Ale co to jest? — dodał, zatrzymując się. — Jakieś doły i kupy gruzów!

— To są szczątki kopalni, z której dobywano rudę żelazną.

— Idźmy więc ostrożnie, bo kto wie, czy pod nami niema jakich zapadających się sztolni — mówił malarz, badając ostrożnie grunt laską. — Ale widzę szałas ponad lasem: podobno tu najlepsze na całe Tatry sery wyrabiają. Czy pójdziemy tam mleka się napić?

Henryk na wzmiankę o mleku poczuł głód i pragnienie.

— Ten szałas wśród szmaragdowej zieleni to hala Pyszna; pewnie tam znajdziemy odpoczywających Anglików.

— Niema nikogo — odrzekł malarz, dobrym obdarzony wzrokiem. — Przed szałasem siedzi juhas<sup>1)</sup> i pali fajkę.

Wkrótce byli przy szałasie. Wyniesiono im mleka, a gdy się napili i spoczęli trochę, Henryk zaczął wypytywać o turystów, którzy tędy iść mieli. Juhas odpowiedział, że byli, ale poszli na Bystrą.

— Jakże, czy idziecie ze mną? — zapytał Witold, zwracając się do towarzyszy.

— Naturalnie, że idziemy!

— A więc chodźcie, bo czas! Musimy wejść na górę, póki słońce jeszcze wysoko, i naturalnie odpocząć z godzinę na szczycie.

Ścieżką dobrze było iść ku górze, choć nieco stromo, między rosnącą po bokach kosodrzewiną. Trawa, po której stąpali, była śliska, a przedzieranie się przez głązy, pokrywające górę, dość trudne. Ale po niedługim stosunkowo mozołe ścieżka ta wywiodła podróżnych naszych na pienny grzbiet góry, na której stoku z drugiej, węgierskiej<sup>2)</sup> strony, widzieli leżący śnieg. Grzbietem postępując coraz wyżej,

---

<sup>1)</sup> Pasterz. <sup>2)</sup> Obecnie czeskiej. Obecnie istniejące tu słupy graniczne dzielą Polskę od Czechosłowacji.

doszli aż na sam wierzch, gdzie widniał słup graniczny, oddzielający Galicję od Węgier. Postępując jeszcze czas jakiś wciąż w górę na południe od granicy, już po stronie węgierskiej, doszli wreszcie na najwyższy szczyt Tatr Zachodnich, Bystrą. Znajdowali się na wysokości 2.250 metrów.

Na najwyższym punkcie szczytu wśród głazów olbrzymich stał ten, o którym mówiono przy krzyżu — milczący, dumny, majestatyczny i zagadkowy.

— Mam go! — szepnął malarz. — Mam mego dożę weneckiego. Postać jak stworzona do purpury i gronostajów.

I wyjąwszy teczkę i ołówek, ukryty za głazem, jął szkicować cudzoziemca w całej postaci.

Towarzysze baroneta, jedni napół leżąc, inni w siedzącej postawie napawali się wspaniałym widokiem z tego szczytu i orzeźwiającem powietrzem wirchów. Najwyższy to punkt w zachodnich Tatrach i dlatego widnokrąg dokoła jest tak rozległy na węgierską stronę, na wioski, miasteczka, doliny, na półka małe, pokryte zielonością różnych odcieni, wreszcie na Tatry. Boki szczytów z tej strony są więcej spadziste, pokryte płatami śniegu podczas lata, co im nadaje większą dzikość, a zwierciadłom ich jezior większą uroczystość. I roślinność uboższą północny polski stok posiada. Po stronie południowej krajobrazy weselsze, barwy żywsze i stoki słodkim pokryte winogradem.

Sir Edward stał i patrzył... w lewej ręce trzymał kapełusz, a prawą wspierał na ciupadze. Oczy jego ogarniały widnokrąg z wyrazem nieopisanej tęsknoty, a czoło kapało się w blasku przechylającego się już ku zachodowi słońca — czoło genialne, ze znacznymi wypukłościami nad oczami i przecinającą je pionowo głęboką fałdą. Na ustach, napół przystoniętych wąsem, błąkał się jakiś gorzki wyraz.

Malarz rysował i podziwiał niespożytą siłę tego człowieka, wchodzącego bez widocznych śladów utrudzenia na wysokie szczyty i uganiającego się za różą z młodzieńczym zapamię.

— Gdybym był powieściopisarzem — myślał — wziąłbym go za bohatera.

Górale baroneta, nie pytając o rozkazy, zajęli się przysposobieniem herbaty. Na szczycie wprawdzie nie było ani wody, ani paliwa, ale od czego spryt przewodników? Kosodrzewiny nzebierano w pęki po drodze, a wody zaczerpnięto u zlewiska trzech potoków na Ornaku. Trzask łamanych gałęzi wyrwał Anglika z zadumy. Odwrócił się i spostrzegł przybyłych.

— A, witam panów — przemówił po niemiecku, wyciągając uprzejmie rękę do doktora i malarza — rad jestem, żeśmy się tu spotkali! Zapraszam was na *five o'clock*; będzie nam weselej.

Pan Jakób przedstawił Henryka jako swego przyjaciela, a sir Edward lekko skinął głową, zaledwie spojrzawszy na chłopca. Mimo to, jak gentleman prawdziwy, zapoznał go z Dawidem, któremu szepnął, żeby starał się być uprzejmy dla gościa.

Obaj chłopcy spoglądali na siebie ciekawie: Henryk obserwował elegancki ubiór wycieczkowy małego Anglika: jego zamshowe spodnie, piękne buty podkute żelazem, kurtkę z błyszczącemi guzikami i zielonym kołnierzem, ładną torbę z jasnej skóry, przewieszoną przez ramię i wysoki kapelusz tyrolski z piórem. Twarz, wyglądająca z pod tego kapelusza, duża i nalana, nie była ani pociągająca, ani odstręczająca: zmęczenie zabarwiło ją lekkiemi kolorami, nadając pozory życia, którego zazwyczaj nie miała. Najwięcej zaś dziwił się Henryk długim fryzowanym włosom. Duży alpejski kij dopełniał tego stroju, zrobionego podług najświeższej mody sportu górskiego.

Młody hrabia ze swej strony przypatrywał się z pewnem lekceważeniem skromnemu ubraniu rówieśnika, sporządzonemu z taniego materiału. Lekkie i wygodne uwydatniało smagłą budowę chłopca, nie krępując jego ruchów,

a w serdaku, naszywanym barwną skórą, było Henrykowi bardzo do twarzy.

Posłuszny wezwaniu dziadka Dawid podał Henrykowi rękę i powitał niemieckiem: „dobry wieczór“. Ale Henryk mało rozumiał ten język, więc odpowiedział po francusku i na tem się skończyło.

— Czy nie spotkaliście panowie po drodze profesora Stranda? — zapytał sir Warburton. — Zginął nam w lesie, jeszcze przed Ornakiem. Czekaliśmy na niego, wołaliśmy, ale się nie pokazał.

— Może mu się odechciało iść dalej i odpoczywa sobie w jakim miejscu cieniście — odrzekł malarz. — Znajdziemy go, wracając.

— Obawiam się raczej, że zabłądził... On taki roztargniony! Ale mam nadzieję, że znajdziemy go przy pomocy naszych przewodników, którym, jak widzę, szkoccy górale nie potrafią dorównać.

I wskazując na najbliższe szczyty, mówił dalej:

— Myślałem właśnie, że możnaby stąd na sąsiednią górę przejść grzebieniem, a stamtąd na dalsze, zwłaszcza na tę wysoką, szaroskalistą, pokrytą tu i ówdzie płatami śniegu. Taka przechadzka po szczytach bez schodzenia w doliny może być bardzo przyjemną!

Witold i Jakób wymienili spojrzenia. Sir Edward mówił o tem, jakby o zwykłym spacerze po londyńskim parku. Czy naprawdę mu się czegoś podobnego zachciewa? Czego on chce zatem? POCO przyjechał w Tatry? Czego szuka? Jeżeli jako zwykły, pragnący wrażeń turysta, czemu nie przyznaje się do tego otwarcie?

Baronet nie zauważył wrażenia, jakie sprawił i mówił dalej:

— Zadawałem sobie przed chwilą pytanie, skąd się tu wzięły te olbrzymie głazy, zdające się być granitem? Wiadocznie są to resztki osypanego wyższego dawniej szczytu. Złomy jego kruszeją od wpływów atmosferycznych, pękają;



woda spycha je z góry, rozbija, i spadają rumowiskiem w dolinę, której poziom tym sposobem ciągle się podnosi. Te rozległe grzbiety i szczyty niegdyś ku niebu sięgały. Każda zima rozsadza skały, każdy piorun je strąca, zniżając powoli te harde głowy. Po upływie wieków z tej wspaniałej rzeźby gór niebotycznych pozostaną może tylko wzgórza! Dobrze, że zdążyliśmy urodzić się teraz, póki jest parcie na co i co podziwiać.

Gdy to mówił, dał się słyszeć w górze przerażający świst i głos żałosny:

— Kia, Kiach!..

Warburton podniósł głowę i ujrzał wspaniałego ptaka, płynącego majestatycznie ponad szczytami, a rudawe jego upierzenie w blasku słońca miało złociste połyski. Jakby się przypatrzeć chciał spoczywającym wędrowcom, królewski ptak zawisł nieruchomo w powietrzu, poruszając zaledwie końcami lotek, prawie bez pomocy skrzydeł.

— *Aquila aurea* — rzekł pan Jakób — czyli złoty orzeł. Co za wspaniały okaz!

Wszyscy podziwiali go, czyniąc różne uwagi, mianowicie, czy wytrwa długo w tej pozycji, ale potężne skrzydła poruszyły się, i orzeł popłynął ku bielejącym wdali szczytom Krywania.

— Pierwszy to mieszkaniec szczytów, jakiego tu spotykam — odezwał się baronet, który najdłużej ścigał go oczyma.

— Jakie wrażenie Tatry zrobiły na panu? — zapytał malarz.

— Nie znam ich jeszcze: z tego, co widzę, dzikość ich uderza mnie więcej jeszcze, niż pięknosc.

— A dolina Kościeliska?

— O, to jest najdziwniejsza, jaką można sobie wyobrazić, fantazja natury — odpowiedział z ożywieniem.

— Gród skamieniały, zbudowany przez olbrzymów — wtrącił Jakób — nieprawdaż?

— Jest to czysty gotyk — mówił dalej baronet — wspinała świątynia, której stropem jest błękit nieba, a podłogą szmaragdowy kryształ potoku. W świątyni tej stoją setki kamiennych filarów i tysiące posągów, delikatnie kowanych. Silić się na określenie piękności tej doliny, byłoby rzeczą zbyt zbyteczną; trzeba być na to poetą lub artystą. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Dlatego, gdy mnie pan pyta o wrażenie, zamknę je w dwóch słowach: jestem zdumiony!



Pełnik siedmiogrodzki.  
*Trollius transsilvanicus*.

Doktór wtrącił zapytanie, czy sir Warburton nie spotkał róży bez kolców.

— Upatrywałem jej na stokach i zboczach, oraz w okolicach strumienia, ale nie dostrzegłem nigdzie. Walter wytłumaczył góralom, czego szukam, i zdawało się, że go zrozumieli, bo rozbiegli się w różne strony i przynieśli kilka okazów tej oto roślinki, nie będącej w dalszem nawet z różą pokrewieństwem.

Skinął na swego grooma, a gdy ten podał mu zieloną puszkę blaszaną, wyjął z niej ostrożnie niewielką roślinkę z pierzastymi liśćmi i żółtym kwiatem, którego płatki ułożone były na podobieństwo płatków róży.

— Pełnik siedmiogrodzki, *Trollius transsilvanicus* — powiedział Jakób, oglądając ją. — Ładny okaz: jest to kwiat, uważany przez górali za najpiękniejszy, i nazywany przez nich „lelują“. Kształt i układ płatków korony wprowadziły ich w błąd. Walter, umiejący trochę po polsku, objaśnił ich, że szukamy czego innego, więc rozbiegli się zno-

wu i przynieśli mi cały bukiet, ale róży w nim ani śladu. Oto jest!

Były tam: gwoździk pierzasty, jaskier alpejski, przez górali „pieprzem halnym“ zwany, ostróżka wyniosła, dwa gatunki tojadu, liczne jastrzębce, pluskiewniki i kilka rzadkich roślin strączkowych, oraz miesięcznice. Te ostatnie górale cenią bardzo jako ozdobę do kapeluszy na uroczystości weselne — bo srebrzysta wewnętrzna błonka łuszczyнки, owocka, podobnego zewnątrz do strączka, wygląda bogato, gdy po wypadnięciu nasienia, obie połowy odwrócą się na lewą stronę. Wtedy nadają się do układania kiści, wspaniałych jak pióra strusie, a połyskujących jak atlas. Wszystkie te rośliny gromadzą się na mniej stromych skałach wapiennych, poprzerrywanych piargami<sup>1)</sup>, gdzie z biegiem czasu skupi się więcej czarnoziem.

— Wasza Miłość posiada podobno największy i najkompletniejszy zbiór róż w całej Anglii — zagadnął Jakób — musisz być, sir, wielkim tego kwiatu miłośnikiem?

— Istotnie, posiadam komplet wszystkich znanych odmian — odrzekł — brak mi tylko róży bez kolców, której szukam, i róży błękitnej, za którą się nie ubiegam, bo jej istnienie zaliczam do bajek. Jest wprawdzie podanie, że Maurowie hiszpańscy posiadali róże niebieskie, otrzymane wskutek podlewania roślin roztworem *indygo* z wodą, ale



Tojad. *Aconitum*.

<sup>1)</sup> Usypiska kamieni.

doświadczenie przekonało mnie, że to nieprawda. Powiadasz pan, że muszę być wielkim miłośnikiem: tak jest istotnie. I cóż zresztą dziwnego? My, Anglicy, mamy słabość do kolekcjonowania. Jedni zbierają książki, dzieła sztuki, starożytności, inni laski, kapelusze lub guziki; ja zbieram róże, słabość nie tylko nieszkodliwa, ale nawet przynosząca korzyść. Kwiaty lubiłem zawsze, a kwiat róży nad wszystkie inne przenoszę, bo to kwiat prawdziwie królewski, i zdaniem mojem, żaden inny nie może się z nim porównać. Żaden też chyba nie jest tak rozpowszechniony. Róża zajmuje większą część naszego globu, mianowicie całą północną półkulę. Jedną tylko Australją jest upośledzoną pod tym względem przez naturę, gdyż mimo poszukiwań botaników, nie znaleziono tam róż, w stanie dzikim rosnących, podobnie jak pod samym równikiem i na półkuli południowej. Przypuszczam, że Opatrzność, dając róży tak szerokie rozsiedlenie, musiała, oprócz rozkoszy, jaką ludziom sprawia jej piękność i woń przepyszna, mieć jeszcze inne cele. Pan, jako doktor, może co wiesz o tem?

— Rzymianie uważali ją za środek leczniczy, zwłaszcza przeciw wścieklicznie — odrzekł Jakób — i stąd prawdopodobnie pochodzi nazwa róży psiej: *Rosa canina*.

— Czy pan zna legendę o kolcach róży? — odezwał się Witold.

— O kolcach róży? Nie, mów pan!

— Rapin, pisarz francuski, podaje taką opowieść: Rodanthe, królowa Koryntu, swą nadzwyczajną pięknnością wzbudziła miłość licznych książąt, lecz wzgardziła ich hołdami. Doprowadzeni do rozpacz, oblegli ją w świątyni Diany, gdzie się schroniła ze swym ludem, który, olśniony jej pięknnością, domagał się, aby zajęła miejsce bogini. Apollo, rozgniewany za zniewagę, wyrządzoną Dianie, jego siostrze, zamienił Rodanthe w krzak róży. Poddani, ciśnący się na pomoc królowej, zostali przemienieni w kolce: z książąt jeden w motyla, inni we dwa skrzydlate owady

i wszyscy odtąd krążą bezprzestannie dokoła ukochanego kwiatu.

— Legenda bardzo poetyczna — rzekł baronet z uśmiechem — ale mnie więcej jeszcze podoba się to, co wielki liryk grecki Anakreon powiedział o róży: „że śmieje się swym powabem i płacze kolcami“.

— Pan nie lubi łez, skoro poszukuje róży bez kolców — wtrącił odniechceni Witold.

— O tak — odrzekł Anglik — ja sam nie płaczę nigdy... chociaż słyszę, że to niekiedy daje chwilę szczęścia.

— Jest to rodzajem cudownego leku w pewnych cierpieniach — wtrącił Jakób.

Baronet lekko poruszył brwiami, co wskazywało, że przedmiot rozmowy nie przypada mu do smaku, i z przymuszonym uśmiechem powiedział:

— Jak to znać zaraz, że mamy między sobą lekarza!..

Herbata już była gotowa: górale zabrali się do nalewania jej w szklanki i roznoszenia, a czynili to zręcznie i szybko. Groom baroneta nie miał tu nic do roboty: rozłożył tylko paczkę biszkoptów i wydobyl butelkę madery, mającej zastąpić konjak. Dolewano jej tylko potrosze, bo było to wino stare i mocne. Sir Edward do jedzenia uprzejmie zapraszał, ale sam niczego nie dotknął. Pił tylko czystą herbatę małemi łykami, bardzo wolno.

Rozmowa toczyła się o górskiej przyrodzie. Walter z zapałem mówił o Szkocji, a sir Edward spoglądał raz po raz przez lunetę w kierunku hali, gdzie spodziewał się dojrzeć profesora Stranda. Gdy słońce zaczęło się zniżać, baronet spojrział na zegarek i wstał.

— Idźmy — rzekł — odszukać naszą zgubę, póki jeszcze dzień. Musimy dokładnie zbadać las do krzyża, gdzie straciliśmy go z oczu.

— Może pije mleko w szałasie na Smytnej i zagryza serem — zrobił uwagę Witold.

— Raczej poszedł nad staw Smereczyński, wiedziony

instynktem badacza fauny głębinowej, i szuka swego Branchiopoda — odezwał się doktor.

— I to być może; gdzież ten staw się znajduje?

— O kwadrans drogi od krzyża: ukryty jest w lesie, więc niewielu turystów wie o jego istnieniu.

— Zatem chodźmy; wprawdzie nie jest jeszcze późno, ale niewiadomo, jak długo będziemy szukali profesora: „Komu w drogę, temu czas!“



Gwoździk lodowy.  
*Dianthus glacialis.*

Malarz zdumionym wzrokiem spojrział na baroneta i podniósł się wraz z innymi. Powiodło mu się: w teczce miał szkic upragniony, ale nie o nim myślał w tej chwili. Skąd Anglik znał polskie przysłowia? To, które przytoczył, było dosłownem tłumaczeniem z polskiego.

Jeden z górali jako przewodnik szedł naprzód, drugi zamykał pochód. Gdy schodzić zaczęli, Henryk, spojrzawszy nadół, zawołał radośnie:

— O, co ja widzę, gwoździk lodowy!

Wszyscy się obejrzel na ten wykrzyknik, a chłopiec zerwał różowy mały kwiatek o delikatnym zapachu, nie przypominającym woni gwoździków, które żyją na równinach.

— *Dianthus glacialis* — objaśnił doktor, biorąc od niego roślinkę i pokazując sir Edwardowi. — Patrz pan, jakie to skromne, a jakie wdzięczne! A skąd wiedziałeś Henryku, że on się zwie „lodowym“?

— Mówił mi pasterz, który nam wczoraj przyniósł bukiecik takich samych gwoździków.

Baronet po raz pierwszy spojrział uważniej na chłopca i powiedział, odwracając się do wnuka:

— A ty, Dawidzie, nic nie zbierasz, nic cię nie interesuje?

Chłopiec zmilczał, bo i nie mógłby nawet w tej chwili odpowiedzieć. Usta miał pełne biszkoptów, którymi naładował sobie kieszenie. Wyraz niesmaku odmalował się na twarzy sir Edwarda i nie czekając odpowiedzi, począł schodzić.

Doktór rozglądał się z pewnym niepokojem po horyzoncie; cieszył się już nadzieją, że wbrew tradycji ominie go deszcz w Kościeliskiej dolinie, ale mała drobna chmurka, wisząca nieruchomo ponad ich głowami, zaczynała go niepokoić.

— Może wytrzyma do wieczora — myślał — a może też wiatr tę chmurkę rozpędzi!

I wielki miłośnik przyrody zaczął uważnie przypatrywać się roślinności, pokrywającej stok góry tem obficie, im niżej zstępowali. Interesowały go szczególnie małe, drobne roślinki przy samej ziemi; były to listki pierwiosnka, jednego z najmniejszych, jakie istnieją, *Primula minima*. Zawołał na Henryka i pokazał mu tę osobliwość.

— Pierwiosnek ten zakwitnie dopiero za parę tygodni; ma śliczne jasno-purpurowe korony, znacznie większe od liści, czasem białe lub lila. Najwięcej jednak pierwiosnków kwitnie na wiosnę. One najpierwsze wychylają barwne główki z pod śniegu i radują oczy ludzkie, stęsknione za ciepłem, słońcem i zielonością.

— W Tatrach, w zimie nie tęskni się tyle za słońcem, ciepłem i zielonością, ile na równinach — odezwał się Witold. — Świerki, jeżeli tylko ich śnieg nie pokryje, są wiecznie zielone; słońce tyle daje ciepła, że w południe bywa czasem po 20 stopni Réaumura, a ja sam raz w Nowy Rok wybrałem się na spacer na Gubałówkę i tak mi było gorąco, że aż musiałem zdjąć wierzchnie ubranie.

— A to wicie — wtrącił jeden z przewodników — musicie tu przjechać wiosnom. Tedy to haw ładna dolina; wicie, na łąkach to tako: po rowak jesce śnieg sie bieli, a na trawie wysej pełno firotecków... takie ślicne co cud

na świecie, jako kieluski naryktowane: jedne białe, drugie wicie niebieskie, to ik je tyle co gwiazd na niebie. To jedna pani z Warszawy siedziała se u nas na zime i miała fio-tecki w donickak, ba syćkie płone; a ze ja dopiro poseł do pola na fiotki i psyniosłek jej cuhę pełniutkom, a ona pedziała, że to som jakoweś krakusy.

— *Krokusy* — poprawił Henryk — czyli szafrany.

— No, no, krokusy, to wicie jakie to je.

Wtem odwołał go doktór, wskazując nowe rośliny: dzwonki, jastruny, zawilce, gnidosze.

Henryk, klęknąwszy na ziemi, wyjmował ostrożnie roślinki, aby korzeni nie uszkodzić; mały hrabia patrzył na to zajęcie z lekceważeniem. Jemu nie chciało się zadawać tyle trudu: miał wprawdzie ozdobną puszkę do zbierania roślin, ale ta ciągle była pusta, jeżeli nie służyła za skrytkę do łakoci. Nie lubił on dużo chodzić: nudził więc ciągle Waltera narzekaniem na zmęczenie nóg, to na ból głowy, to na bicie serca, i wyrażaniem swych obaw o przypuszczalne skutki tej wycieczki dla zdrowia. Wreszcie zarzekał się, że odtąd nigdy nie wyruszy w góry inaczej, jak konno.

Gdy się spuścili na halę, sir Edward posłał górala do szałasów z zapytaniem o profesora, ale go tam nie widziano. Malarz odezwał się, że należało się tego spodziewać, bo gdyby się tam znajdował, dojrzanoby go gołem okiem z Bystrej, skąd halę widać jak na dłoni. Nie tracąc czasu, ruszono dalej ku lasowi Ornaku. Górale zaczęli huknąć, nawołując, czy profesor się nie odezwie, ale echo tylko odpowiadało. Weszli w las, hukając ciągle. Nagle rozstały się drzewa i znaleźli się nad stawem, który powinien czarnym się nazywać, tak ciemnymi są jego wody, tak ponure ma otoczenie z wyniosłych, posepnych świerków.

Pływało po nim kilka dzikich kaczek i te za zbliżeniem się turystów wleciały w powietrze. Malarz żałował, że nie miał z sobą strzelby: przydałoby się świeże pieczone na kolację.



Zaczął się uważnie dokoła rozglądać, ale narazie nikogo nie dostrzegł; tylko nieco dalej między nadbrzeżnymi kamieniami zobaczył porzucony kapelusz, laskę i rysujący się na ziemi wydłużony cień człowieka. Człowiek ten pochylony, zdawał się upatrywać czegoś na brzegu stawu.

— A, do licha! — zawołał. — Gdzież się pan podziewasz! Myśleliśmy już, żeś zabłądził.

— Czy pan co zgubiłeś? — zapytał sir Edward.

Profesor zaklął.

— A niechże was, moi panowie! Spłoszyliście mi śliczną trąszkę alpejską, *Triton alpestris*. Patrzyłem na nią, jak wyszła z wody, a teraz schowała się gdzieś między kamienie. Tak długo na nią czekałem i na nic cały trud!...

— Jakże ta dama wygląda, skoro pan nazywasz ją śliczną? — zapytał Witold.

— Niebieskawa, w ciemne punkciki, mój panie — odrzekł zadąsany — skóra chropowata.

— Bywają popielate i brunatne — wtrącił doktor.

— Ależ wyraźnie mówię, że ta była niebieskawa — upierał się profesor, mocno zirytowany. — Nazwałeś ją pan damą bardzo nietrafnie — dodał, zwracając się do malarza. — Gdybyś widział, jak pływała w wodzie lekko i zwinnie, cofnąłbyś to wyrażenie. Żadna dama nie posiada tyle wdzięku!

Podniósł się niechętnie i zaczął szukać swoich okularów, które spadły mu, gdy siedział pochylony. Włosy miał w nieładzie, a krawat zwyczajem swoim na bok przekreślony.

— Oto są — rzekł sir Edward, podnosząc je. — Czemże tu żyje pańska trąszka, kiedy staw wygląda jak martwy. Nie widzę nawet żadnych nadbrzeżnych owadów, a na kaczki, wątpię, aby trąszki polowały.

— Ma tu gąsienicę komara, *Corethra pluviorum*, gąsienice ważek, kilka gatunków chrząszczów pływakowatych, a w razie koniecznej potrzeby potrafi zjeść drugą trąszkę.

— A, to oburzające! Czy są tu jakie skorupiaki?

— Zauważyłem jeden gatunek, *Scopholebris mucronata*. Staw ten nie posiada warunków do rozwinięcia się bogatszego życia zwierzęcego, choć kaczki, będące wybornymi roznosicielkami zwierząt, obdarzają go niezawodnie co rok kilku nowemi gatunkami.

— Kaczki! — zdziwił się Henryk. — A w jaki sposób, proszę pana?

— W sposób bardzo prosty: stworzonka te przyczepiają się do nóg pływającej kaczki, która rada nierada, przenosi z sobą takiego pasażera do innego stawu.

— No proszę — roześmiał się Walter — podczas gdy ludzie mozolą się nad sposobami żeglugi powietrznej, owady i ślimaki praktycznie rozwiązały kwestję.

— To też znalazł się człowiek, chcący je naśladować — powiedział Strand — niejaki Reisner. Napisał on dzieło dowodzące, że orły są przeznaczone do kierowania balonami, i przywiązawszy swój balon do skrzydeł orła, puścił się z nim pod obłoki; ale zaledwie żywy wrócił z tej podróży, w której przekonał się, że orzeł nie zniesie wędzidla ani pozwoli sobą kierować. Było to w pierwszej połowie XIX wieku.

— Czyż orzeł jest tak wielki, że może udźwignąć i człowieka i balon? — zapytał Henryk, zwracając się do Jakóba.

— Kluk pisze o nim, że jest wielkości „sążnistego człowieka“ — odrzekł zapytany.

— A ten, którego widzieliśmy na Bystrej, nie zdawał się być tak dużym.

— Bo pływał za wysoko.

— Idźmy stąd, panowie — powiedział Witold — powietrze tu jest jakieś niezdrowe. Staw nie ma żadnego odpływu.

— Tak — odrzekł profesor — dno jego bezwątpienia pokrywa gruby pokład namułu, w którym gniją resztki roślin, przynoszonych przez wiatr z otaczającego lasu; stąd pochodzi ciemna barwa tej wody. Jest ona nasycona ga-

zami, wytwarzającemi się przy gniciu tych resztek, i dlatego to, mimo znacznych rozmiarów i zacisznego położenia, staw smereczyński jest tak ubogim w zwierzęta.



Powojnica alpejska. *Atragene alpina*.

— Nie mam pretensji do takiej uczoności, jak profesor — mówił baronet, gdy zawrócili w las — ale skoro staw ten nie ma przypływu, ani odpływu, zatem woda jego pochodzi tylko z topniejącego śniegu i ścieków deszczowych, jak

wnoszę z jego nieruchomości. Przypuszczam więc, że tu niema pańskiego Branchiopoda.

— Ach, naturalnie. Branchiopod może na znaczniejszych tylko żyć wysokościach. Co do stawu, to leży na gruncie moreny byłego lodowca — odrzekł Strand.

I zabierał się do przedstawienia teorii powstawania lodowców, ale doktor przeszkodził mu, wołając:

— Patrzcie panowie, co za prześliczny okaz powojnicy alpejskiej, *Atragene alpina*! Rodzina jaskrowatych.

Wszyscy skupili się koło niego, a on ukazał im zwieszoną na gałęziach roślinę o dużych czteropłatkowych koronach błękitnej barwy, pnącą się niby bluszcz na drzewa, bogatemi w liście i kwiat splotami.

— Prawda, że piękna — potwierdził sir Edward, zrywając kwiat — warto ją zabrać do zielnika.

— Po szarotce jest to bezwarunkowo najpiękniejsza w dziedzinie lasów roślina — powiedział Jakób. — Spotkać ją można dość często w Tatrach i Pieninach.

— A propos szarotek, moi panowie, albo ich tu jest u was większa obfitość, niż w Alpach, albo też Towarzystwo Tatrzańskie rozmyślnie wyniszczać je pozwala. Nie można się prawie opędzić chłopcom, sprzedającym spore ich wiązki, a kwiaty wrywane są po barbarzyńsku, z korzeniami.

— Istotnie, dotąd dzieje się to bezkarnie. Wszystko, co zrobiono, ogranicza się na zasianiu szarotek w niektórych miejscach, i wzbronieniu chodzenia tam turystom.

Dawy, którego kapelusz tyrolski ozdobiony był kilkoma szarotkami, zapytał Waltera, czy z kosmatych płatków tego kwiatu, jakby z sukna białego wyciętych, nie próbowano wyrabiać materiału na ubranie. Baronet, posłyszawszy to pytanie, rad, że chłopiec czemś się interesuje, odpowiedział:

— Nie słyszałem o próbach tego rodzaju, ale przypuszczam, że przy sporej dozie cierpliwości i zręczności, możnaby zrobić płaszcz damski, czy suknię, przez spajanie pojedynczych kwiatów. Sądzę nawet, że byłaby to suknia

dość ciepła, a chociaż niezbyt trwała, trwalsza jednak od sukni ze skrzydeł owadzich, jaką widziałem w Indjach.

Wszyscy zwrócili oczy na mówiącego, nawet na twarzy profesora odmalowało się zaciekawienie.

— Widział to pan, naprawdę? — zapytał.

Baronet uśmiechnął się.

— Tak jest — powiedział — widziałem na własne oczy. Indje są jedynym na świecie krajem, gdzie wyrabiają taką tkaninę, ale tylko córkom księżąt wolno jest nosić szaty z tego rzadkiego i kosztownego materiału. Właściwie jest to ciężka, biała, srebrna lama, przetykana owemi skrzydłami, odpowiednio przyrządzonemi, aby mniej były kruche i miały blask jeszcze większy. Ze skrzydeł, mających do jednego i dwóch centymetrów długości, układane są liście i gałęzie kwiatów w przeróżne fantastyczne wzory, otoczone złotemi nitkami. Przy świetle tkanina taka wywołuje wspaniałe efekty. Na suknię, którą widziałem, wyszło przeszło pięć tysięcy mieniących się różnemi barwami skrzydeł owadzich.

— Kobiety są istotami bez serca — wybuchnął gwałtownie profesor, nie mogąc dotąd strawić otrzymanego niegdyś odkosza. — Ile to ofiar niewinnych kosztuje co-roczenie nasycanie ich próżności! Śmieszna moda noszenia ptaków na kapeluszach przejmuje zgrozą i woła o pomstę do nieba. Czy uwierzycie panowie, że w samej Japonji zamówiono sto tysięcy kolibrów! Czy uwierzycie, że wspaniały rajski ptak, zamieszkujący Nową Gwineę, którego ogon i skrzydła zdobią prześliczne pióra, blizkim jest wytępienia! Niewinne stworzenia, napełniające miłym śpiewem lasy, giną miljonami: próżność niewieścia zamienia je w głucho pustynie! Płytkie, bezmyślne istoty!

Malarz na te słowa uśmiechnął się, mówiąc:

— Największy nasz poeta wyraził się o nich równie niekorzystnie jak pan, bo kobietę nazwał: „puchem marnym i wietrzną istotą“.

Słowa te trafiły bardzo do przekonania profesora.

— Wie pan co — rzekł z ożywieniem — miał wielką słuszość ten poeta, to jakiś genjusz! Jak się nazywał?

— Adam Mickiewicz.

— A co, odrazu zgadłem! Zasłużył na nieśmiertelność.

Gdy wyszli z lasu, spotkał ich prowadzony przez górala kucharz lady Chester, przysłany z zapytaniem, czy Jego Miłość prędko pojedzie, bo robi się chłodno, a milady obawia się przeziębici.

Fałda, pionowo przecinająca czoło baroneta, pogłębiła się; oczy jego strzeliły stalowym błyskiem.

— Powiedz milady, że będę nocował w dolinie Kościeliskiej — powiedział tonem, który słuchającym wydał się twardym. — Jeżeli chce, może odjechać. Ty będziesz towarzyszył milady, a Jerry zostanie ze mną.

— Czy Wasza Miłość chce zatrzymać przy sobie Dawida? — zapytał Walter.

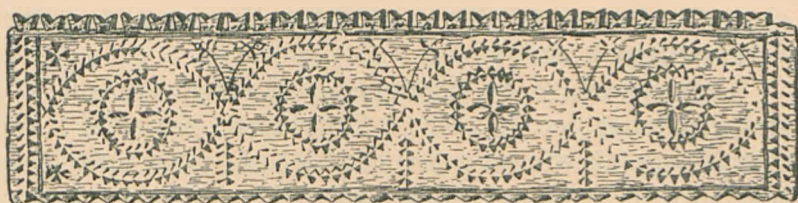
— Dlaczego nie? Młody chłopiec powinien przywykać do trudów, bo tylko tym sposobem hartuje się i wyrabia fizycznie.

Sługa skłonił się i odszedł. Davy nie wiedział, czy cieszyć się, czy smucić, a Witold i Jakób spoglądali po sobie, zdziwieni postanowieniem Anglika, co tenże zauważywszy, powiedział:

— Chcę widzieć dolinę Kościeliską przy świetle księżyca i proszę was, panowie, żebyście mi dotrzymali towarzystwa.

Wezwani zgodzili się chętnie, a doktor napisał kartkę z zawiadomieniem do panny Katarzyny, dla oszczędzenia staruszce niepokoju o wnuka. Kartkę tę jeden z górali zaniósł do pierwszego schroniska, gdzie stały wozy i polecił woźnicy lady Chester, żeby zaraz po przybyciu do Zakopanego, doręczył ją podług adresu.

Henryk nie posiadał się z radości, że zostaje i gorąco dziękował doktorowi.



## VII.

### SKARBY TATRZAŃSKIE.

*Nietylko mędrzec zaziera w głąb naszą.  
Zajrzał i górnik o lampie znikomej.*

*Deotyma: Góry.*

Turyści, znużeni długą drogą, usiedli — a sir Edward, interesujący się coraz więcej otaczającą go przyrodą, wydobyl cygarnicę i poczęstowawszy towarzyszy, zadał doktorowi pytanie, czy Tatry bogate są w kruszce i minerały.

— Nie — odrzekł tenże po pewnym namyśle. — Górale mieli niegdyś bardzo przesadne wyobrażenie o bogactwach swych gór, ale były to fantastyczne rojenia, na niczem nie oparte. W rzeczywistości zasoby te są bardzo skromne: jest żelazo, miedź, ale w ilościach, nie opłacających kosztów wydobywania. Najobfitsze kopalnie rudy żelaznej były pod Kopą Magóry, pod Tomanową polską i pod Świstową w dolinie Jaworowej. Obecnie wszystkie są zarzucone.

— Fantastyczne rojenia górali datują się od czasu, gdy tu była kopalnia złota — przerwał Witold.

— Co? Złoto nawet jest? — zapytał baronet ze zdziwieniem.

— Jest, ale także nie opłaci się go dobywać.

— I gdzież to?

— W kilku miejscach, a mianowicie tutaj, w dolinie Kościeliskiej.

— Czy być może? Nie domyślałem się nawet, że jestem w złotodajnej krainie!

— Dobywano je na Ornaku i pod Bystrą jeszcze w XVI wieku, a także pod Łomnicą i Krywaniem. Kopalnie te nie opłacały się już wtedy, a tem bardziej nie mogą opłacić się teraz, wobec nowo odkrytych złotodajnych krajów zamorskich. Jest tu i srebro, rzadsze jeszcze od złota. Za Władysława IV dobywano je w Kościeliskach i w Starej Robocie, ot tam — dodał, wskazując ręką górę, której szczyt z poza turni dalszej wystawał. — Nazwa pokazuje, że i dawniej szukano tam cennego kruszcu.

— Marmurów nie macie?

— Są pokłady w pasmie Tatr Bielskich, w okolicy Kardolina. Z niego to została zrobiona tablica, poświęcona pamięci Kraszewskiego.

— Widziałem ją: piękny, czerwony marmur. Cóż więcej?

— U stóp Kesmarskiego szczytu jest żyła lazuruwa, *Lapis lazuli*.

— A, ten piękny minerał ciemno-niebieskiej barwy, którego ojczyzną Syberja i Chiny, tu się znajduje? Widywałem go w bezkształtnych bryłach i pięknie obrobiony.

— Ten człowiek był w Chinach — szepnął do siebie malarz — no, no! Ależ to jakiś „Żyd wieczny tułacz“... I za jaką też pokutuje winę?

— W okolicy Kesmarku także — mówił dalej doktor — w wiosce Żdżar znajdują się granitowe skały, z których wydobywają ziarna bizmutowe wielkości migdałów. Mamy i diamenty.

— Diamenty! — zawołali ze zdumieniem wszyscy prócz profesora, lekceważącego sobie skarby tego rodzaju, a baronet, strzepując popiół z cygara, powiedział zwolna:

— O, to zaczyna być ciekawe!

— W okolicy Żdżaru, na roli, zjawiają się lśniące kryształy; gwałtowne deszcze znoszą je tam z gór i opłókują z gliniastego łupku jasno szarej barwy. Mineralogowie na-



zywają je kwarcem, czyli kryształem górnym, bo zupełnie podobne są do tak zwanych „diamentów marmaroskich“.

— Gdzież jest owo Marmarosz? — zapytał baronet.

— Na węgierskiej stronie, tak samo jak Kesmark.

— Myślałem, że pan mówi o diamentach prawdziwych — odezwał się Henryk z rozczarowaniem — a to tylko kryształy górne!

— Ale kryształy te, szlifowane, mogą zastąpić diamenty prawdziwe, bo pięknie łamią światło.

— A prawdziwych drogich kamieni, czy niema w Tatrach? — pytał Henryk.

— Doktór Chałubiński znajdował kryształy i granaty na Gierlachu. W dolinie Wielickiej, czyli Felce, znajdują się też granaty w drobnych kryształkach, lecz mało przezroczyste i kruche, a tak są na wierzchu, że można je ciupagami ze skały wydobywać. Są także turmaliny, występujące czasem obok granatów.

— Turmaliny? Co to takiego? Pierwszy raz słyszę o kamieniach takiej nazwy.

— Jest to kamień zielonej, modrej, albo ciemno-czerwonej barwy — odrzekł doktór. — Najcenniejszymi są odmiany przezroczyste, albo wpół przezroczyste, pięknie łamiące światło. Tatrzańskie są prawie czarne.

— Na tem już pewnie i koniec skarbów tatrzańskich — zrobił uwagę sir Edward.

— Jeszcze nie: są w okolicy Żelaznych Wrót białe i błękitne agaty średniej wielkości. Jednem słowem, są różne rzadsze i cenniejsze minerały, lecz cenniejszymi niż złoto i srebro, bo praktyczną korzyść mogącemi przynieść dla Podhala, są w ostatnich czasach odkryte w okolicy Czarnego Dunajca pokłady brunatnego węgla, oraz pokłady wybornego wapna w okolicach Żdżaru.

— Tatry nie są bogate w kruszce — odezwał się malarz. — Jedyne rudy manganowe stanowiłyby większą wartość dla eksploatacji. Dawniej jednak fantazja i niedo-

kładna znajomość rzeczy kazały ludziom wierzyć inaczej. Najdawniejsze zapiski o tych górach, wymieniają „wszelkie kruszce i drogie kamienie“, jakoby tutaj napotykanne. O nich też mówią stare rękopisy czarodziejskie, przechowywane przez górali i przekazywane dziedzictwem, z pokolenia w pokolenie, rękopisy, z którymi szukają zaklętych skarbów. Jeżeli to ma być bajka, trzeba pamiętać o przysłowiu: „W każdej bajce jest pół prawdy“.

— Bądź co bądź, okolica to bardzo ciekawa pod względem mineralogicznym — zauważył baronet. — Ale co to jest? Widzę wracającego posłańca mej synowej... Czego chcesz? — zapytał, gdy sługa stanął przed nim.

— Milady prosi, aby Jego Miłość pozwolił wrócić hrabiemu Davy, bo ma katar i milady obawia się, aby się nie zaziębił.

Sir Edward Warburton przygryzł wargi.

— Niech wraca — rzekł, spojrzawszy niechętnie na chłopca — ale ty, Walterze — dodał, zwracając się do gubernera — zostaniesz ze mną.

Davemu żal trochę było wyrzec się dalszej wycieczki, zaczynającej go interesować i zapowiadającej niejedną jeszcze przyjemność — ale z drugiej strony, wolał przepędzić noc na wygodnym łóżku, niż pod gołym niebem. Skłonił się więc w milczeniu i oddalił ze służącym. Popsuło to humor baronetowi. Siedział milczący, zadumany, wreszcie rzucił niedopalone cygaro i odezwał się:

— W górach szkockich krążą różne legendy o ukrytych w pieczarach zaklętych skarbach, które znaleźć jest bardzo łatwo, ale do których nikt trafić nie może, bo zawsze przeszkadza mu jakaś siła nieczysta. Zapewne i Tatry mają takie podania?

Henryk spojrział uważnie na cudzoziemca: podejrzenie, że róża bez kolców jest tylko pozorem do szukania czego innego, mianowicie skarbów, nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy.

— Legend nie brakuje — odrzekł doktor. — Jedną z nich opisuje rodak pański, Szkot, Robert Townson, który zwiedził Tatry w wieku XVIII. Był on jednym z pierwszych, co tu czynili spostrzeżenia barometryczne, i opisał florę i faunę tatrzańską. Otóż gdy się wybrał ku Zielonemu stawowi w bliskości Wrót skalnych, opowiadali mu tam przewodnicy, że na szczycie turni Jastrzębiej czyli KARBUNKUŁOWEJ był drogi kamień niezmiernej wielkości, „karbunkułem“ zwany, podobny do gwiazdy z nieba. Wielu usiłowało dostać się na szczyt tej turni, ale usiłowania te długo były daremne z powodu jej niedostępności. Wreszcie strącono go stamtąd, ale co dalej się z nim stało, niéwiadomo. W innym zaś miejscu leży skarb, lecz do tego stopnia zaczarowany, że nikt nie może do niego przystąpić; a jeszcze gdzie indziej jest roślina, zamieniająca miedź w złoto, ale nikt nie wie gdzie!

— Szkoda — rzekł śmiejąc się baronet — mogłaby bowiem zastąpić ów kamień filozoficzny, nad którego wynalezieniem mozolili się naprózno średniowieczni alchemicy. Możebyśmy wybrali się, panowie, na poszukiwanie jej? Ale doktor nie powiedział nam, w jakiej mniej więcej stronie Tatr szukać jej trzeba.

— Wszystkie te cuda znajdują się w turniach naokoło Zielonego stawu, na węgierskiej stronie — powiedział Jakób. — Sir Warburton wolałby może znaleźć tę cudowną roślinę, której podobnej niema na całym świecie, niż różę bez kolców?

Warburton uśmiechnął się.

— Nie opłaci się, sir Edwardzie, upędząć za rośliną, wytwarzającą złoto — odezwał się Strand. — Przy dzisiejszych postępkach chemji, gdy Moissan wynalazł sposób otrzymywania sztucznych diamentów, niczem nie różniących się od prawdziwych; gdy produkuje granaty, szafiry i inne kamienie, jest nadzieja, że lada dzień odkryje także tajemnicę tworzenia złota. Doczekamy się jeszcze, że stanie się ono

materiałem codziennego użytku, jak stal lub inne metale; a wtedy kobiety, ubiegające się za kosztownościami, będą w kłopotcie, w co oprawiać swoje klejnoty, z jakiego metalu nosić ozdoby.

— Ten wiecznie przypina łątki kobietom — szepnął doktor do malarza.

— Diament był dotąd królem drogich kamieni i celem pożądań — mówił Strand dalej. — Niejeden dla zdobycia go nie cofnął się nawet przed zbrodnią; a ile trudu, ile pracy kosztuje wydobycie go z kopalni! Moissan obywa się bez tego zachodu: bierze czysty węgiel, wykrystalizowuje go w roztopionem żelazie lub srebrze, oziębia następnie tę mieszaninę i oto jest diament równie prawdziwy i równie szlachetny, jak ten, co się urodził w kopalni!

— Ależ to są dopiero drobniutki krysztalki, będące zaledwie śladami diamentów — zrobił uwagę Warburton.

— Wielkość ich jest tylko kwestją czasu — odrzekł profesor.

— Prócz Moissana — rzekł Jakób — Amerykanin Emmens usiłuje wyrabiać złoto ze srebra i podobno mu się nieźle udaje.

— Zdaje się jednak, że sposób owego Emmensa jest za kosztowny — wtrącił Walter — i że taniej byłoby dobywać złoto z wody morskiej.

— Z wody morskiej? — zapytał Witold ze zdziwieniem. — Gdzie to analiza chemiczna nie dotrze!

— Ach, o tem wiadano już oddawna. Słyszałem, że utworzyła się nawet kompanja, wydobywająca złoto z morskiej wody zapomocą prądu elektrycznego, i że użyte są do tego dynamo-maszyny. Pomyślcie tylko: gdy eksploatacja oceanów na dobre się rozpocznie, ile miliardów dobywać się będzie corocznie z tych kopalni bezdennych, nigdy niewyczerpanych, nie mówiąc już o ujściach, gdzie rzeki zlewają do mórz piaski złotonośne, grzebiąc je w toni. Będziemy zasypani złotem!

— Bywały już takie czasy, że w niektórych miejscach było ono tańszem od żelaza — wtrącił Strand — choć czasy to bardzo dawne! Herodot pisze, że pewien król Etopji zakuwał niewolników swoich w złote kajdany, żelazo bowiem rzadszym było kruszcem od złota i droższym.

— Powiedziałeś pan, że dla zdobycia złota niejeden nie cofnął się nawet przed zbrodnią — odezwał się Witold — i masz słuszość. Tępiono nawet z tego powodu całe narody, jak mamy w dziejach okropny przykład na pierwotnych mieszkańcach Meksyku, wytępionych przez chciwych ich złota Hiszpanów! W Tatrach też złoto bywało przyczyną rozlewu krwi. Piotr Wydźga, starosta czorsztyński, dobywał je w górach Sądeckich, w Roztoce, w Słotwinie pod Krościenkiem i między Jaworkami a Szczawnicą. Chciwy i zazdrosny, zmuszał ludzi do ciężkiej pracy górniczej, a potem zabijał, aby nie wydali tatemnicy.

— A, co! Gdy przyjdzie czas, że złoto stanieje, nic podobnego miejsca mieć nie będzie. Przesną mu się ludzie kłaniać, jak bożyszczu.

— Wynajdą sobie co innego!

— Piękny to istotnie metal i szlachetny — powiedział Warburton — więc ubiegają się za nim wszyscy, zarówno ludy pierwotne jak i cywilizowane. Jeden ze znanych mi przyrodników, Józef Sioma, w taki sposób tłumaczy kult złota u dzikich: Zauważyli oni, że wszystko, co ich otacza, ulega zmianom: wiekowe drzewa próchnieją i wałają się; głązy się kruszą; rzeki zmieniają bieg lub wysychają; ludzie i zwierzęta z wiekiem niedołęźnieją i umierają... tylko kula słoneczna na sklepieniu niebios i złoty, pięknie błyszczący kruszec na ziemi, nie podlegają zmianie. Te dwie rzeczy jedynie posiadają wszystkie cechy wieczności... Dlatego u wszystkich ludów dzikich spotykamy kult słońca i złote ozdoby.

Witold trącił Jakóba i szepnął:

— Oto człowiek, który ukochał złoto ponad wszystko!

— A potem niem pogardził — rzekł równie cicho doktor i zamyślił się.

— Kto wie, czy nie wzgardzi z czasem i różami, wśród których płynęło mu dotąd życie. Zbyt wielka ilość kwiatów zatruwa organizm, a on czyni na mnie wrażenie człowieka, któremu chwilami tchu brakuje.

— Powiadasz więc, doktorze, że rodak mój, Townson, pierwszy zwiedził Tatry — odezwał się baronet.

— Nie mówiłem, że pierwszy je zwiedził, ale że jeden z pierwszych czynił tu spostrzeżenia barometryczne. Pierwszy je zwiedził Fröhlich, Niemiec ze Spiża i opisał swoją wycieczkę na któryś szczyt tatrzański. Było to w wieku XVII.

— Tak późno!

— W tym samym wieku Bucholz z Kesmarku, a w wieku następnym jego synowie, wreszcie Bel, Madziar, także zwiedzili i opisywali Tatry. Na początku zeszłego wieku Wahlenberg, słynny botanik szwedzki, przybył tutaj i owoce swej podróży zamknął w znakomitem dziele o florze karpackiej. Z Polaków, nie będę wymieniał tych, co pobieżnie o Tatrach pisali: badań poważnych dokonał pierwszy Staszyc w r. 1804. Wdzierał się on na najwyższe szczyty i czynił pomiary naukowe, czego owocem było piękne dzieło „O ziemiorodztwie Karpat“<sup>1)</sup>. Później Zeiszner studja swe geologiczne nad temi górami ogłaszał, a Janota i Nowicki wielkie w poznaniu Tatr położyli zasługi: pierwszy mierzył wzniesienia, drugi badał faunę tatrzańską i zwrócił uwagę na język Podhalań. Opisywali Tatry cudzoziemcy i Polacy, ale szerszy ogół długo nic o nich nie wiedział. Naprawdę odkrył je dopiero doktor Chałubiński, człowiek wielkiej nauki, który tak się w tych górach rozkochał, że niema prawie szczytu, któregooby stopą swoją nie dotknął. On urządzał ciekawe po górach wyprawy, zachęcał młodych przyrodników do ich badania, on zebrał

---

<sup>1)</sup> Tytuł tego dzieła brzmi: „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin z atlasem. 1815“.

i opisał mchy tatrzańskie: on nietylko sam przyjeżdżał tu corocznie, ale przysyłał swoich pacjentów i podniósł Zakopane do znaczenia stacji klimatycznej. Wyprawy Chałubińskiego powtarzały się przez lata całe i stały się czemś niemal legendowem. Z gromadą górali, z zaproszonymi gośćmi, z namiotami i muzyką, szedł niby wódz na zdobycie nowych nieznanых krajów i brał pokolei szturmem wszystkie niedostępne szczyty. Niema jednego wirchu, z któregoby nie brzmiały na jego rozkaz pieśni, drobne i rozwodne<sup>1)</sup>; niema takiej turni, gdzieby nie tańczono zapamiętałe „zbojeckiego“ dokoła ogniska.

— Zdaje mi się, że słyszę niezwykłą i bardzo zajmującą balladę — powiedział z uśmiechem Warburton. — Pięknie i romantycznie wygląda ten orszak błędnych rycerzy, szukających przygód i podbijających niedostępne krainy!

— Nie samych on przygód szukał, ale piękna, którego nie znajdował na równinach tyle, ile pragnęła jego dusza poetyczna, a gorąca. Ukochał przyrodę tatrzańską i lud góralski, troszczył się o jego byt; leczył nietylko ciało, ale i duszę, jak jego przyjaciel ksiądz Stolarczyk, i zbierał nietylko mchy, ale i melodje wraz z Kleczyńskim, Paderewskim i Janothówną. On rozumiał najlepiej pieśni „drobne i rozwodne“, jak najlepiej odczuwał ducha górskiej przyrody i duszę ludu. Był też prawdziwym królem Tatr, i jak króla witała go co roku konna banderja górali, gdy przyjeżdżał do swego państwa. Tutaj umarł i na tutejszym cmentarzu spoczął przy kościele.

— Znalazł się nawet głos jeden w dziennikarstwie, proponujący grób dla tego niezwykłego człowieka na Giewoncie: ale sądzę, że lepiej mu tam, gdzie jest, bliżej tych, których ukochał.

— Pomysł był dziwaczny — odrzekł Warburton — bo

---

<sup>1)</sup> Wesole i tęskne.

choć postać króla Tatr, nakreślona przez was, wystrzela ponad tłum wysoko, zmalowały jednak przy widmie śpiącego rycerza, panującym nad całym amfiteatrem gór. Widziałem to widmo przy księżycu i zrobiło na mnie potężne wrażenie! Wygląda jak skamieniały fragment pieśni... Któż więcej jeszcze badał te piękne góry?

Jakób zamyślił się, jakby szukając w pamięci.

— Zapominasz pan o Walerym Eljaszu, autorze „Przewodnika“, pracującym już lat czterdzieści na niwie tatrzańskiej — ujął się malarz za bratem w sztuce.

— Nie zapomniałem: w książce Eljasza można znaleźć streszczenie wszystkich wiadomości o Tatrach. On uczy podróżnika, jak się ma na wycieczce zachować, co oglądać i jak patrzeć.

— W ostatnich latach badanie tych gór bardzo postąpiło — rzekł Witold. — Zmierzone głębokość i powierzchnie jezior, zbadano skały, poczyniono spostrzeżenia klimatyczne, opisano zwierzęta i rośliny.

Warburton spojrzął na wierzchołki turni, poza którymi słońce oddawna się już skryło i rzekł:

— Dobrze nam tu jest, ale wracajmy, bo zaczynam odczuwać głód.

— I ja także — powiedział Strand.

W kwadrans potem doszli do schroniska, gdzie stół już zastano nakryty, a na nim pasztet na zimno, chleb, bryndzę, ser owczy, koniak i wino. Kucharz był przy ognisku, bo nie odjechał z lady Chester, jak rozporządził baronet dla wygody synowej, ale pilnował przygotowanego obiadu i podał na stół półmisek z gorącym roast-beefem, nad którym długo biadał dostojny kucharz, że mięso chude i twarde. Marudząc przecież, tak umiał go przyprawić, że wszystkim wydał się kruchy i wyborny. Może część zasługi przypadła tatrzańskiemu powietrzu i trudom wycieczki raczej, niż sekretom mistrza gastronomji.

Zapach ten miłym był dla zgłodniałych turystów: za-



brali się energicznie do jedzenia, i przez czas jakiś słyhać było tylko brzęk noży i widelcy. Gdy pierwszy głód zaspokojono, sir Edward odezwał się:

— Mam tu wino, kupione na Węgrzech, a pochodzące z winnic, rosnących na południowych stokach Tatr: Jerry, nalewaj!

Był to przedni stary tokaj, od którego krew szybciej krążyć zaczęła w żyłach uczujących. Łagodny a zdradliwy, barwę miał starego złota i przepyszny aromat. Butelka była zapleśniała. Malarz przyglądał mu się pod światło okiem znawcy, przybliżał i oddalał, badał ów aromat subtelny, wreszcie odezwał się:

— To wino przypomina mi coś, co słyszałem od pewnego Niemca, mającego własne na Węgrzech winnice. Znał on doktora Chałubińskiego i podziwiał jego umysł wszechstronny, a więcej jeszcze zaostrzony do najwyższego stopnia zmysł powonienia i wyborną pamięć. Częstoował on go winem własnego wyrobu i zapytał, jak mu smakuje: — Dobre jest — była odpowiedź — ale w aromacie jego odróżniam zapach pewnej gentiany, która rośnie tam a tam. Niemiec zdumiony przyznał, że winnice jego istotnie znajdują się w miejscowości, gdzie te gentiany rosną obficie.

— To mi wygląda nieprawdopodobnie — rzekł baronet: — winne jagody mogły się przejąć do pewnego stopnia zapachem owej gentiany, jednakże w tak słabym stosunku, iż zdaje się niemal niepodobieństwem, aby węch człowieka mógł go odróżnić.

— Tak — rzekł Jakób. — Osoba doktora Chałubińskiego najwidoczniej taki wpływ wywierała na otoczenie, że dookoła jego postaci poczęły się tworzyć legendy. Najlepszym dowodem, że jest to legenda, jest fakt, że gentiany nie posiadają wcale charakterystycznego zapachu. Ale pomimo to zauważę, że jeżeli chemik metodą rozbioru widmowego potrafi odkryć w płomieniu jedną miljonową czterechset-

tysięczną część miligrama metalu *Sodium*<sup>1)</sup>, to dobry nos jest kilkaset razy czulszy od najczulszego spektroskopu, i zdoła wykryć w powietrzu ilość 250 razy mniejszą, jeżeli naprzykład ma do czynienia z piźmem sztucznem. Bóg żywe organizmy obdarzył tak delikatnymi narządami, jakich człowiek najuczulszy nigdy zbudować nie zdoła.

— Doktor Chałubiński miał i słuch niezwyčajny — dodał Witold. — Jak Indjanin wychowany w prerjach słyszy, co się dzieje w dalekiej odległości, tak on chwycił uchem wszystkie najdelikatniejsze szmery i szelesty, i wsłuchiwał się z rozkoszą w wielki hymn natury. Grały mu turnie, trącane wiatrem i szumiące smereki, grały potężne siklawy, spadające z wysokości olbrzymich, inaczej niż nam wszystkim grają! Znał nietylko kierunek i siłę wód tatrzańskich, ale wiedział, który strumień jaki ton bierze w wielkiej orkiestrze. Chodząc, nasłuchiwał i próbował głosem wziąć ten sam ton — a znał wszystkie tak, że zdaje się, zamknąwszy oczy, poznałyby każdy po dźwięku.

— Aż raz doczekał się oryginalnego koncertu, jakiego chyba nikt z nas nie słyszał i pewnie nie posłyszysz — odezwał się doktor. — W drodze na Zawrat, ponad Czarnym Stawem Gąsienicowym, znajduje się mały stawek, zwany Zmarzłym. Otóż zbliżając się doń, usłyszał z podziwem Chałubiński donośne, bardzo dziwne dźwięki, jakby olbrzymiej szklanej harmonijki. Tony były wysokie i niskie, nie wiążące się w harmonję, ale rażące dzikim rozstrojem. Po zbadaniu przyczyny okazało się, że lód, który tu przez lata całe utrzymuje się mniejszemi i większemi wysepkami, stanowił jądro, a około tego jądra na znacznej przestrzeni potworzyły się nowe, duże, mniej więcej równoległe kryształki i sople. Silny wiatr, wstrząsający powierzchnią wody,

---

<sup>1)</sup> *Sodium*, po polsku sod, jest to metal, należący do grupy alkali, bardzo pospolity, lecz tylko w związkach, z których najbardziej znane są: sól kuchenna, t. j. chlorek sodu i soda zwykła, jako węgiel lub dwuwęgiel.

sprawił, że te improwizowane klawisze uderzały o siebie. Jeszcze na kilkaset stóp wyżej, dochodziła Chałubińskiego ta jaskrawa, dzika, pełna rozdźwięków i chaosu muzyka.

— Gdy król Tatr spędzał tu ostatnią zimę, po której już miał do snu wiecznego się położyć, grały mu salwy marznącego śniegu i huki łamiących się turni, bo, jak wiadomo, woda, marznąca w szczelinach, rozsadza skały.

Wieczór powoli zapadał i mroki zapanowały w dolinie. Z załomów skał występowały liczne cienie i zaludniały ową świątynię, do której przyrównywano ten uroczy zakątek. Z nad potoku unosiły się mgły i szły w górę niby dymy ofiarnych kadzideł, a księżyc płonął łagodnym, czystym światłem. Chłód lekki czuć się już dawał: baronet kazał powtórnie napełnić kieliszki i odezwał się:

— Słyszałem, że jest tu jakiś wąwóz, w którym kształty skał naśladują w zmniejszeniu kształty murów starożytnego miasta. Prawdaż to?

— Prawda, sir. Wąwóz ten nazywa się Krakowem: przy odrobinie dobrej woli i fantazji, znaleźć tu można kościół Marjacki, Rynek, Sukiennice, Zamek królewski, nawet Smoczą jamę. Jutro pokażemy panu ten wąwóz.

— Smocza jama! — powtórzył. — Czyżby apokaliptyczne smoki żyły w waszych Tatrach? W takim razie nie chcę czekać jutra. Weźmy pochodnie i idźmy na spotkanie smoka!

— Nie — odrzekł, śmiejąc się, malarz — badacze fauny tatrzańskiej nie wpadli nigdzie na ślad smoka; ale jest grotta długa na stokilkadziesiąt metrów, którą można przejść nawskróś górę.

— A to ciekawe! Dlaczego jednakże nazywają ją Smoczą?

— Bo jest podobna do innej, znajdującej się pod górą Wawel w Krakowie, gdzie żył prawdziwy smok, mający siedm głów.

Tu opowiedział znaną legendę o Krakusie, która bardzo się podobała cudzoziemcom. Doktor wspomniał, że istnieje też legenda o wojsku śpiącym pod Pisaną i sir Edward

zapraǳnął ją usłyszeć — ale żaden z panów nie znał jej dobrze, a górale mówić nie chcieli, wymawiając się, że to potrafi najlepiej Sabała. A że baronet okazywał wielkie zainteresowanie, więc postanowiono przy pierwszej sposobności sprowadzić mu Sabałę.

— Któż to jest ów Sabała? — zapytał Warburton, któremu wszystko, co się mówiło po polsku, tłumaczono na język angielski.

— Jest to stary góral, mający już około osmdziesięciu lat, a chodzący po szczytach jakby miał dopiero dwadzieścia; poeta i zarazem filozof, postać bardzo oryginalna. Całym jego majątkiem są gęśliki, czyli skrzyпки, które nosi zaszyte w rękawie swej cuchy.

— Zaciekawiacie mnie. Radbym poznać tego Sabałę!

— Osobistość to z dawnych pozostała czasów, gdy całą dolinę Zakopanego pokrywał jeden las, gdy nie było kościoła ani dróg jezdnych, a w chatach zrzadka gdzie niedzie rozsypanych, żelazne kraty w oknach zabezpieczały od napadu zbójników, których sława rozbrzmiewała po górach, siejąc postrach.

Doktór zamilkł, a sir Edward zapytał:

— Jest to zatem artysta muzyk, czy improwizator?

— Jest to wyborny opowiadacz przedewszystkiem — wtrącił malarz. — Pasterstwo, myśliwstwo, zbójnictwo, są głównym przedmiotem jego opowiadań, jak były głównymi przejawami życia górali. Żyjący tu lud pasterski toczyć musiał walkę z wilkiem, orłem, niedźwiedziem i potężnymi siłami przyrody, a także z sąsiadami po drugiej stronie gór żyjącymi.

— Z Węgami zatem — wtrącił baronet.

— Nie z Liptakami, należącymi do szczepu słowackiego. Zmuszała ich do tego często konieczność. Ziemie górskie są bardzo ubogie, pod cienką warstwą wierzchnią jest lita skała. Ze zbóż rodzi się tylko owies; z jarzyn kartofle i kapusta, która jednak w głowy zwijać się tutaj nie chce. Stąd nawet urodziła się piosenka:

Oj biedna, biedna ta nasza kraina,  
Gdzie chleb się kończy, a skała zaczyna.

Doktór Chałubiński dopiero nauczył górali siac koni-  
czyne, co wielkiem jest dla nich dobrodziejstwem.

Góral mówi o sobie, że „żyje powietrzem, wodą i głodem“. Gdy brakowało owsianego chleba po tej, czy po tamtej stronie gór, to jedna strona zdobywała sobie, czego jej było trzeba, przemocą na drugiej, i stąd urosła istniejąca do dziś jeszcze nienawiść plemienna. Sabała pamięta te czasy. Otóż z obrazów walk z ludźmi, zwierzętami i naturą, ze starych legend i bajek, składają się jego opowiadania.

— To musi być ciekawe!

— Mój kolega w sztuce, Stanisław Witkiewicz, mieszkający od lat kilku w Zakopanem, w książce swej: „Na przełęczy“, odmalował po mistrzowsku fizyczny i duchowy portret Sabały. Żałuję, że panowie nie znacie języka polskiego i nie możecie czytać tego dzieła, tchnącego gorącą miłością Tatr! Witkiewicz porównywa jego opowiadania do pieśni Homera — bo odrzuciwszy tylko formę wiersza, której Sabała nie używa, życie ludzkie, życie pasterzy, u jednego i drugiego tak są podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów „Iljady“ lub „Odysei“ postawimy naszych Walczaków lub Gąsieniców, niewiele więcej dodać będziemy musieli. Materjały, z których zbudowane są obrazy, tu i tam są te same, a natura góraska do tych samych prowadzi porównań. Witkiewicz czytał „Odyseę“ góralom, siedząc z nimi u ogniska w Roztoce, gospodzie na drodze do Morskiego Oka, i słuchali jej z takim zajęciem, jak słuchają opowiadań Sabały; a sam Sabała cieszył się niewymownie z pomysłów Odyseusza.

— Hm — rzekł Warburton zamyślony — Tatry wasze, moi panowie, niepodobne są do żadnych gór, jakie widziałem, a zwiedziłem szeroki kawał świata... i ludzie tutaj inni są, niż gdzie indziej, choć pozornie zdają się być tacy

sami. Muszę koniecznie poznać tego tatrzańskiego Homera. Ale jeden z panów nazwał go filozofem: na czymże, proszę was, polega jego filozofja?

— Mówi, że nigdy smutnym nie był, że smutkiem żyć się nie opłaca; że Pan Bóg nawet, gdy widzi człowieka smutnym, „banuje“<sup>1)</sup>, że takiego stworzył. Ostatniej swej krowie, gdy mu ją zabierano za podatki, grał orawskiego marsza!... Spotkałem go raz na pogrzebie wspólnego naszego przyjaciela, którego strata bezwątpienia nie była mu obojętną. Szedł za trumną z troską na twarzy, ale gdy ja wyraziłem mu swój żal, rzekł: „Fała Bogu, fała Bogu, pikne som casy“. Śmierć uważał on za fakt dokonany, którego próżny żal nie odwróci, wynalazł więc dobrą stronę tego faktu i cieszył się, że pogrzeb wypadł w pogodę. Umieć znaleźć w każdej rzeczy stronę dobrą, nie jest-że to filozofja?

— Nawet więcej niż filozofja, to jest mądrość; rzadko kto do tego dojść potrafi.

— Górale wielką wagę przywiązują do tego, żeby leżeć w poświęconej ziemi na cmentarzu — mówił dalej Witold — a Sabała mówi: „Wszystko jedno, czy pod Krzywaniem czy w Zakopanem na cmentarzu leżeć, jedna rzecz. Niechaj ciało leży, jako kce. Pan Bóg ta ma ocy, to mie pod Krzywaniem najdzie, kie mu bedem potrzebny“.

— To także filozofja — rzekł Warburton. — Słyszałem, że Sabała nosi skrzypki przy sobie: jest-że więc grajkiem?

— Wygrywa starodawne melodie góralskie i improwizuje, a muzyka jego jest pełna charakteru: są w niej silne, oryginalne motywy, zagadkowe tęskne tony, które mało kto rozumie i o których on sam zdaje się nie wiedzieć, choć odtwarzają stan jego duszy. Był on nieodstępnym towarzyszem wypraw Chałubińskiego, który lubił jego filozofję i przepadał za jego muzyką.

---

<sup>1)</sup> Żałuje.

Anglik patrzył w ogień tak zadumany, jakby nie sły-  
szał tych wyrazów. Myślał on w tej chwili, że i w jego  
duszy odzywają się coraz silniej motywy, o których sam  
nie wiedział, lub mniemał, że wymarły — oraz że naj-  
trudniej jest znać samego siebie.

Chłód go widocznie owiał, bo zażądał jeszcze wina  
i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi duszkiem wychylił.  
Cienie, padające od skał i świerków, przybierały fantastyczne  
kształty, do ludzkich podobne postaci. Rozmowa, prowa-  
dzona półgłosem przez towarzyszy baroneta, przycichła.  
Słysząc było tylko granie potoku i jakieś tajemnicze szmery,  
zmieniające się chwilami w długie przeciągłe westchnienia.  
Słuch siedzących przy ogniu pochwycił w tych szmerach  
dalekie jakieś tony, posępne, żalosne, podobne do jęku cho-  
dzącego po szczytach wichru, lub do płaczu dziecka.

Wszyscy wytężyli uwagę, a najodważniejszych mimo-  
wolny przebiegł dreszcz... Henryk czuł, jak mu włosy je-  
żyły się na głowie: patrzył na cienie padające od skał  
i zdawało mu się, że się one poruszają. Dźwięki przybli-  
żały się i stawały coraz wyraźniejsze: można było nawet  
odróżnić skrzypki, których głos zdradzał konstrukcję bar-  
dzo pierwotną. Tony szły od wirchu, a towarzyszył im śpiew.

Oj, za-hu - ca - ty gó - ry, oj, za-hu - ca - ty la - sy

Ka - sie po-po-dzia-ty, oj, na - se da-wne ca - sy.

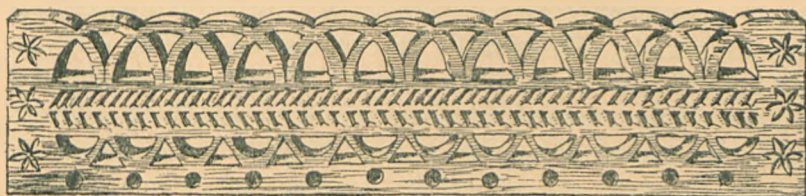
Wszyscy wyteżyli wzrok w stronę, skąd śpiew pochodził. Z góry, skalistą granią zstępowała jakaś postać, a cień jej, rysujący się na skale, nadawał jej kształty olbrzymie. Był wielki niemal jak wieża i opuszczał się powoli coraz niżej. Można było rozróżnić góralski kapelusz wielkoluda, z piórem, cuchę, siekierkę i jakiś przedmiot, z którego dobywały się tony. Górale, patrzący z pootwieranymi szeroko oczyma, zawołali jednogłośnie:

— Sabała!



Kózka.





## VIII.

### BAŚŃ SABAŁY.

*Szumi kobza — szumią drzewa,  
Grajek słucha pieśni gór,  
Każda góra swoją śpiewa,  
Tysiąc szczytów, jeden chór.*

*Deotyma: Piosnka w Karpatach.*

On to był rzeczywiście: zbliżał się powoli ku ognisku, nie przestając grać i śpiewając głosem starganym:

„Oj na Orawskim zamku,  
Oj świecom siubienicki,  
Wto za będzie wisiał?  
Jaśko z Brzezawicki?“

— Pieśń zbójecka — szepnął doktor.

„Oj kieby ja se wiedziół,  
Oj kany bedem wisiał;  
Od wierchu do dołu,  
Piekniebym wybić dał.

Oj z wirchu dukatami,  
Oj z dołu talarkami,  
Na pośrodku srebrłem,  
Pok se chłopcem dobrym“.

W czerwonym świetle ogniska ujrzano przygarbionego starca, zdającego się sto lat dźwigać na sobie. Długie siwe włosy, wydobywające się z pod kapelusza, ostre rysy, rysy

„orła z sennemi oczyma“, jak o nim mówi Witkiewicz, były tak wyraziste, że wrażały się na zawsze w pamięć; zapadłe policzki, wąska linja ust, na której spoczywał w tej chwili wyraz niewysłowionego smutku, będący w sprzeczności z tem, co mówiono o jego filozofji — wszystko to razem składało się na całość typową, niezwykłą, rzeczy można, legendową. Gdy zdjął kapelusz, mówiąc: „Pokwalony“<sup>1)</sup> — odsłonił czoło wysokie, zadumane, poorane szeregiem brózdami. Cała ta postać, którą Sienkiewicz porównał do postaci starego sępa, wyglądała jak zabytek dawno minionych czasów.

Anglicy przypatrywali się przybyłemu z angielską flegmą; górale obstąpili go, zarzucając pytaniami, a doktor i malarz, powitawszy uściskiem dłoni, przywiedli przed baroneta. Powiedziano starcowi, co to za gość i z jak daleka przybywa, dodając, że słyszał o Sabale, że chce go poznać i usłyszeć bajkę o „Śpiących rycerzach“. Sabala uśmiechnął się łagodnie i pozwalał z sobą robić, co chciano, ale od opowiadania bardzo się wypraszał. Malarz więc szepnął mu, że gość zamorski ma smutek na duszy, który nosi z sobą po świecie i którego pozbyć się chce a nie może; że przyjechał z nim w Tatry, w nadziei, że go tu może zatraci. Skoro pragnie tej bajki, Sabala zrobi dobry uczynek, gdy mu ją opowie, bo to gościa rozerwie.

Stary pokiwał głową i popatrzył na cudzoziemca, mówiąc:

— Hm, hm, wyjechali do świata, coby telo kielo smutek potraćić. Zgryzota i smutek, to zła chorość: pilno człeka złupi. Człękowi ze smutke wnuku<sup>2)</sup> to tak żyć, jak niedźwiedziovi z kulkom w brzuku. Ale bajka o zaśpianem wojsku, to wicie... nie dla zamorskich panów.

Baronet przygryzł wargi i zapytał:

— Co on mówi?

---

<sup>1)</sup> Niech będzie pochwalony. <sup>2)</sup> Wewnątrz.

Powtórzone mu słowa Sabały, a sir Edward powiedział:

— Porównanie smutku do kuli, ukrytej we wnętrzościach, jest trafne. Twarz tatrzańskiego barda przypomina mi twarz Milтона, tylko że ta ma ostrzejsze i głębsze linje, jakby ślady przeżytych tragedji i zastygłych nagle wybuchów.

— Sienkiewicz dostrzegł także to podobieństwo — zrobił uwagę malarz.

Posadzono Sabałę na kamieniu i uczęstowano: nalano raz i drugi tokaju, a gdy blada twarz starca lekkim zabarwiła się rumieńcem, sir Warburton wyraził życzenie usłyszenia jakiej innej powieści, jeżeli Sabała nie chce mówić o „Śpiących rycerzach“. Doktor spojrział na proszącego badawczo, mówiąc:

— Wasza Dostojność nie rozumie po polsku, a cóż dopiero po podhalańsku!

— Będę słuował przez tłumacza — odpowiedział — a zresztą, chcę go słyszeć.

Wy tłumaczono Sabale, o co idzie, a baronet kazał napełnić trzecią czarokę. Starzec nie dał się długo prosić. Wychylił ją, wstał, rozpostarł ręce i zrobiwszy kilka ruchów w powietrzu, jakby niemi zakreślał tło do obrazu, zaczął głosem cichym, matowym, który w miarę opowiadania nabierał siły, dźwięku i modulacji: iskra schowana pod popiołem rozżarzała się powoli, ogarniając płomieniem coraz szersze kręgi. W miarę tego garb niknął, starzec rósł, twarz młodniała.

— Słuchajcie mię teraz jako im powiem o nasyk Kościeliskak:

Tam ka się skręca na hale Smytნიom, jest turnia wysoka, a nazywa się Pisana — haj.

Drzewień<sup>1)</sup> jom inacy nazywali, ale dzisiak jom panowie przekrzcili, bo sie tam na tej turni pisajom — haj.

---

<sup>1)</sup> Dawniej.

Różne ta o niej ludzie gadki gwarzom, ze tam wnuku w tej skale jest staw, co ś niego Donajec idzie, a na tym stawie pływa złota kacka, co djamentowe jajka niesie, ale ino jedno na rok — haj.

Raz co sie nie robi, zabrał sie ta juhas po te kacke, ale nie doseł, bo ta woda strasznie zimna, a żleb<sup>1)</sup> co nim woda idzie, ciasny i ze o malučko sie nie utopieł — haj.

Boginki stawu strzegom, tozto nikogo tam puścić nie kcom, bo go bałamucom, coby sie ś niemi bawieł — haj.

Mnie zaś pedniał stary Fakla, co był dziuge porażony, takom gware, ze w tej turni ma być wojsko zaśpione — haj!

Było zaś prosem pieknie Wasyk Miłości, tak.

Raz przyhodem<sup>2)</sup> do tego Fakli, a tu stary ledwo zywy lezy na pościeli. Ja se siednam na pościeli przy nim i pytam sie go, coby mu brakować miało. A on mi tak pada:

— Mieły, mocny Boże! Hłopce, se mnom źle, Bóg mie pokarał i jako widzisz, lezem tu juz, Łazarz, moc roków. Dziecko, tyś młodszy, do światuś, a ja dziś a jutro.

Słuchaj mie, to ci powiem moje zywoybie<sup>3)</sup>. I ja był kiejsi tęgi hłop, do rzecy, a miałek kuźniom i kułek co komu było trza. Kowal był se mnie setny<sup>4)</sup>, toz to robotyk miał wse mocki<sup>5)</sup> — haj.

Raz co sie nie robi, kujem ku wiecorkowi, a tu włazi do kuźnic jakisi cłek.

Ładnie, pieknie pozdrowieł Pana Boga, toz tok mu odpediał i zgłupiałek, bok sie na niego przypatrzył i jescek w zyciu takiego cłeka nie widzioł. Niby wojak, bo zbroj na nim, broda po pas, a głowa ze stali, a gęba taka ładna, jak u janioła w niebie.

I, dobrze nie barzo, pyta sie mie, cybyk mu podków złotyk nie narobieł.

Ja padam:

— Cemusby nie, dyćjek od tego kowal.

<sup>1)</sup> Wąwóz. <sup>2)</sup> Spółgłoski *ch* wymawiają na Podhalu jak *h*. <sup>3)</sup> Życiorys. <sup>4)</sup> Tęgi. <sup>5)</sup> Dużo.

I dobrze nie bardzo<sup>1)</sup>, zacynimy te robote. Ja kujem, on mieche rusa i robota sła.

Narobieliśmy podków i kłińcy<sup>2)</sup> mnohenko, toz to mój wojak pada, coby brać to syćko w torbe i iść ś nim.

Dyć padam mu, cemusby nie, dyćjeś cłek i nieźle ci z ocy patrzy. Kie iść, to iść. Myśliwskie prawo krótkie.

Zebrałek sie. Idziemy. On na przodku, ja zaś z podkowami za nim. I tak idziemy przez Kiery do Kościelisk.

Zachodzimy ku Pisanej, a on sie do mnie obraca i tak pada:

— Nie bójże się, a cicho sie sprawuj, a strzez cie Boze nakłońć kie tam weńdziemy.

Włazimy w jakiesi źleby i dziury, a turnie to jakby sie ozestempowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaślimy do nuka.

Patrzem, a tu telo luda, a sićko lezy, głowy na siodłak, a sićkie brody som jest dłuzażne po pas — haj.

Zacynimy konie kuć. Ja wbijał kłińce i podkowyk do kopytów zdajał<sup>3)</sup>, a on nogi trzymał. A kiek już sićko, ka co brakowało, ponaprawiał, nabrał wojak struzyn z kopyt i wsuł mi w torbe i tak pada:

— Mas tu płacom!

Pomyślałek se, ze kpi ze mnie, ale mu sie sprzycał nie będzies, choć mi strażnie markotno było, bok cały dzień minon.

Wzionek torbe i wychodzący wysułek te struzyny, ale kiek wyseł na pole, patrzem w torbe, a tu nima struzyn, bok nie sickie wysuł, bo mi sie po torbie obrały, ino som jest dukaty. Było ik kielka.

Kiebyk był syćkik struzyn nie wysypał, byłbyk sie zra-tował dość godnie, alejek musiał być niegodny.

Pomyślałek se:

— Dziadowi nie daj konia, ba torbe i kij i posełek.

---

<sup>1)</sup> Przysłowie Sabały. <sup>2)</sup> Gwoździe z dużemi głowami do przybijania podków. <sup>3)</sup> Dopasowywał, przyprawiał.

Zahodzem do hałupy, a baba mnie ze zębami przyjena:  
— Kaś ty był tele casy, co cie trzy dni doma nie było? — haj.

Nie wiedziałek, kie ten cas tak wartko<sup>1)</sup> przeleciół, bo mi sie to ino kwilka widziało, ale se myślem: Nie bedem sie z głupiom babom dogadował, bo to u nik włosy długie, ale rozum strasnie krótki — haj.

I kułek pote dalej, to siekiery, to co sie kany trafieło, jaz tu znowu po kielku rokak psyseł mój wojak i znowu-  
jek mu robieł podkowy, a jak juzek dość narobieł, to my pošli tam ka i pryndzej. Myślem se, nie bedym ja juz taki głupi. Nie bedem struzyn praskał<sup>2)</sup>.

Kujemy. Ja sie ucion w palec — haj — toz tok naklon głośno, a tu co sie nie robi, wstajom ci naokoło mnie. Mnie strak obujon.

Jeden sie pyta: „Bracie! Cy juz cas?”

Ale mój wojak mu tak pada: „Nie jeszce, śpij dalej!”

Na mnie sie ostro popatrzał i pogrozieł mi palcem.

Jak my kuć skończyli, to mi znowu wsuł przygarznie<sup>3)</sup> struzyn do torby — haj.

Idem. Kiek wyseł, patrzem w torbe, kielo bedym dudków<sup>4)</sup> miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Ja sie ospajeździeł<sup>5)</sup>, bo mi casu było zal, alek se pote pedział: „Zej ja tu bez to dziadem nie bedem”. Wysulek trzaski i poseł. Na Kierak wskocyłek — haj — teleżego<sup>6)</sup> do zyda. Wypilek, a kie sie ozor pomaści, to i lekcej hodzi.

I tak wypaplałek syćko zydowi. Zyd ozgadał po świecie, cok mu napediał — haj.

I teraz co sie nie robi, roki lecom i lecom, a konie nie kute, bo ta teraz bodaś kogo nie puscom, bo musi być taki parobek, co na dziewczki nie patrzy — haj. Ja za kare sie zaraz oznimóg i lezem tak juz moc roków. Z Panem Bogiem nie będzies w karty grał — haj.

1) Prędko. 2) Rzucał. 3) Garstkę. 4) Dukatów. 5) Rozzłościł. 6) Tutejszego.

Tak to prosem pięknie — gadał mi ten Fakła, a świerki to mu ciurecke z ocy leciały — haj.

Ponieważ Sabala robił częste przestanki, jakby się namyślał lub wątek sobie przypominał, więc malarz tłumaczył na język angielski legendę prawie jednocześnie. Sir Edward nie spuszczał oczów z opowiadającego, a doktor nie spuszczał oczu ze słuchacza, którego twarz nieruchoma wyglądała jak zagadka, a palce, zanurzone w skręty brody, zaciskały się ruchem nerwowym. Witold, obserwujący także cudzoziemca, pomyślał:

— Muszę narysować tę rękę: jest pełna charakteru. Długie jej, ostro zakończone palce, mają w sobie coś przejmującego.

Gdy Sabała umilkł, ogólne zapanowało milczenie: ogień na chwilę przygasł, a sir Edward spuścił głowę i rzekł:

— Wasz filozof tatrzański umie opowiadać: jego głos potargany i matowy przeobraża się cudownie pod wpływem zapału i uczucia i całą gamą tonów rozbrzmiewa. Gesty jego są obrazowe, a twarz ruchliwa, zmienia wyraz w miarę opowiadania: farby na obraz kładzie jaskrawe i maluje grubymi rysami, ale z tego rysunku bije jasne światło. Rad jestem, że go słyszałem: jak góry wasze są niepodobne do innych gór, tak wasze baśnie ludowe inne są, niż u wszystkich ludów. Człowiek jest wszędzie ten sam, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, choć różnymi przemawia językami; ale wszędzie ma inną duszę i inne ideały. Wasza jest jak złoto, które się czyści w ogniu, a wasz ideał — to miłość bliźniego, większa od miłości samego siebie. Tę duszę, ten ideał słyszę w baśni Sabały i słyszałem w niejednej pieśni z tych stron, których echo płynęło do mnie przez morza...

Umilkł, i jakby się namyślając, mówił dalej:

— Kwiaty poezji kwitną na waszej ziemi, i róż jest wśród nich obfitość, chociaż zaczynam już wątpić, czy znajduję tu różę bez kolców. Znam człowieka, który się uro-

dził na wyspie skalistej, rzuconej samotnie wśród oceanu. Ziemi urodzajnej, tak jak tu pod Tatrami, było tam mało; uprawiano ją przeto w pocie czoła, broniąc przed niszczącymi siłami przyrody: wiatry bowiem północne zwiewały rodzajniejsze na skałach podkłady, a z zachodu bałwany zalewały łąki i pola uprawne. Dróg wygodnych nie było, bo je zawałały olbrzymie zwały morenowe. Drożyny wąskie wiodły nad przepaście i krawędzie skał ostre. Człowiek ów nie chciał kaleczyć rąk, ani w pocie czoła walczyć z deszczem i wiatrem o każdą piędź ziemi; poszedł w świat... znalazł łagodniejszy klimat, lepsze drogi, urodzajniejszą ziemię, a los mu sypał złoto pod nogi. Poszczyściło mu się, ale spostrzegł, że zgubił w drodze duszę, którą był zabrał z domu. Szuka jej po świecie, jak ja róży bez kolców, i jak ja znaleźć jej nie może!... Cierpi on za życia czyściec, który czasami zamienia się w prawdziwe piekło. Złoto, którego pragnął, ma dziś dla niego znaczenie takie samo, jak owe strużyny, które w torbie zamiast dukatów znalazł stary kowal Fakła.

Słuchano tych słów ze zdumieniem. Co znaczyła ta powieść? Kto był ów człowiek, o którym mówił — i czy to utwór fantazji, czy rzeczywistość? Pierwszy to raz, on, oszczędny dotąd w słowa, dał się unieść wrażeniu, czy zapałowi.

Ogień podsycony świeżą wiązką smereczyny znów większym zajaśniał blaskiem i oświecił twarz baroneta, zawsze spokojną, ale bladą jak płótno. Milczeli wszyscy. Ciszę przerwał głos dziecinny, ale poważny, prawie uroczysty:

— Ten człowiek powinien wrócić na wyspę, bo inaczej nie odnajdzie swej zguby!

Sir Edward odwrócił się zdziwiony.

Był to głos chłopca, który znalazł na szczycie Bystrej gwoździak lodowy. Starzec i dziecko patrzyli przez chwilę na siebie, jakby badając się wzajemnie. Baronet lekko brwi zsunął, i nie chcąc snąć wdawać się z dzieckiem w rozmowę, rzekł swobodnie, prawie wesoło:



— Jeżeli nie znajdę w tych górach róży bez kolców, zabiorę przynajmniej z sobą do Anglii wiązkę legend. Hej, Jerry, jeszcze wina!

Walter, znający zwykłą wstrzemięźliwość sir Edwarda, wydziwić się nie mógł, że wbrew zwyczajowi pił dzisiaj tak wiele.

---

Przewodnicy tatrzańscy mają już ustaloną sławę; inteligencją, przytomnością umysłu i roztropnością, przewyższają o wiele swych kolegów z Alp i Pirenejów. Turysta, oddawszy się im w opiekę, nie potrzebuje wcale myśleć o sobie, troszczyć się o nic, bo oni się za niego troszczą, oni myślą o wszystkim. Ponieważ magnat angielski chciał nocować w dolinie — nie czekając rozkazów, pobiegli na Smytną do szałasów pasterzy, i wrócili obładowani dużemi wiązkami siana na posłanie. Szło tylko o to, czy w schronisku nocleg urządzić, czy też gdzie indziej. Miejsca tam nie brakowało, ale była to tylko buda z desek, dobrą dająca we dnie ochronę od zbyt skwarnych promieni słońca, nie zabezpieczająca jednak dostatecznie od nocnego chłodu. Teraz w dolinie Kościeliskiej jest hotel, zaopatrzone we wszystkie potrzeby, ale wówczas nie było go jeszcze, a podróżni nasi nie mieli z sobą kołder, tylko derki z wozów, pledy i jeden płaszcz, własność baroneta, dla którego też, ze względu na jego wiek, należało wynaleźć zaciszniejsze schronienie.

Malarz zaproponował nocleg w Krakowie, w grocie, znajdującej się niedaleko wejścia do wąwozu. Długa a wąska, nadawała się wybornie do noclegu — choć przystęp do niej nie łatwy, zwłaszcza po nocy, ale czego nie widać przy księżycu, to się dojrzy przy świetle pochodni. Zabrano ich kilka z Zakopanego, bo od czasu, jak Pawlikowski odkrył nieznanne dotąd grotę, rzadko kto wybiera się do Kościelisk bez pochodni. Pytano Sabały o zdanie.

— Hm — rzekł — godne to miejsce dla nik: grotą je głęboka, wiater nie maći, ino, że do Krakowa czasem zagładają niedźwiedzie, bo te po turniach Kościeliskik rade chadzają. Blisko im do cieliczek na Smytnią i do owieczek na Kirę.

Powtórzo sir Edwardowi tę uwagę, na co rzekł:

— Nie jesteśmy bez broni na taki wypadek. Mam nóż przy sobie i sześciostrzałowy rewolwer.

— Noży znajdzie się więcej — wtrącił doktor.

— Jest skole <sup>1)</sup> — dodał Sabała.

Warburton mówił dalej:

— Niedźwiedź może i do schroniska trafić, a w szerokiej, otwartej budzie, trudniejsza obrona niż w grocie z wąskim otworem. Wszystko zatem jedno, gdzie obierzemy sobie nocleg, bo wszędzie spotkać nas mogą niepożądane odwiedziny. W dzień polowanie takie miałyby dla mnie nawet urok nowości, bo w Angliji niema wcale niedźwiedzi, ale w nocy, gdy się pragnie spoczynku, przyznaję, że wolałbym, żeby się bez polowania obyło.

I wyjąwszy z kieszeni nóż składany w oprawie z kości słoniowej, przyglądał się ostrzu z uwagą, co widząc Sabała rzekł z flegmą:

— On je grzeczny, bo je tchórz: zdrowego niema co się bać, cheba jak sie nie zabije od razu a postrzeli, a obali, to potem obces skoczy do ciebie.

A gdy panowie uśmiechali się na to określenie, dodał:

— To je gazda od hal i od lasa: ma swoje dogadanie i swój sposób, jako i ludzie. Nie sieje, nie orze, nie kosi, nie juhasi, a ma wszystko. Na wiosnę, latem, chodzi w cuse potarganej jako dziad, biedy jednak nijakiej nie cierpi. Jak mu trza, bije owce po halak, zje jałówkę na lotku, żre borówki, rozmaite korzonki, ścina tłustą trawę na szałasiskak; jak mu się kce, idzie na owies do dziedziny <sup>2)</sup>). Przed zimą

---

<sup>1)</sup> Kamień. <sup>2)</sup> Do wsi.

je glony po źródliskak z biedy, albo sywarek ka najdzie. Gości się dziś nie spodziewa, bo ik nie prosię.

— To samo mówi o nim Witkiewicz, który przepysznie opisał niedźwiedzia — rzekł Witold — i zwracając się do Sabały, zapytał, gdzie radzi nocować.

— W Kościeliskak o gospody nie bieda, ino bieda wybierać. Na ten przykład Zbójeckie okna, ka Janosik ze swymi hłopcami przebywał. Gospoda piękna, przestronna.

— Więć idźmy tam! rzekł malarz. — Prowadźcie nas. Sabała się nie ruszał.

— Ino że tak głęboko schowana w lesie, co i po dniu nie łatwo do niej trafić.

— Taak?

— Jakież więcej macie gospody? Wy tu gazda od wielu lat i znacie Kościeliska na wylot.

— Do Zimnej grotty was nie mogę prowadzić, bo tam lód leży miejscami, toby was zamroziło. Mam parę grot pod Pisana, ale to nie dla was, bo wejście do nik za trudne. Wziąłbym was do Niżniej pod Zamkiem; widać z niej turnie Organów i Ratusz. A możebyście kcieli nocować w Grobak?

— Nie, żywcem w grobach kłaść się nie chcemy — rzekł, śmiejąc się doktor. — Znam tę grotę, pełno w niej dziur, wgłębień, skrzel, występów, kominków fantastycznych, kaptlic. Szukano tam widocznie skarbów kiedyś, jak tego ślady zostały w porysowanych ścianach. Miejsce godne widzenia dla swej oryginalności, ale nie jako schronienie dla ludzi, zmęczonych całodzienną wycieczką i pragnących zacisznego spoczynku. Przytem jest tam mokro i ciągle zgóry kapie.

— Mnie się zdaje, że Sabała naumyślnie wylicza swoje gospody, żeby nam ich mnogością zaimponować, choć wie, że żadna z dotąd wymienionych nie może się nam przydać. To jest figlarz! — odezwał się malarz.

Ten, którego posądzono, uśmiechnął się na te wyrazy, a znając słabość turystów, dodał jakby od niechcenia:

— Kamiennego mleka tam dość.

— O jakim mleku mowa? — zapytał Henryk.

— O wapiennem, które dla jego gęstości należałoby raczej nazwać śmietaną. Osadza się ono na ścianach groty i na sklepieniu, tworząc wzorzyste rzeźby, a z rzeźb tych później powstają stalaktyty.

Sabała mówił dalej:

— Jest też niezgorsza gospoda w Dzwonnicy, ale dostać się do niej bieda i nie można inaczej, ino trza smerek ściąć, poprzcinać gałęzie, przystawić go do dziury i dopiero spuścić się po nim nadół jak po drabinie, a potem wleźć po nim do góry.

— To i na cóż nam wyliczacie gospody, które nie zdały się na nic? A pan co na to mówisz, panie profesorze?

— Wszystko mi jedno, gdzie będę nocował — odrzekł Strand, który dotąd darować nie mógł malarzowi, że mu spłoszył traszkę.

Na to odezwał się przewodnik:

— Jest tu bliziutko za potokiem Raptawica, a w niej groty, co je odkrył pan Pawlikowski.

— Czy ta wielka turnia na prawo, gdzie są Dudowe kominy? — zapytał doktor.

— Tak, panie. Są tam obszerne komory i okna dwa, jedno wychodzi na dolinę, a drugie na zbocze. Iść trzeba pod górę, po piargu<sup>1)</sup>; wejście łatwe, ale pod granią<sup>2)</sup> trzeba będzie pochodnią przyświecić.

— Nie mógł to Sabała od tego zacząć — mruknął doktor — tylko nam czas zmitrężyć wyliczaniem swych gospód!



<sup>1)</sup> Usypisko z drobnych ruchomych kamieni. <sup>2)</sup> Krawędź.



## IX.

### BŁĘKITNA WSTAŻKA.

*Kobieto, puchu marny! ty wietrzna istoto,  
Postaci twojej zazdroszczą anieli,  
A duszę gorszą masz, niżeli...*

*Mickiewicz : Dziady.*

Baronet, któremu zdano relację o wszystkich gospodach, zgodził się odrazu na Raptawicę. Ruszono więc zaraz w drogę, wzięwszy pochodnie, ale ich nie zapalono, bo księżyc dość jasno świecił. Ścieżki nie było widać, tylko zarośla, a potem usypisko drobnych kamieni, ruszających się pod nogami i staczających nadół przy stąpieniu. Miejscami usypisko to pokryte było śliską warstwą czarnej próchnicy, więc przewodnik zalecał ostrożność i trzymanie się ściany, pod którą szli, mając nad sobą ostrą grań poszarpanych turni. Przewodnik szedł naprzód, za nim baronet, za baronetem profesor, dalej doktor, malarz i Walter. Henryk postępował ostatni. Szereg zamykali górale, niosący płachty z sianem na plecach i bagaże. Sabała szedł sobie bokiem po usypisku, swobodnie, z niedbałością człowieka, który jest u siebie w domu i zna każdy kąt.

Posuwając się tak powoli, ale ciągle pod górę, weszli między oryginalne oderwy skalne, stojące samotnie jak ściany zwałonego budynku. Tu już srebrny promień księżycyca dosięgnąć nie mógł. Przewodnik przystanął i kazał za-

trzymać się wszystkim. Zapalono teraz pochodnie: światło ich ponuro błyskało między szczelinami skalnymi, przez które przechodzili. Ujrzano jakąś czeluść otwartą, ale przewodnik minął ją i zatrzymał się dopiero o kilkanaście kroków dalej.

Tutaj byli już u celu mozolnej i niezbyt bezpiecznej wędrówki. Przewodnik podniósł pochodnię wysoko do góry, i oświetliwszy otwór do groty i tuż przy otworze okno, cisnął ją na ziemię i zgasił nogami ogień — a za jego przykładem inni uczynili to samo ze swojemi pochodniami. Zapanowała zupełna ciemność i cisza, bo prowadzeni nie rozumieli, co to znaczy, i myśl o zasadzce przeleciała Anglikom przez głowę. Ale dał się słyszeć trzask pocieranej zapałki. Przewodnik zapalił świecę stearynową, którą wyjął z kieszeni i ją pierwszy nadół zstępować. Na zapytanie, dlaczego tak uczynił, skoro pochodnia lepiej oświetlałyby podziemie, odpowiedział, że dym pochodni smoli kamienne mleko i białe ulice w grotach na czarne zamienia.

Wejście było prawie ciasne, a pierwsza część groty niska, ale dalej jama rozszerzała się i przedłużała, kończąc oknem, którego dolny otwór dotykał poziomu. Była to obszerna komnata, dwadzieścia kilka metrów długa, a za nią ciągnął się cały szereg mniejszych i większych.

— No, tu im będzie przestronno — powiedział przewodnik, stanąwszy na środku i usiłując całość oświecić, ale drobny migocący płomynek świecy nie mógł tego dokazać. Witold wpadł na myśl, żeby zapaloną pochodnię zatknąć w szczelinę skały nawprost bocznego okna, a światło jak z latarni, stamtąd do środka płynąć będzie — i uznano, że pomysł jest dobry. Wnętrze jaskini otrzymało rembrandtowskie oświetlenie — większa część jednak pozostać musiała w cieniu.

— Gospodę mamy obszerną — rzekł Jakób, rozglądając się — komnat w niej tyle, że każdy z nas mógłby mieć oddzielnie sypialnię, jadalnię, gabinet do pracy, nawet do-

brze poszukawszy, znalazłaby się może i sala balowa. Ale zimno wieje ze ścian i korytarzy, i może i lepiej byłoby przeprowadzić się do Krakowa. Jakie jest zdanie Waszej Miłości? Czy nie obawiasz się, sir, przeziębienia? Czuję wilgoć i słyszę krople wody, sączącej się ze sklepienia.

— Jeżeli panowie chcecie się stąd wyprowadzić, nie będę się temu sprzeciwiał — odpowiedział — ale jeżeli mówiąc to, moją tylko osobę macie na względzie, zapewniam was, że możemy śmiało nocować w tym podziemnym pałacu. Reumatyzmu nie znam, płuca mam mocne i jestem zahartowany na zmiany temperatury. W dzieciństwie — dodał, zawahawszy się — długie lata spędziłem w zimnym klimacie, a klimat Anglii także do łagodnych nie należy. Może dla was tu jest za zimno, zwłaszcza, że macie z sobą dziecko. Nie chcę brać odpowiedzialności za jego zdrowie.

Wyraz „dziecko“ głęboko dotknął Henryka. Uważał się już za mężczyznę i umiał zapracować, jeśli nie na chleb, to na książki, bo uczył młodszych od siebie.

— Przepraszam pana, sir — odezwał się drżącym głosem. — Nie jestem już dzieckiem. Zahartowano mnie bardzo wczesnie na wszelkie niewygody i zmiany powietrza. Urodziłem się w skromnym dworku i nikt mnie nie rozpieszczał.

Anglik spojrział zdziwiony na szlachetną twarz chłopca, który po raz trzeci zachowaniem się swoim zwracał jego uwagę. Przypatrywał mu się przez chwilę i nie znalazłszy odpowiedzi, mówił w dalszym ciągu do doktora:

— Pozwolę sobie tylko zaproponować panom, aby każdy z was zrzekł się oddzielnego apartamentu na rzecz ogólnego dobra. Ta oto grota jest dość obszerna, aby wszystkich nas wygodnie pomieścić, a przez dwa znajdujące się w niej okna, płynie ciepłe powietrze z zewnątrz i łagodzi jej temperaturę wewnętrzną. Jestem pewny, że będzie tu znacznie cieplej, niż w innych komnatach; może więc tutaj razem nocować będziemy? Jakże, czy zgadzacie się na to?

— Jak najchętniej — odpowiedzieli. — Wreszcie, jeżeli nam będzie bardzo źle, zawsze jeszcze możemy się przeprowadzić.

— Mamy serdaki, siano i koce — dodał baronet — czegoż więcej nam potrzeba?

To powiedziawszy, przybliżył do ściany stoczek, który mu podał malarz i przypatrywał się bogatej rzeźbie, naśladowującej fantastyczne kwiaty i arabeski. Były to nacieki, przypominające zwierzokrzewy morskie, zwane pospolicie białymi koralami, a ze sklepienia zwieszały się sople stalaktytów. Na końcach sopli błyszczały białawe krople wody, nakształt łez. Profesor, postępujący za nim, odezwał się:

— Podpatrujemy naturę w chwili tworzenia. Bóg kreśli plany budowy, a woda, posłuszna prawom Stwórcy, wykonuje je. Jest ona zarazem budowniczym i artystą.

— Przyznam się panu — odrzekł baronet — że chociaż ją widzę w tej chwili przy robocie, jednak nie bardzo sobie zdaję sprawę z jej czynności. Materiał, zwłaszcza sposób przygotowania go, ma dla mnie coś zagadkowego. Chemikiem, ani geologiem nie jestem. Zawsze interesowały mnie tylko kwiaty.

— Materiał? Prostu woda nasycona kwasem węglanym: rozpuszcza ona skały wapienne, i przenikając szpary w nich będące, ukazuje się na ścianach sklepienia w postaci kropli, które pan widzisz. Tu kwas węglany ulatnia się, a rozpuszczony w niej węglan wapnia osadza się i tężeje. Tak powstają rysunki na ścianach, do wschodnich arabsków podobne, tak stalaktyty i stalagmity, czyli sople górne i dolne. To jest praca rzeźbiarska. Ale woda czyni więcej: ona buduje te pieczary.

Zaczął rozwijać swoje teorie naukowe, mówić o wieku powstawania tych jaskiń, nie spostrzegając, że Warburton słuchał go tylko przez grzeczność, tłumiąc ziewanie.

Górale urządzili dla wszystkich postanie: siano było pod dostatkiem, więc chociaż kołder nie stawało, derki i wierzch-



nie ubrania je zastępowały. Nikomu nie było zimno. Na wygodę baroneta szczególną zwrócono uwagę, i własny groom jego nie miał tu nic do poprawienia.

Doktorowi posłano obok Waltera; szczupły ten, skromny, prawie ciągle milczący młodzieniec, od początku był mu sympatycznym. Rozmawiał z nim chętnie, ilekroć nadarzyła się do tego sposobność. Teraz przysunął się do niego i zapytał półgłosem:

— Czy pański baronet istotnie jest tak nietykalnym, że żadne choroby go się nie imają, czy się tylko zdrowiem swoim przechwala?

— Trzeba nie znać Edwarda Warburtona, żeby go posądzić o możność przechwalania się — odrzekł przyciszonym także głosem młodzieniec. — Człowiek ten zawsze mówi prawdę, bez względu, czy się ona komu podoba, czy nie. Od czasu, jak jestem w Rochdale, nie chorował jeszcze, wyjąwszy...

— Wyjąwszy... kiedy?

— Wyjąwszy owego dnia, gdy mu przyniesiono z polowania martwego syna. Wówczas stracił na chwilę przytomność. Cios ten nagły, niespodziewany, ogłuszył go, ale nie złamał, bo to jest człowiek, którego nic złamać nie zdoła. Ten syn urzeczywistniał wszystkie jego pragnienia i nadzieje: zdolny, rozumny, silny, piękny, odziedziczyć miał nie tylko tytuł i wielki majątek, ale szlachetne pomysły i cele ojca prowadzić dalej i rozwijać. Robotnicy w jego fabrykach i farmerzy w jego dobrach, nie znają biedy, a wszyscy go błogosławią, bo los ich żywo bierze do serca, a dziećmi ich interesuje się jakby własnymi.

— Dawno się zdarzył ten wypadek?

— Ośm lat temu. Sir Edward kochał syna do szaleństwa, chociaż mu jawnie tego nie okazywał. Z jego śmiercią zmienił się bardzo. Dawniej lubiący ciągle przebywać w swoim Rochdale, które bezustannie upiększał, rozszerzał i zdobił dziełami sztuki, zaczął uciekać z domu. Ogarnęła go go-

rażka podróży: zwiedził Indje, Egipt, Japonję, Chiny, a Jerry, który mu towarzyszył, powiada, że sir Edward narażał się na największe niebezpieczeństwa, jakby umyślnie szukał śmierci. Ale śmierć widocznie ucieka od niego, bo wszystko uchodzi mu bezkarnie. Miewa pewne dolegliwości, ale im się nie poddaje, a gdy przebywa w Anglii, oddaje się pracy gorączkowej. Po całych dniach, a często i nocach przegląda rachunki, wchodzi w najdrobniejsze szczegóły administracji.

— Szuka zapomnienia w pracy — szepnął doktor.

— Walczy mężnie ze swą boleścią i nie może jej zwalczyć. W tym roku pożółkł i pochylił się, a choć utrzymywał ciągle, że jest zdrow, lekarz domowy nie taił przedemną wielkiej obawy o niego. Przed dwoma tygodniami sir Edward zupełnie niespodzianie powziął zamiar jechania w Tatry, i od tej chwili stan jego zdrowia jakby się poprawił. Uważałem nawet, że w miarę zbliżania się do celu podróży, stawał się mniej posępnym i odzyskiwał dawniejszą cerę, jakby zdaleka już odczuwał dobroczynny wpływ tutejszego klimatu. Trzeba mu widać chłodnego, orzeźwiającego powietrza waszego kraju, a nie Alp, które mu radzono, i gdzie niejednokrotnie przebywał. Przewiduję, że w niedalekiej przyszłości Tatry odbiorą Szwajcarii jej ustaloną sławę, i tutaj będzie główny gościniec osób, szukających nowych sił i nowych wrażeń.

— A róża bez kolców?

— Sir Edward szuka tej róży, bo jest to jedyna odmiana, jakiej mu brakuje dla uzupełnienia wspaniałej kolekcji.

Doktor pomyślał sobie, że chęć szukania tutaj właśnie, a nie gdzie indziej, owej róży, natchnął baronetowi instynkt właściwy każdemu człowiekowi, podszeptujący czasem najlepsze środki lecznicze.

— Organizm jego ma jednak dziwną odporność — powiedział. — W tym wieku, jak on chodzi po górach! To człowiek ze stali. Jeden to więcej dowód, że nie ciało jego jest chore.

— Nazywając go „człowiekiem ze stali“, trafnie go pan określa. Zawsze on budził podziw i poszanowanie, połączone z pewną obawą: bywał wymagający, surowy, nawet groźny, zwłaszcza gdy szło o wykonanie obowiązku. A od czasu owej katastrofy niezwykły ten charakter, który nigdy otwartym nie był, zamknął się więcej jeszcze w sobie, powiedziałbym, skrytyzował się, stwardniał. Serce jego nieobojętne na ludzką niedolę, nieprzystępne jest ludzkim słabościom. Stąd pochodzi, że choć baronet czyni wiele dobrego, nie jest tak kochanym, jak na to zasługuje.

— Ale pan mówisz o nim tak gorąco, jakbyś go kochał.

— Uwielbiam go — powiedział z uczuciem młodzieniec — kochałbym go, gdyby na to pozwolił. Ale on nie potrzebuje niczyjej miłości: sam sobie wystarcza.

— Ma rodzinę... — szepnął doktor.

— Tak, ma rodzinę — powtórzył Walter — ale nie własną — i obaj zamilkli.

— Gdzie to sir Edward spędził młodość — zapytał doktor, zajęty jedną myślą. — Mówił mi coś o chłodnym klimacie...

— Nie wiem — odrzekł Walter — nie mówi nigdy o przeszłości. Czy się panu nie chce spać jeszcze?

— Nie.

— Mnie się już oczy kleją. Dobranoc.

Doktor domyślił się, że Walter chciał przerwać rozmowę, a wkrótce równy, rytmiczny oddech młodzieńca przekonał go, że zasnął naprawdę. Jakób chwilę jeszcze myślał o bajce Sabały i bajce Warburtona, aż sen skleił mu znużone powieki.

Sir Edward długo nie spał. Przy dogasającym świetle zawieszanej w szczelinie skalnej pochodni, widział, jak chłopiec, którego mimowolnie obraził, nazwawszy go dzieckiem, podciągnął swoje posłanie pod okno, tak, aby jeden z płaskich kamieni mieć pod głowę: jak położywszy się potem, próbował, czy będzie dobrze, a upewniwszy się

o tem, ukląkł na posłaniu, przeżegnał się i zaczął mówić pacierz. Widok ten poruszył Anglika do głębi: podparł się na łokciu i ukryty w cieniu framugi, przypatrywał się tej twarzy dziecinnej, na której nie dziecinna malowała się powaga i gorącość uczucia. Wydało mu się, że w tem dziecku widzi siebie samego w domu rodzicielskim, gdy był jeszcze małym, niewinnym, pobożnym, kochającym i kochanym — a obok niego klęczało rodzeństwo: brat i siostra. A potem, gdy już pokładli się w łóżeczkach, przychodziła matka, otulała każde troskliwie i przeżegnawszy, całowała w czoło na dobranoc. Wspomnienia z całą siłą zaczęły stawiać mu przed oczy, obrazy dawno minione. Uczuł wrażenie tego słodkiego pocałunku, zobaczył pokój sypialny z niską belkowaną powałą, klęcznik, a nad nim obraz Matki Boskiej i srebrną lampkę, wiszącą na łańcuszku, w której zawsze paliła się oliwa. Światło tej lampki było słabe, niebieskim szkłem przyćmione, a oblicze Matki Zbawiciela łagodne i pełne miłosierdzia, nabierało życia przy lekkim migotliwym płomyku.

Pochodnia, tkwiąca w szczelinie skalnej, dopaliła się i z sykiem upadła na kamienie. Wszystko pograżyło się w ciemnościach. Anglik usnął, a dobroczynny anioł snu, co koi wszystkie cierpienia, zaniósł go na skrzydłach w daleką krainę nad jezioro, pod dach ubogiej strzechy, zdala od Tatr i od Anglii.

---

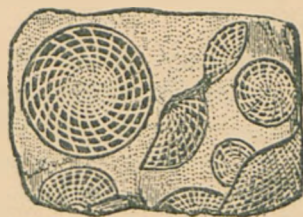
Profesor Strand był bardzo strudzony, ale sen nie kleił mu powiek. Tatry i wszystko, co miało z niemi związek, interesowało go bardzo, a obecnie zajmowała go zagadka ich wieku geologicznego. Chwila obecna nie istniała dla niego; myśl podążyła w zamierzchłe czasy, usiłując uprzytomnić sobie to, co się działo przed lat tysiącami. Przewracał się na posłaniu, poprawiał, wzdychał, wreszcie wstał.

Cisza panująca w pieczarze dowodziła, że wszyscy śpią. Strand zbliżył się do posłania baroneta, a przekonawszy się, że ten oddycha równo i spokojnie, jak człowiek w głębokim śnie pogrążony, wyciągnął rękę i namacawszy stoczek, który był poprzednio zauważył, zapalił go, patrząc lękliwie, czy głos pocieranej zapalki którego z towarzyszków nie obudzi — ale nikt się nie poruszył. Ostaniając dłonią światło i stąpając jak najciszej, zapuścił się w podziemia.

Korytarz, którym szedł, miał na sklepieniu i z boków ślady oskardów, okazujące, że niegdyś był wąskiem przejściem, ale je rozszerzono dla wygody zwiedzających. Strand przybliżył stoczek do ściany i odłupał ciupagą kawałek, były to doskonale zachowane odciski korzenionówek czyli otwornic. Przypatrzył im się, schował do kieszeni i szedł dalej.

Korytarz załamywał się pod kątem prostym. Strand podniósł do góry stoczek i ujrzał przed sobą długi, wąski otwór, którego koniec ginął gdzieś w ciemnościach nocy. U wejścia do otworu, przyczepiony pazurami do skalnego występu, wisiał głową nadół zwieszony nietoperz. Za zbliżeniem się światła poruszył skrzydłami, uniósł się i znikł w ciemnościach nocy. Słychać było tylko czas jakiś łomot skrzydeł, objających się o sklepienia.

— Nie wyrzucam sobie, żem go spłoszył — rzekł do siebie profesor — bo teraz najlepsza pora do polowania na owady, które on lubi. Poleciał w stronę sypialni, aby stamtąd wydostać się na dwór i gotów jeszcze przestraszyć tego małego Polaka, co się położył przy samem oknie. Nieśłusznie ludzie tak obawiają się tych brzydkich, ale pożytecznych stworzeń, niszczących owady. Wszystkie podania o wkręcaniu się ich we włosy człowieka, to wierutne bajki!



Otwornice.

Coprawda i ja nie szukam spotkania z niemi, ale wolę już spotkać się z nietoperzem, niż... niż naprzykład z kobietą!

I na samą myśl, że w tej chwili, w tej pustce i samotni mógłby się zjawić przy nim „puch marny i wietrzna istota“, jedna z tych, co niosą śmierć ptaszkom niewinnym dla podniesienia wdzięków — wstrząsnął się uczony profesor.

Ciekawy, dokąd też prowadzi otwór, zapuścił się weń, a uszedłszy kilkanaście kroków, znalazł z boku okienko, a raczej skrzelę głazu, i wsunawszy rękę ze stoczkiem w otwór okna, zobaczył długą, coraz bardziej zwężającą się szparę, której ściany ociekały wilgocią.

— Ten tu korytarz stanowi zapewne główny pień tych pieczar i będzie miał liczne boczne otwory — rzekł do siebie. — Zdaje się, że znajdę tu niejedną niespodziankę: trzeba iść dalej.

Ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, znalazł się u zbiegu dwóch dróg; korytarz rozdzielał się w dwie strony. Stanął zakłopotany, nie wiedząc którą wybrać: ale miał sobie zawsze za zasadę trzymać się drogi prostej, więc machnawszy ręką, ruszył przed siebie. Po chwili jednak uczuł wątpliwość, czy zrobił dobry wybór. Sklepienie opuszczało się coraz niżej i wkrótce nie można było iść inaczej, jak na czworakach. Profesor cofać się nie lubił i był człowiekiem niełatwo się zniechęcającym — posuwając więc naprzód przed sobą stoczek, czołgał się powoli i ostrożnie, przyczem okulary dwukrotnie mu spadły. Szczęściem niewygodna ta droga nie długo trwała. Wkońcu ukazała się wysoka, obszerna komora.

Profesor podniósł się z trudnością, i przyglądając się kształtom sklepienia obwieszonego stalaktytami, rzekł:

— Robota rzeźbiarska na sklepieniu niedaleko się tu jeszcze posunęła. Sopleńce małe... szkoda, że nie obudziłem Warburtona, i nie namówiłem, aby mi towarzyszył. Wyjaśniłbym mu przystępnie to, czego nie rozumie ten

szlachetny, w różach zakochany dziwak. On lubi tylko kwiaty: ale jakkolwiek każdy kwiat, choćby najmniejszy, jest cudem stworzenia, wszystkie razem nie mówią tyle co kamienie, opowiadające roczniki ziemi z przed tysięcy lat. Wymowa kamieni jest potężniejszą i więcej przekonującą nad wszystkie wyrazy!

Obejrzał się dokoła i ogarniając wzrokiem całość komory, rzekł:

— Wspaniała komnata! Moznaby w niej bal urządzić na kilkadziesiąt par. A musi tu być takich więcej! I pomyśleć, że to wszystko potworzyła woda... nie ów potok, co biegnąc w szalonym pędzie z szumem wielkim, wszystko po drodze niszczy i łamie, ale drobne, ciche, zaledwie widoczne dla oka kropelki wody! One to biorą się za bary ze skałą i powoli ją zwyciężają. Wsiąkają w nią małemi, nieznacznymi otworkami, podobnymi do nakłucia szpilek, i litego, niewzruszonego napozór olbrzyma, zamieniają w porowatą gąbkę... Przenikają coraz głębiej, głębiej, korzystają z każdej napotkanej w jego wnętrzu szpary lub szczeliny, żeby ułatwić sobie pracę mechaniczną. Mądry, rozważny człowiek nie lepiej wziąłby się do rzeczy! Krople wydłużają się, rosną, nie spadają już, ale ciekną cienkimi niteczkami, zmieniającemi się w strumienie, przenikają pokłady skał, kruszą je, niszczą i zwiększając coraz bardziej swe podziemne przypływy tworzą we wnętrzu ziemi takie, jak ta oto, pieczary i groty. Bo strumień musi dążyć kędyś siłą swej ciężkości, a biegnąc, unosi z sobą cząsteczki skały, którą wydrążył. O, ileż ludzie nauczyć się mogą od jednej kropli wody! Taka mała, a przecież góry z miejsca na miejsce przenosi! Bóg wielkich dzieł swoich małemi często dokonywa środkami.

Duża kropla ze sklepienia spadła mu na rękę i to przerwało jego zadumę. Szelest spadających kropli ciągle było słyhać, ale Strand zauważył, że między jedną a drugą upływa chwila dość długa. Wyjął zegarek i rachował.

— Pięć minut — rzekł, gdy nowa kropla spadła — hm, to prędko. Czasem bywa, że między jedną a drugą upływa minut kilkanaście... tak wolno przecieka woda; a wtedy do wytworzenia sopleńca długiego na kilka metrów, trzeba kilkanaście tysięcy lat. Wiek tych tu wiszących u góry sopleńców, mógłbym w przybliżeniu obrachować, omyliwszy się co najwyżej o jaki tysiąc lat. W wieku ziemi, to drobnostka... W każdym razie nie doczekam się, aby sopleńce te urosły przy mnie w stalaktyty. Pójdę dalej.

W komorze były dwa otwory, czarnymi zwrócone ku niemu paszczami. Profesor, szukający zawsze drogi prostej, puścił się bez wahania przed siebie — ale zaledwie wszedł do otworu, zobaczył, że będzie musiał iść na czworakach. A że już doświadczył niewygody takiego podróżowania, więc odstąpił na ten raz od zasady i wszedł w drugi otwór. Ten jednak równie był niski, więc rad nie rad musiał znowu się czołgać. Przebywszy tak kilkanaście metrów ze stoczkiem ciągle posuwany naprzód, zobaczył ścianę, zamykającą dalsze przejście. Cofnął się więc i doszedłszy do miejsca, gdzie sprzeniewierzył się swej zasadzie kroczenia zawsze prostą drogą, znalazł niewielką komorę, skąd wąską, ciasną szparką doszedłszy do końca, stanął znowu przed litą skałą.

— Zaczynam rozumieć plan tych podziemi — myślał — jest pień główny z dwiema na końcu odnogami. Ale z pnia głównego muszą wychodzić boczne gałęzie; wracajmy zatem i zbadajmy je także. Tym sposobem będę mógł sporządzić mapę.

I przyświecając stoczkiem po ścianach, mówił dalej:

— Ale warto było tu przyjść: co za obfitość kamiennego mleka, jaki fantastyczny rysunek! Przypomina mi to ściany Alhambry, gdzie jedna rzeźba przykrywa drugą, jakby delikatną siatką. Wprawdzie to szkic dopiero, który wieki następne cieniować i wykonywać będą, ale i ten szkic już jest prześliczny i bogaty. Czego tu niema! Arabeski zachodzą jedno na drugie, linje łączą się lub rozdzielają, a wśród



nich zwoje liści, tajemnicze hieroglify, lub kwiaty nieistniejące na kuli ziemskiej. A jaka niepokalana białość! Snać światło pochodni jeszcze tu nie zajrzało.

I raz jeszcze podniósłszy rękę ze stoczkiem w górę, rzucił ostatecznie spojrzenie i zawrócił się. Na zakręcie potknął się o kamień i spostrzegł na ziemi skrawek błękitu. Zdziwiony schylił się i podniósł go: była to wstążka atlasowa, na widok której wzruszył ramionami.

— Chodziła tu dziś widać jakaś kobieta. Co to za wścibskie stworzenia! W najciaśniejszą dziurę to wleźć musi.

Wstrząsnął się z obrzydzeniem i machinalnie włożył wstążkę do kieszeni.

Idąc głównym pniem podziemia, był już jak u siebie, poznawał miejsca niedawno przebywane. Zbadał parę bocznych odnóg i doszedł do punktu, gdzie korytarz załamywał się pod kątem prostym.

— Aha — pomyślał — jestem już blisko naszej sypialni: moi towarzysze pewnie w tej chwili się przewracają na drugi bok.

Był bardzo znużony i z przyjemnością myślał o postaniu dobrowolnie opuszczonem. Spojrzał na zegarek: była już dwunasta.

— No — pomyślał — dość długo się zabawiłem.

Ale korytarz, którym szedł, jakoś się nie kończył. Profesorowi wydało się, że gdy go poprzednio przebywał, znacznie był krótszy.

— Widocznie jestem bardzo znużony, i dlatego wydaje mi się teraz tak długim, ale za pięć minut powinienem już być na miejscu. A o! nareszcie! Ale co to jest? Słyszę szmer podziemnego strumienia, którego nie słyszałem, wychodząc stąd. Czyżby w czasie tych dwóch godzin woda przerwała jaką szczelinę? To byłoby ciekawe!

Wszedł do sypialni i zwrócił się odrazu na prawo w stronę swego postania, ale go na miejscu nie znalazł. W rogu komnaty, gdzie niedawno leżało świeże pachnące siano, okryte

kocem, leżał teraz duży głaz. Zdziwiony szukał dalej, przysłaniając ręką światło — ale ani pośłania, ani towarzyszy nie znalazł. Co to jest? Czyżby opuścili grootę? A może tylko przenieśli się w inny kąt, w jakieś zagłębienie? Może im było zbyt zimno i przysunęli się do okna. Ale okno zniknęło! Zatem... zatem chyba zabłądził w tych podziemiach — i zamiast do sypialni, wszedł do innej komory. Był sam, tylko strumień dotrzymywał mu towarzystwa, szmerząc po dawnemu, jedyny odgłos życia w tej pustce.

Profesorowi zrobiło się gorąco, pomimo chłodu, panującego w grocie. Uczuwał mocne strudzenie i nogi już odmawiały mu posłuszeństwa, a spoczynek, do którego wzdychał, oddalił się znowu od niego. Komora była obszerna, wysoka; po obu stronach miała jakieś ganki i zagłębienia. Usiłował się zorientować, jak się stało, że pobłądził i w którym mianowicie miejscu wszedł na mylną drogę? Aż do załamania korytarza pod kątem prostym, powrót był prawidłowy... Ach! Przypomina sobie teraz, że nie widział nigdzie okna, czyli otworu, zasłoniętego skrzelą głazu. Zatem nie dochodząc do niego, zrobił wycieczkę w bok i tam powinien wrócić, bo zresztą, stamtąd naprawdę jest już tylko kilkanaście kroków do sypialni. A może wtedy zmylił drogę, gdy się potknął i znalazł wstążkę? Gdyby zamiast schylać się i oglądać, zdeptał ją był nogą, teraz już zabierałby się do wygodnego spoczynku. Nie pierwszy to raz kobieta dokuczyła mu do żywego. Ale ciekawa rzecz, w jakim też położeniu do doliny znajduje się ta komora? Strumień siłą spadku dąży do strumienia, płynącego środkiem doliny, a po kierunku płomienia i po ruchu powietrza wnosił, że w górze są kominy, które można wy dostać się na świat, gdyby było po czym — choć jeżeli one wiodły na inną stronę góry, możnaby zejść do innej doliny, zamiast do Kościeliskiej i byłby kłopot z odszukaniem towarzyszy.

Usiadł na kamieniu i wyjąwszy notatnik, usiłował nakreślić plan groty, tak jak go sobie wyobrażał, a rysując,

zastanawiał się, dlaczego nie trafił nigdzie na wapień półkryształiczny, ani na pokłady piaskowca.

Odpuściwszy, schował notatnik i zabrał się do odwrotu, ale zaledwie postąpił kilka kroków, nierówność zniżającego się nagle gruntu, czego poprzednio nie zauważył, spowodowała poślizgnięcie; upadł, upuszczając stoczek, który zetknąwszy się z mokrym gruntem, zgasł. Ogarnęła go zupełna ciemność. Podniósł się i zaczął poomacku szukać stoczka, a znalazłszy nie bez trudności między odłamami kamieni, sięgnął do kieszeni kamizelki po zapalniczki, ale zapalniczki nie było. Obszukał wszystkie kieszenie nadaremnie i przypomniał sobie dopiero, że ich nie wziął z sobą, a stoczek zapalił woskowymi zapalniczkami Warburtona i pudełko napowrót przy nim położył.

Pot wystąpił mu na czoło: będzie musiał wracać po omacku, z wyciągniętymi naprzód rękami, i kto wie, czy nie natrafi na jaką dziurę. Żeby choć ciupagę miał z sobą! Ale cóż, wiecznie roztargniony profesor Strand zgubił ją w podziemiach; nawet nie mógł sobie przypomnieć gdzie — najpewniej tam, gdzie był zmuszony czołgać się na czworakach.

— Ha, cóż robić! — szepnął zrezygnowany. — Może ją jeszcze znajdę.

Wyciągniętą ręką poszukał ściany, i trzymając się jej, stąpił ostrożnie, ale musiał wkrótce schylić głowę. Zabłądził znowu: zamiast szerokiego korytarza, którym wszedł do tej odnogi, wstąpił w wąską jakąś, ciasną szparę. Powrócił więc do komory i namacałszy inny otwór, znowu się weń zapuścił. Ale i tu spostrzegł wkrótce, że to nie jest korytarz, którego szukał: przejście było wąskie i ciasne, a niskość sklepienia wymagała trzymania się ciągle w pochylonej postawie. Profesor zawrócił po raz trzeci, a różne niepokojące myśli zaczęły mu się snuć po głowie — między innymi, co będzie, jeżeli nie wydostanie się z tego labiryntu, ale natychmiast uspokoiła go myśl, że towarzysze

go odnajdą. Pocieszał się jednak nadzieją, że sam do nich trafi. Nagle spostrzegł, że nie słyszy już głosu strumienia, że przeto musiał oddalić się od komory, z której rozchodziły się trzy boczne korytarze i mniemając, że do niej idzie, wszedł w jakąś inną odnogę, z której już sam nie wiedział, w jaką zwrócić się stronę, wtył czy naprzód. Oddalił się widocznie od strumienia i szedł w kierunku grzbietu gór.

Uczuł takie zniechęcenie i wyczerpanie, że aż musiał oprzeć się o ścianę, bo w głowie mu się kręciło. Gdyby choć strumień z nim pozostał, strumień, którego odgłos rzeźwiący, miły, był objawem jakiegoś ruchu, jakiegoś życia, byłoby mu raźniej i weselej. Co robić! Trzeba powziąć jakieś postanowienie: zatem powróci do swej zasady trzymania się drogi prostej i będzie szedł przed siebie. Może odnoga szczęśliwszym trafem wywiedzie go stąd — a jeżeli nie, zawróci się i trzymając lewej strony ściany, obejdzie wszystkie próżne odnogi — a nie pomijając żadnej, musi nareszcie odnaleźć komorę i korytarz, wychodzący z głównego pnia.

— Czy nie lepiej byłoby zawołać o pomoc? — pomyślał. — Grota ma swoją akustyczność; głos dojdzie do śpiących towarzyszy i zaraz przyjdą tu ze światłem.

Już chciał wołać, ale wstyd go powstrzymał. Obawiał się żartów doktora i postanowił tylko w ostatecznym razie uciec się do tego środka.

I rozpoczęła się wędrówka w ciemności, poomacku, na nogach i na kolanach, z zawracaniem i kołowaniem z góry na dół i z dołu pod górę; wędrówka bez końca, w której odnalazłszy komorę i upuszczony tam notatnik i ołówek, zgubił je na nowo, a znalazł natomiast ciupagę. Jak długo to trwało, nie wiedział, ale wydało mu się, że tym sposobem uszedł kilka kilometrów drogi. O, gdyby miał zapałkę! Nareszcie osłabiony, wyczerpany, zaczął wołać o pomoc, ale echo, wracające doń kilkakrotnie, nie sprowadziło mu

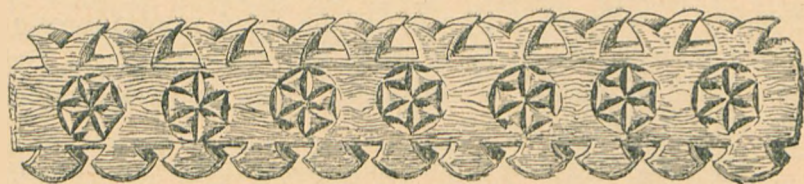
pomocy — a to, co z jego brzmienia mógł wnosić o rozległości pieczar, nie miało w sobie nic pocieszającego. Był sam jeden w pustce, w ciemności, tylko zegarek szeptał mu ciągle: tik-tak, tik-tak.

Nagle straszny huk wstrząsnął podziemia. Profesor pomyślał sobie, że pewnie jakiś wielki odłam skały spadł w pobliżu i zatarasował wyjście. Może żywcem został pogrzebany i towarzysze nie odnajdą go, a on sam nie zdobędzie już Branchiopoda, i nie ukończy dzieła, nad którym pracuje lat kilka. Cały jego trud, wszystkie materiały, owoce licznych badań i poszukiwań, stracone zostaną dla nauki! To go więcej przeraziło, niż widmo śmierci. I pomyśleć, że to wszystko przez głupią wstążkę! Co to za czcze, bezmyślne istoty te kobiety! Po co to obwiesza się gałganami?

Uczony profesor nie domyślał się nawet, że taki gałgan w roztargnieniu włożył do kieszeni.

Poczucie niebezpieczeństwa wzmogło jego siły: uczuł na twarzy świeży powiew wiatru i śmiało zapuścił się w otwór, który obie jego wyciągnięte ręce namacały i skąd wiał zbawczy prąd. Czuł takie pragnienie, że język niemal przysychał mu do podniebienia. Przybliżył twarz do ściany i chwytął spieczonemi wargami krople wilgoci, spływające po skale. Powiew był coraz silniejszy, a na końcu korytarza pobłyskiwało coś, jak światełko. Rzucił się ku temu zbawczemu światłu i uderzył głową o sklepienie, znowu tutaj zniżające się. Czołgał się więc ku niemu na czworakach i domyślił się, że to jest promień księżyca, ślizgający się po ścianie. Tu więc gdzieś blisko musi być otwór, którym można wy dostać się na świat...

Nagle powstrzymał oddech: usłyszał ruch jakiś w pobliżu i szelest wielce podejrzany. Przysunął się do ściany, nie śmiejąc się poruszyć, a pot kroplami spływał mu po twarzy i serce biło jak młotem. Poczul dotknięcie czegoś miękkiego, i ciepły oddech owiewający jego twarz. Straszna myśl przebiegła mu przez głowę i stracił przytomność.



## X.

### SREBRNY SZLAK.

*Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;  
Nawet błękitny niebios przezroczyście  
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,  
Stały się więcej ciemne, przepaściste —  
I tylko ową błękitną ciemnotę  
Gdzie niegdzie gwiazdy przetykały złote.*

*Asnyk: Noc pod Wysoką.*

Skończywszy paclerz, Henryk położył się, ale także nie mógł zasnąć. Zawiele wrażeń w tym dniu doznał, więc nie zdołały się jeszcze uporządkować w jego umyśle. Urok Kościeliskiej doliny, kopalnie złota i krzyż nad potokiem, Anglicy, Sabała, legenda o „Śpiących rycerzach“, wreszcie opowiadanie sir Edwarda, które go bardzo zaciekało. Myśli tłumnie cisnęły mu się do głowy, ale były bezładnie splątane i dopiero powoli zaczęły się wyróżniać pojedyncze nici, z których dalsze snuło się przędziwo. Przewracał się na swem posłaniu i dziwił, że nie może zasnąć, choć mu jest wygodnie i ciepło nawet. Może za wiele wypił wina? Było ono dziwnie mocne, choć łagodne, a on do wina nie był przyzwyczajony; w Miratyczach używano go tylko na lekarstwo — więc zawróciło mu w głowie. Myślał ciągle o Warburtonie i o bohaterze jego opowiadania.

— Co za dziwny człowiek — rzekł do siebie — żeby po świecie szukać tego, co jedynie na skalistej wypie znaleźć może. Że też nie wpadł odrazu na tę myśl!

I przypomniał sobie szczególne zachowanie się baroneta, który na jego uwagę wcale odpowiedzieć nie raczył.

— Lekceważy mnie: za mały jestem, aby warto ze mną mówić — myślał z goryczą, czując piekący ból zranionej dumy.

Okno groty dolną częścią dotykało poziomu; ktoś dla umocnienia, czy innej jakiej przyczyny, wcisnął tam kawał obłupanego z kory smereka — i tym sposobem utworzyło się coś nakształt niskiego progu lub parapetu. Przy oknie leżało kilka dużych kamieni; Henryk, nie mogąc spać, usiadł na jednym z nich i wyglądał przez okno.

Tylko poeci w marzeniach widują tak czarowne obrazy, jak ten, na który chłopiec patrzył w tej chwili. Z wysokości tej turnie przedstawiały się inaczej niż z dołu: były jeszcze więcej poszarpane, jeszcze podobniejsze do kamiennych dziwolągów i potworów, od których kładły się w dolinę olbrzymie cienie. Cienkie nitki wody, sączące się po skałach, błyszczały niby srebrne przedziwo tajemniczej a potężnej dłoni; potok płynący w dole zamienił się w srebrny szlak, a szlak ten ciągle drgał, mienił się i połyskiwał. Nad nim unosiły się mgły, to przysłaniając go jakby lekką gazą, to rozpraszając się zupełnie.

Henryk czuł w głowie wielką ociężałość, ból nawet i szumiało mu w uszach; chwilami zdawało mu się, że to jest szum potoku, ale z nim razem mieszały się jeszcze jakieś inne odgłosy. Wyteżył słuch i odróżnił wyraźnie dźwięk dzwonów, z początku cichy, oddalony, niby dźwięk sygnaturki, potem coraz głośniejszy, coraz potężniejszy, jakby się razem rozkołysały serca stu co najmniej dzwonów. Przypomniał sobie, że tam na prawo jest turnia Dzwonnica, i przyszło mu do głowy, że odgłos stamtąd pochodzi — ale zmiarkował się natychmiast, że to tylko taka nazwa, i żadnego dzwonienia być nie może; chyba zasnął naprawdę i śni mu się tak. Przyszedłszy zaś do tego przekonania, nie usiłował już walczyć rozumem przeciwko temu, co słyszał i widział.

A widział dziwne rzeczy: od strony Pisanej czołgały się nisko mgły nad potokiem, a potem wstawały i rosły coraz wyżej, wyżej i wyżej, przybierały kształty wyraźne ludzkich postaci na koniach, ze skrzydłami u ramion, w hełmach na głowach, a postaci te były tak olbrzymie, że pióropusze hełmów sięgały wierzchołków turni. Zwolna i uroczyście posuwały się srebrnym szlakiem w stronę skalistego wąwozu, noszącego nazwę starożytnego miasta, ale rzecz dziwna, wszyscy mieli przymknięte powieki.

— Śpiący rycerze! — szepnął chłopiec i ogarnął go strach. Chciał zawołać na Jakóba i Witolda, ale mimo kilkakrotnych wysiłków, głosu wydobyć nie mógł. A postaci skrzydlate, przejrzyste jak duchy, płynęły coraz tłumniej po srebrnym szlaku, a pochód ten zdawał się nie mieć końca, bo w miejsce tych, co zniknęli w wąwozie, nowe wstawały postaci z mgieł, czołgających się po ziemi. Wreszcie ostatni rycerz rozpląnął się w powietrzu, a z nim razem srebrny szlak zniknął, jakby wprzód leżał tam po to tylko, aby służyć za most dla rycerzy.

Henryk siedział oszołomiony, nie mogąc oczu oderwać od miejsca, któredy przed chwilą przesunął się pochód olbrzymów. Pulsy mocno biły mu w skroniach, a jemu się zdawało, że słyszy tętent kopyt gdzieś w górze, i powiedział sobie, że rycerze wjeżdżają na zamek, bo ta oto turnia nad wąwozem, Zamkiem się nazywa. Potem coś mu się majaczyło o pannie młodej przecudnej urody, ze złotą na głowie przepaską i o weselu, a potem jeszcze zabrzmiał mu w uszach słaby, jakby oddalony dźwięk organów, który wzrastał się stopniowo, aż rozlał się w powietrzu potężnym hymnem. Turnia Organy znajduje się też nad Zamkiem, a za nią jest turnia Stoły. Tam rycerze zasiądą do uczy. Chłopiec widział już oczyma wyobraźni długie ich brody mchem porośłe i surowe oblicza, patrzące głębią minionych wieków. Do uczy usługiwały im boginki, w lekkich powiewnych szatach; na obrusie z mgły gęstej leżała



przed każdym biesiadnikiem róża, ale wszystkie miały kolce...

Henryk przetarł oczy, chcąc się przekonać, czy śni, czy marzy na jawie. Naokoło była cisza i tylko potok grał po dawnemu, ale oto zaszumiało, jakby wiatr potrząsnął wierzchołkami świerków, lub z jakiejś potężnej piersi żalosne wydobyło się westchnienie. Chłopca przebiegł dreszcz grozy: szary obłoczek podniósł się nad strumieniem i kołysząc się to tu, to tam, wyglądał jak człowiek zabłąkany, szukający drogi rozpaczliwie. Henrykowi, niewiadomo czemu, przyszedł na myśl bohater opowiadania sir Edwarda: chciał wyciągnąć rękę w stronę wąwozu, ale nie mógł się poruszyć, taka ogarnęła go niemoc — a gdy obłoczek uniósł się trochę wyżej, wydał mu się z ramion i postaci podobnym do Warburtona.

Nagle jakiś drobny kamyk potoczył się, jakby go kto potracił. Henryk wyteżył słuch i wzrok i zdało mu się, że widzi jakiś cień czarny, czołgający się z dołu pod górę; powiedział sobie jednak, że to pewnie takie samo złudzenie jak tamto, a powieki ciążyły mu jak ołów i już, już miał zasnąć snem twardym, ale potoczył się drugi kamień i to wytrzeźwiło go odrazu. Ów cień posuwał się coraz wyżej w kierunku groty, a z pod stóp jego toczyły się drobne kamienie z usypiska. Henryk wstał; instynkt mu szeptał, że powinien zachować się jak najciszej. Cień ów podobny do człowieka, skradającego się na czworakach, zatrzymał się i podniósł głowę, jakby coś czuł lub czegoś nasłuchiwał. A stał właśnie w promieniu księżyca, którego tarcza, przesuając się poza wyszczerbionemi turniami, rzucała podłużne smugi. Chłopiec zobaczył rudą szerść, wypukłą głowę i dwoje błyszczących oczu. Poznał go: był to niedźwiedź!

Stał i węszył. Chłopcu jak błyskawica przebiegło przez głowę pytanie, czy przebudzić śpiących, czy dać pokój. Spojrzał na kamień, leżący przy oknie i dał pokój.

— Dowiodę, że jestem mężczyzną — rzekł do siebie, czując odwagę wstępującą weń na myśl, że bezpieczeństwo wszystkich w tej chwili zależy od jego przytomności umysłu, a także bezpieczeństwo tego, który go nazwał dzieckiem. A może też niedźwiedź tu nie wejdzie! Po co przelewać krew bez potrzeby? Sabała powiedział przecie: „On je grzeczny, bo je tchórz“.

Niedźwiedź stał, jakby się wahał, wreszcie posunął się ku oknu.

Ale Henryk nie czekał tego; położył się na ziemi, obie ręce wsparł na kamieniu, a stopami zarył się w ziemię i pchał. Kamień ani drgnął. Pot kroplisty wystąpił na czoło chłopca; wstrzymał oddech i wyprężył się; kamień się poruszył i zakołysał na krawędzi okna. Jeszcze jeden wysiłek — i zniknął w otworze. Straszny ryk rozległ się w uśpionej dolinie, a z nim razem huk staczającego się w przepaść i obijającego o występy skalne kamienia.

Śpiący zerwali się na równe nogi, a baronet najpierwszy zdołał wydobyć zapałkę i oświeciwszy wnętrze groty, zobaczył przy oknie Henryka bladego jak ściana, który wyszeptał:

— Niedźwiedź!

Teraz Anglik spostrzegł brak wielkiego kamienia przy oknie i domyślił się wszystkiego. Nikt tego zrobić nie mógł, tylko ten chłopiec, którego uważał za dziecko, bo wszyscy inni spali. Ale jakim cudem dziecko zdołało dźwignąć taki ciężar? Sięgnął po stoczek, ale stoczka nie było, zapalił więc drugą zapałkę. Tymczasem górale zbiegali już nadół z pochodniami. Przy ich świetle widać było zgóry zwierzę, rozciągnięte na piargu, poruszające łapami w śmiertelnych konwulsjach i Sabałę, pochylonego z nożem w ręku.

Malarz, doktor i Walter, narzuciwszy prędko wierzchnie ubranie, zeszli także zaciekawieni i mocno poruszeni. Za nimi, owinięty w derkę, stąpał ostrożnie baronet, trzymając się skały i nasłuchując kroków postępującego za nim

chłopca, gotowy pospieszyć mu z pomocą, na wypadek, gdyby obsunęła mu się noga, bo ściana rzucała cień na ścieżkę, i nie było jej wcale widać.

Obstąpiono niedźwiedzia dokoła. Górale najwięcej uradowani tą zdobyczą, odwracali go, badając, czy skóra jest w całości, ale w kilku miejscach była poszarpana. Każdy chciał wiedzieć, jak się to stało, z najdrobniejszymi szczegółami, i nastąpiło ogólne zdumienie, gdy się wyjaśniło, kto był pogromcą niedźwiedzia. Zarzucono pytaniami Henryka, który dla zaspokojenia ogólnej ciekawości, musiał kilkakrotnie powtarzać to samo: jak szmer posłyszał, jak kamyk jeden i drugi się potoczył pod nogami niedźwiedzia; jak wchodził na górę, z której strony i gdzie przystanął. Wreszcie wyrażano domysły, coby też było, gdyby nie poczuł wężchem, że ludzie są wpobliżu — a domysły te wiodły do innych, które innym jeszcze otwierały drogę, bo chciano kwestję do dna wyczerpać. Jeden z juhászów, schyliwszy się, spróbował ciężaru kamienia i dziwił się, że takie małe chłopię dźwignęło taki ciężar, na co Henryk odparł z uśmiechem, że strach wiele może. Warburton obserwujący go zauważył, że chłopiec nie wygląda na szczęśliwego pogromcę. Nie było na jego twarzy ani śladu triumfu, a w odpowiedziach ani cienia przechwałki. Wreszcie zagadnął:

— Zabiłeś niedźwiedzia i nie jesteś z tego dumny?

— Stało się to tylko przypadkiem — odrzekł z prostotą. Baronet słuchał zdziwiony.

— Przypadkiem, powiadasz? Nie rozumiem. Ale dlaczego nie obudziłeś którego z nas, spostrzegłszy zbliżającego się nieprzyjaciela?

— Z początku nie wiedziałem co to za cień się skrada, zwierzę czy człowiek; a później, gdym go już rozpoznał, miałem nadzieję, że się zwróci w innym kierunku, więc nie chciałem robić hałasu. Była chwila, że niedźwiedź się zawahał; potem, gdy postawił łapę w kierunku okna, miałem

tylko tyle czasu, żeby spuścić kamień. Był bardzo ciężki i myślałem już, że mu nie dam rady.

— Dałeś dowód niemałej przytomności umysłu...

— Ale teraz myślę, że może lepiej byłoby, gdybym panów obudził. Niedźwiedź, widząc nas w takiej liczbie, nie odważyłby się na nas rzucić i odszedłby sobie w swoją stronę. Sabała utrzymuje, że to tchórz, a musi znać się na tem. Uniknęłoby się przez to nieużytecznego zabójstwa.

— Ach, więc to ci jest przykrem! — rzekł Warburton, patrząc ze wzrastającym zajęciem na chłopca. — Bądź spokojny. Gdybyś nie zabił niedźwiedzia, poszedłby do szalaśców i mordował jagnięta; a gdybyś nas pobudził, niedźwiedź nie uszedłby żywcem, bo mamy rewolwery i noże, których nie wahałoby się użyć we własnej obronie.

— To, co pan mówi, sir, uspokaja mnie; rozumiem bowiem zabijanie dla potrzeby rzeczywistej lub we własnej obronie, ale bezużyteczny rozlew krwi wstręt we mnie budzi, a to sobie właśnie wyrzucałem.

— Mój chłopcze — powiedział baronet, żywą pociągnięty sympatją — nazwałem cię dzieckiem, a jesteś odważny jak mężczyzna, i mówisz jak człowiek dojrzały. Dopiero cię poznałem, a już cię muszę szanować. Podaj mi swoją rękę. Cóż to, wahasz się?

— Zanim to uczynię, muszę panu coś powiedzieć — rzekł Henryk poważnie — bo może pan nie zechce podać mi swojej. Mówi pan, że jestem odważny jak mężczyzna, a źródłem tej mojej odwagi nie co innego było, tylko słabość!

— Nie rozumiem.

— A raczej zraniona miłość własna, co na jedno wychodzi. Byłem dotknięty, gdy pan nazwał mnie dzieckiem i prosiłem Boga, żeby mi pozwolił spełnić jaki czyn męski. Dlatego to nie obudziłem nikogo... A mogłem być wszystkich narazić, gdybym nie potrafił zepchnąć kamienia. Był tak ciężki, że zaledwie zdołałem to uczynić z największym

wysiłkiem. Choćbym wtedy krzycheć nawet zaczął, nicby już nie pomogło, bo niedźwiedź tymczasem znalazłby się w jaskini. Nie chcę, żeby pan myślał o mnie lepiej, niż na to zasługuję.

Zamilkł na chwilę i po krótkim wahaniu dokończył:

— Przyznaję też, że gdy ujrzałem niedźwiedzia, miałem chwilę okropnej trwogi i byłbym wolał, aby ominęła mnie sposobność wykierowania się na bohatera.

— Daj mi swoją rękę — rzekł baronet wzruszony — jesteś skromny i prawy. Od tej chwili masz we mnie przyjaciela, i gdybym mógł coś dla ciebie uczynić...

— Dziękuję panu — odrzekł chłopiec — nic mi nie trzeba. Pańska przyjaźń cennym jest darem, na który doprawdy nie zasłużyłem dotąd, ale... chciałbym zasłużyć...

W tej chwili był naprawdę dumny. Jeden z najpierwszych panów Anglii nazwał się jego przyjacielem, a przytem Henryk czuł dziwny, niewytłumaczony pociąg do tego człowieka.

— Dobrze — odrzekł Anglik z uśmiechem — mam nadzieję, że sposobność łatwo się znajdzie, bo tu w górach przecież często widywać się będziemy.

Rozmowa ta odbyła się po francusku, bo Henryk chociaż rozumiał po niemiecku, trudność miał w wyrażaniu się tym językiem, a angielskiego nie znał wcale. Około zabitego tymczasem większa skupiła się gromadka. Juhasy, usłyszawszy ryk niedźwiedzia, przylecieli z pobliskich szłaśów, a za jednym przybiegł pies kudłaty, i rzuciwszy się na martwego już olbrzyma, węszył, szczekał zajadle, i targał go za uszy — a wszystko to przy świetle pochodni przedstawiało fantastyczny obraz.

— Ale gdzie to jest profesor Strand? — zapytał Warburton, szukając go oczyma.

— Pewnie pozostał w grocie i wygląda przez okno — odrzekł Walter.

— Być może, choć dziwnem mi się to zdaje, że nie jest ciekawy obejrzeć niedźwiedzia. Taki zapalony naturalista!

— Pewnie odkłada do jutra. Gdyby to był Branchiopod, którego poszukuje, niezawodnie profesor wyprzedziłby tu nas wszystkich. Niedźwiedź nie wzbudza w nim takiego zapału.

— Jakaś kropla spadła mi na rękę — rzekł baronet. — Czyżby deszcz miał padać? A taki był pogodny wieczór!

— Na mnie już kilka kropli spadło i wiatr się zrywa — odezwał się doktor. — W górach nigdy nie można być pewnym pogody, a Tatry są krainą niespodzianek. Słyszałem też, że nie zdarzyło się nigdy, aby Babia góra na próżno kładła czepiec.

I opowiedział Anglikowi, w jaki sposób stała się ona barometrem dla Podhala.

Teraz już zaczęły padać gęste, grube krople, a zdawały się pierwsze pomruki nadchodzącej burzy. Księżyc utonął gdzieś w chmurach i zrobiło się zupełnie ciemno. Wiatr się zerwał i szedł górą, potrząsając rozpostartymi na stokach lasami, które poczęły jęczeć i szumieć. Górale żwawo zaciągnęli niedźwiedzia do dziury, aby mu skóra nie zmokła i wszyscy przy gasnących od deszczu pochodniach powrócili do groty.

Profesora nie było jednakże w grocie, choć przeszukano ją ze światłem i wołano na wszystkie strony. Baronet zauważył też brak stoczka i udzielił swego spostrzeżenia towarzyszom. Nie ulegało wątpliwości, że Strand zapuścił się w podziemia, party ciekawością geologa.

— Ale że go dotąd niema, to rzecz dziwna! — powiedział doktor. — Czas już było obejrzeć, co jest do obejrzenia i powrócić.

— Pewnie pobłądził — wtrącił Sabała — dy to je grota Mylna, i kto tu nieznający, może cały dzień wkółko chodzić i nie wyjdzie, bo drogi się w niej krzyżują i między

ulicami jest takie podobieństwo, że zdaje ci się, że z pieczar wychodzisz, a ty ino kręcisz się wkółko — haj.

Doktór powtórzył to baronetowi, a ten rzekł z żywością:  
— A więc chodźmy natychmiast na odszukanie go.

I ruszyli wszyscy: Sabała ze świecą szedł naprzód, za nim baronet, dwaj górale i juhas ze swoim kudłaczem. Dalej, z drugą świecą w ręku szedł Jakób i Henryk, Witold i Jerry, wiedziony także ciekawością. Gdy doszli do miejsca, gdzie korytarz załamuje się pod kątem prostym, Sabała nachylił się i pilnie czegoś upatrywał na ziemi, a dostrzegłszy ślady nakapanego wosku, oświadczył, że profesor szedł korytarzem na prawo. Udano się więc we wskazanym kierunku, przebywając tę samą utrudzającą i mozolną drogę, którą przebył profesor i czołgając się często na czworakach.

Jakób, przy tej mozolnej wędrówce, kilkakrotnie zwracał uwagę na kształt nacieków, wreszcie rzekł:

— Tatry posiadają obfitość pieczar, ale najwspanialsze są pieczary Bialskie po węgierskiej stronie, w Kobylim wirchu, który teraz Górą Koboldów przewano. Krople wody, spadające tam ze stropu, potworzyły kolumny, wieże gotyckie, drzewa, krzewy, draperje, koronki, postacie ludzi i zwierząt, zastygłe wodospady i obłoki, słowem cuda prawdziwe!

— Jeżeli tu dłużej pozostanę, to gotów jestem tam pojechać — odparł Warburton.

— Poznawanie Tatr jest dopiero w zaczątku: wiele jeszcze niespodzianek nas czeka — dodał Jakób.

Najraźniej i najręczniejszemu ruszał się Sabała, pomimo swoich ośmiu krzyżyków; prześlizgiwał się on w najwęższych miejscach z chyżością kota, a gdy teren zmieniał się niespodzianie, wyprostowywał się nagle z młodzieńczą żywością. Chwilami zatrzymywano się, wołano profesora po imieniu i chwilę zachowywano najgłębsze milczenie, nasłuchując odpowiedzi — ale odpowiedzi nie było. W niektórych miejscach Sabała uderzał ciupagą w ścianę, i z od-

głosu uderzeń poznawano, że za ścianą jest próżnia, ale echo tylko odpowiadało na te uderzenia. W dużej komnacie, którą Strand uznał za przydatną na salę balową, Sabala pilnie szukał śladów stoczka koło otworów wyjściowych, ale ich nie znalazł, baronet za to dostrzegł przedmiot błyszczący; były to okulary profesora, leżały jednak w takim miejscu, że nic nie mówiły o kierunku, w jakim dalej się udał. Juhas odezwał się, że to jest miejsce, z którego najtrudniej się wydostać, bo jeden z korytarzy po długim kołowaniu wiedzie tutaj napowrót, a w drugim też są odnogi, mające z nim komunikację. A ponieważ znał te pieczary, więc chciał wziąć świecę z rąk Sabaly i wieść dalej pochód — ale stary nie ustąpił, szli więc korytarzem, przecinającym inne drogi i coraz przystawali, nasłuchując. Gdy doszli do pieczary podobnej do tej, jaka służyła turystom za sypialnię, Sabala, upatrujący ciągle na ziemi śladów wosku, znalazł je dość wyraźne i oświadczył, że tutaj profesorowi stoczek wypadł z ręki i prawdopodobnie zgasł.

— Biedny profesor! — zawołał Henryk. — Został pozabawiony światła, bo zapałki jego widziałem leżące na posłaniu. Gdzież on jest teraz? Może wpadł w jaką przepaść?

— I, nie — odrzekł Sabala — on tu już jest blisko.

I zwrócił się w stronę, skąd wiał świeży prąd powietrza. Czas jakiś wszyscy szli w milczeniu: nikt się nie odzywał, bo temu i owemu niewesołe myśli przychodziły do głowy. Pies, biegnący ciągle przed nogami idących, wysunął się teraz naprzód i przepadł gdzieś. Wreszcie usłyszano jego oddalone szczekanie. Przyśpieszono kroku i po jakimś czasie, ujrano pod ścianą leżącego bez przytomności profesora, a nad nim stał pies, obwąchując go i machając ogonem. W zaciśniętej pięści Strand trzymał zagasły stoczek, a obok leżała jego laska.

Doktór uniósł głowę zemdłego i wlał mu w usta trochę wina z flaszki, którą zawsze nosił przy sobie, następnie zaczął mu lekko piersi rozcierać, poczem wkrótce Strand



otworzył oczy. Błędnym wzrokiem powiódł po obecnych i zatrzymał go na kudłaczcu, przyczem uśmiech rozjaśnił jego rysy.

— Pójdź tu, piesku — rzekł, dotykając jego łba — i wybacz moją omyłkę. Ja ciebie w ciemności wziąłem za niedźwiedzia!

I opowiedział szczegółowo swoje przygody, nie wspomniawszy o błękitnej wstążce, bo lękał się żartów i konceptów przyjaciół.

Pociągawszy jeszcze kilka łyków z butelki doktora, Strand uczuł się tak wzmocnionym, że wstał i oświadczył, iż może iść. A gdy mu powiedziano, jaką nazwę specjalną noszą te pieczary, przyznał, że trafniejszej niepodobna wynaleźć. Jednej tylko rzeczy nie mógł sobie wytłumaczyć: owego huk, którego echo słyszał w podziemiach — i zwierzył się z tem przed towarzyszami, gdy już wróciwszy do sypialni, wyciągnął się na pościeli, do którego tak długo wdychał nadaremnie. Wtedy dopiero opowiedziano mu o niedźwiedziu i o zepchnięciu zgóry kamienia.

Profesor usiadł na pościeli, wyjął z kieszeni chustkę, sięgnął do oczu, gdzie powinny być okulary, ale spostrzegł, że ich niema na zwykłym miejscu.

— Moje okulary... — szepnął zdziwiony.

— Są — rzekł baronet, podając mu — zgubiłeś je pan.

Strand machinalnie wyciągnął rękę, nie pytając, jak i gdzie zostały znalezione; przetarłszy szkła starannie, umieścił je na nosie i jął przypatrywać się Henrykowi z taką uwagą, jakby napotkał jakiś ciekawy zoologiczny okaz.

— Czy on we mnie upatruje podobieństwo do swego Branchiopoda, czy co — myślał chłopiec, rumieniąc się pod tym badawczym wzrokiem.

— Młodzieńcze — rzekł wreszcie profesor — widzę, że jesteś człowiekiem poważnym, dlatego też opowiem ci moje domysły, dlaczego *Branchinecta paludosa* Branchio-

pada z epoki lodowej przetrwał aż do naszych czasów w jeziorze tatrzańskim.

Wybuch ogólnej wesołości przerwał zapał niestrudzonego badacza, a baronet rzekł:

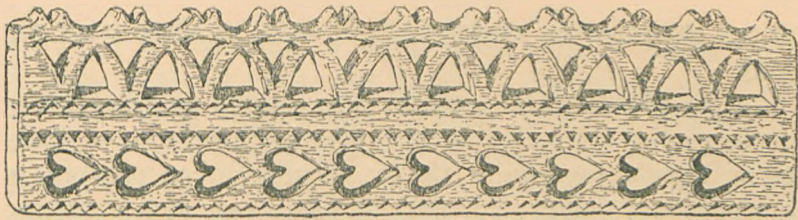
— Ależ kochany profesorze, odłóż to pan na jutro. Chłopiec jest zmęczony i my wszyscy także. Pan sam najwięcej potrzebujesz wypoczynku. Starajmy się zasnąć jak najprędzej, bo inaczej nie obudzimy się o wschodzie słońca.

Wszyscy uznali słuszność tej uwagi, ale przewodnik, troskliwy o zdrowie uczonego, podał mu szklankę gorącej herbaty, którą tenże wypił chciwie, i jak posłuszne dziecko, nie odzywając się już wcale, zawiąnął się w kołdrę i odwróciwszy się do ściany, usnął.

Pomruki burzy były coraz częstsze, aż zamieniły się w nieustające prawie ryki. Podmuch wiatru zagasił świecę, ale oślepiające błyskawice rozświecały co chwila wnętrze groty. Nad głowami podróżnych długo jeszcze rozlegały się echa piorunów. Wreszcie wszyscy posnęli.

Górale nie spali. W szczelinie skalnej osłoniętej od deszczu, rozpalili ognisko i popijając herbatę, długo jeszcze rozmawiali, a przedmiotem tej rozmowy były różne walki z niedźwiedziami! Sabała największy w tem brał udział. Wszyscy słuchali z oczyma utkwionemi w starca, a on prawił:

— Raz co nie było: Matus Karpiel miał syna; miało chłopczysko z piętnaście roków, sam zaś był tęgi hruby chłop i pośli na niedźwiedzie — haj. Toż to dopadli niedźwiedzice z dwioma małemi, ale małe były młode, i to zaś siednom na grzybiecie tej matki, ucepiom się pazdurami, dopiro niedźwiedzica jedzie ś nimi jak wóz do lasa!...



## XI.

### FANTAZJA TATRZAŃSKA.

*Sto źródełek z jam bulgocze,  
Jakby kłótnia srebrnych larw.  
Przez obłoczki pół przezrocze,  
Sto bajecznych świeci barw.*

*Deotyma: Piosnka w Karpatach.*

Burza trwała całą noc; nad ranem dopiero ucichła, a gdy słońce weszło, dolina Kościeliska ukazała się jeszcze piękniejsza niż wczoraj. Wszystkie odcienie zieleności wszystkimi jaśniały barwami, a krople wody, wiszące na drzewach, paprociach, chropowatościach skał, łamały się w słońcu, czyniąc ją iskrzącą miljonami diamentów, rubinów i szafirów. Na jej świeżo obmytych turniach opierały się trzy łuki tęczy — co jeden to bledszy. Katedra gotycka, do której ją wczoraj porównano, otrzymała wspaniałe zakończenie swych kolumn, pilastrów i kapiteli. Mieszkańcy grotty, ujrawszy z rana te łuki tęczowe i blaski zorzy, malującej turnie na różowo, stali zdumieni i długo nie mogli słowa przemówić, a profesor nawet wyraził się, że chyba niema na świecie równie pięknej, jak ta doliny. Baronet upajał się w milczeniu pięknnością tego obrazu. Artystyczna jego dusza doznawała prawdziwej rozkoszy.

Mgły jeszcze czołgały się miejscami i czepiały ścian jak ptaki płochliwe, ale powoli ustępowały pod ciepłym tchnieniem słońca. Gdzie dosięgły jego promienie, tam

jak za dotknięciem czarodziejskiej laski opadały wnet zasłony.

— Po kilkakroć od wczoraj Bóg zmienił nad nami sklepienie swej świątyni — odezwał się sir Warburton. — W południe kąpała się cała w złocie; zachód słońca przybrał ją w czerwień i fiolety; noc nakryła płaszczem gwiazdzistym; burza oświeciła ogniem błyskawic i zygzakami piorunów, a teraz widzimy ją w brzaskach jutrzeńki, w snopach iskier, zmieniających się w podłużne promienie, jak na obrazach, w których malarze usiłują przedstawić Boga zstępującego z obłoków!... Dzisiejszej pogody, zdaje się, że nam już nic nie zakłóci. Czy meteorologia tatrzańska jest zbadana? — zapytał, zwracając się do doktora.

— Towarzystwo Tatrzańskie urządziło dwadzieścia pięć stacyj w różnych miejscowościach gór — odrzekł Jakób — a Wierzbicki opracowuje zebrany przez siebie i innych materiały meteorologiczny i klimatologiczny.

Łuków tęczowych nie było już, gdy podróżni schodzili z góry do schroniska, gdzie zastawiono śniadanie. Profesor znacznie ich wyprzedził; podejrzewano go, że po nocnej przygodzie, która wyczerpała jego siły, jeść mu się chce.

Przed schroniskiem na trawie leżał rozciągnięty niedźwiedź. Zbiegli się juhasy ze Smytnej, z Ornaku i z Kiry i obstąpiwszy wspaniały okaz, oglądali go z właściwem sobie znawstwem, objawiającem się krótkimi a dosadnymi okrzykami. Przypatrywali się krępej, niezgrabnej postaci, pokrytej bujnemi kudłami burej maści, ciemniejsze miejscami mającej odcienie — grubej strzaskanej głowie, okrągławym uszom, sterczącym po bokach. Jeden otworzył ściągły pysk zwierzęcia, z którego błysnęły dwa duże boczne kły, i rachował zęby; inny przypatrywał się krótkim, szerokim łapom z nagiemi podszwami o pięciu tęgich palcach, ostremi opatrzonych pazurami. Z chciwością niemal przyglądano się tej zdobyczy, a z zarumienionych i ożywionych twarzy widać było, że jest to wypadek dla nich uro-

czysty i że rachują, iż będą mieli z niego ucztę. Jerry i Jack przypatrywali się napozór obojętnie, ale także z ciekawością, niedźwiedzi bowiem niema w Anglii i widywać je tam można tylko w menażeryjach. Z wyspiarską praktycznością obliczali jego przypuszczalną wagę i napędce zaraz zrobili zakład. Nie mogli jednak dowiedzieć się kto wygrał, bo wagi nie było.

Gdy baronet z towarzyszymi zbliżył się do schroniska, mając obok siebie chłopca, juhasy zaczęły machać kapelusami, wychwalając odwagę i spryt młodego bohatera. Henryk przyjmował te hołdy zarumieniony i zmieszany. Wczoraj nikt nie zwracał na niego uwagi, a dziś stał się prawie pierwszą w tem gronie osobą, i zdobył taki mir między góralami. Nie mógł się zaprzeć przed sobą, że mu to sprawiało przyjemność, i że niewiele brakowało, aby uwierzył w zasługę tego, co uważał tylko za przypadek.

— Zabiłeś największe i najpotężniejsze z drapieżnych zwierząt ogólnieuropejskich — rzekł do niego Walter — ładny okaz, niema co mówić! We Francji i Niemczech niedźwiedź jest już prawie wytępiony, a i tu zniknie wkrótce, jeżeli nie będą go oszczędzać.

— O ile wiem — rzekł doktor — to w r. 1879 w całych Tatrach było tylko 15 sztuk niedźwiedzi, tak je wytępilli myśliwi; ale teraz nie brak ich od Tatr aż do Czarnohory. Chowają się one głównie w borach Liptowskich, skąd urządzają wycieczki na Podhale i Spiż. Są jednak tacy, co widzieli niedźwiedzia w Reglach, jak szedł na dwóch tylnych nogach, podpierając się gałęzią smerekową. Spotkanie niezbyt przyjemne!

— Mimo to — odezwał się Witold — nie godzi się tych zwierząt tępić bez potrzeby. Zresztą, niedźwiedź nie jest tak znów bardzo niebezpiecznym napastnikiem. Człowieka unika; a jeżeli napada, nie czyni tego zniecka, ale otwarcie, ufny w swoją siłę.

— Więc gdybym go nie zabił — odezwał się Henryk —

niedźwiedź, wszedłszy do jaskini, może powąchałby każdego z nas i oddaliłby się w pokojowym usposobieniu?

Górale zaczęli się śmiać.

— Miej sumienie spokojne — rzekł Witold — zabijając go, uratowałeś jakie łagodne ciele, albo niewinną owcę. Zuch jesteś i koniec!

— Napiszę o tem dziadkowi — powiedział doktor — to mu sprawi przyjemność.

— Walterze — szepnął baronet do stojącego obok młodzieńca — czy pomyślałeś, jak też Dawy znalazłby się w podobnym wypadku? Pobudziłby wszystkich swoim krzykiem, a sam schowałby się w najciaśniejszy kąt jaskini. A potem, gdy inni uporaliby się z niedźwiedziem, położyłby się i wołał, że jest chory. Nieprawdaż?

Młodzieniec milczał; to, co sir Warburton mówił, było najzupełniejszą prawdą i dowodziło, że znał dobrze Dawida. Ale widząc niechęć opiekuna do chłopca, nie chciał jeszcze powiększać jej swemi słowy.

— Tak zwykle bywa z chłopcami, w których wychowaniu przeważa wpływ niewieści — odezwał się, stając niejako w jego obronie.

— I gdy matka jest kobietą nerwową i kapryśną, jak zwykle Francuzki — dokończył baronet.

— Mój wychowaniec najczęściej nie wie, czego się trzymać, kogo słuchać — mówił Walter dalej — bo matka chce nim ciągle kierować, a poglądy moje w sprawie wychowania nie zgadzają się z pojęciami milady. Wskutek tego nawet moje stanowisko w domu Waszej Miłości jest cokolwiek drażliwe i wolałbym...

— Nie kończ, proszę cię, Walterze; wiesz, jak cię cenię i jak pragnę, żebyś pozostał. Czy nie sądzisz, że dobre towarzystwo mogłoby wpłynąć na niego dodatnio?

— Mówisz sir o tym młodym Polaku?

— Tak. Dzielny chłopiec! Prawy, szlachetny charakter. Jeszcze dziecko, a już mężczyzna. Szczęśliwi rodzice!

— On niema rodziców — rzekł Walter.

— Skąd to wiesz?

— Mówił mi doktor, bo on zna tę rodzinę. Jest tam stary dziadek i babka, stara panna, która tu z dziećmi przyjechała. Ludzie bardzo niezamożni, prawie ubodzy i czynią nadludzkie wysiłki, aby się utrzymać przy lichej, obciążonej długami wioszczynie, a procenty pochłaniają większą część ich dochodów.

— Czemuż jej nie sprzedadzą?

— Zrobiłem tę samą uwagę, ale doktor objaśnił mi, że tam każdy myślący człowiek woli żyć o chlebie i wodzie, niż do sprzedaży dopuścić.

Baronet zadumał się.

— Więc to drugie dziecko chyba jest chore, skoro w tak ciężkich warunkach zdobyli się na podróż w Tatry?

— Bardzo wążła ośmioletnia dziewczynka, z usposobieniem do płucnej choroby.

Stół już był nakryty i herbata gotowa. Wszyscy chętnie się do niej zabrali. Górale rozsiedli się na trawie, jedząc chleb z bryndzą i czekając na opróżnienie szklanek; tylko profesora nie było — gdzieś zniknął. Warbunton próżno się za nim oglądał. Rozmawiano ciągle o niedźwiedziu; górale chcieli zaraz ściągnąć skórę, a mięso piec — i pytali się młodego pogromcy, do którego ubita sztuka prawnie należała, czy niema nic przeciwko temu — na co łatwo otrzymali zezwolenie. Warbunton zaś odezwał się:

— Ponieważ nasze zapasy żywności są już prawie wyczerpane, przeto zamawiam sobie udziec. Spodziewam się, że mój Jerry potrafi z niego zrobić pieczeń, chociaż nie widział nigdy niedźwiedzia. Jack musi zaraz wracać do Zakopanego.

Sabała odezwał się, że to „godnie smakuje“. Raz gdy zabił niedźwiedzia, urznął jedną szynkę, upiekł przy ogniu, a z sadła zrobił skwarki — ale zachciało mu się do tego klusek. Rozpalił więc kamień w ogniu do czerwoności

i włożył do dołka na skale, gdzie wprzód nalał wody. Nasuł tam mąki, omaścił skwarkami i były kluski. A raz znów wziął sadła na patyk i piekł na ogniu — i wnet naciurało mu w kapelusz. Ale potem nie miał go gdzie podziać, a kapelusza mu było na głowę trza i sadła było żal, więc je wypił. To go tak wymaściło w płucach, że pięć roków nijakiej krzepoty<sup>1)</sup> nie miał.

Słuchacze tylko spoglądali po sobie, a Warburton, któremu to przetłumaczono, uśmiechnął się. Prosił, aby spytano starego myśliwca, ile też sztuk niedźwiedzi ubił w życiu. Odpowiedział, że trzynaście, a drugie tyle postrzelił.

— Coby te niebościki stanyny cok ich wybił, toby hetki w Zakopanem i Kościelisku sicko pojadyły i ludziby się pote chyciły.

Wpadłszy na ulubiony temat, Sabała opowiadał dalej, że raz cały tydzień szukał niedźwiedzia, którego postrzelił; śladów jego upatrywał na mule wodnym, na mchu, a on tymczasem „na wirchy wszedł i tam zdek. Pote owczarze naleźli go potarganego, a kuny i liski rozniosły jego kości“.

Na łące nieopodal schroniska, gdzie widne były szałasypasterzy, rozpalono olbrzymie ognisko. Obciągniętego ze skóry i poćwiertowanego niedźwiedzia pieczono na węglach, a woń smereczyny mieszała się z zapachem tłuszczu, milszego dla powonienia górali niż najwonnejsze kwiaty. Widok ten przypominał owe zamierzchłe czasy, gdy ludzie żyli w lasach, a potrzeby swoje zaspakajali na sposób pierwotny. Służący baroneta, przyznając wyższość w przyprawianiu tej mianowicie zwierzyny góralom, stał zdaleka w białym fartuchu, z miną obojętną i założonemi wtył rękami, paląc cygaro. Juhasy za to żwawo uwijali się koło ognia, dorzucając gałęzi i rozszerzonemi nozdrzami wciągając woń niedźwiedziny, zwłaszcza sadła, uważanego w Tatrach za przysmak i lekarstwo na wszystkie choroby. Całe lato spędzając

---

<sup>1)</sup> Kaszlu.



z owcami lub krowami na halach, nie widzą chleba ani mięsa, i żyją tylko serem i żętycą; oblizywali się więc zawczasu na smaczny kąsek, należący im się po kilkomiiesięcznym przymusowym poście. Czarni, zasmoleni, obdarci, z dzikimi twarzami i błyszczącymi uciechą oczyma, wyglądali jak szatany. Jeden z nich ujął się pod boki, i puścił „drobnego“, śpiewając, a Sabała na gęślikach jął przygrywać:

„Owieczki beczwały, kiej się redykały<sup>1)</sup>,  
 Juhasiczek płakał, nóżki go bolały.  
 Bolom nóżki, bolom, bolom i podeszwy,  
 Bo one niejeden wierszyczek obeszły“.

Przykład ten podzielał zaraźliwie na innych; puszczali się także w taniec, śpiewając kolejno:

„Hej, cóże temu padnie  
 Co owieczki kradnie?  
 Hej, cóże by mu padło,  
 Hej, stryczek na gardło!“

Taniec ten zwany „drobnym“ powstał prawdopodobnie w ciasnym szałasie lub na krawędzi skały, gdzie szczupłość przestrzeni zmuszała do przebierania nogami w jednym miejscu. Przebieranie to z niesłychaną odbywające się zręcznością, jest tak szybkie, że wymyka się oczom patrzących; zapał stopniowo wzrasta, a włosy w nieładzie przedstawiają obraz jakiegoś dzikiego szału.

Góral tańczący wygląda jak baletnik, palcami nóg za ledwie dotykając ziemi. Rozwija on największą stosunkowo siłę rzutu w najmniejszej przestrzeni.

Baronet, patrząc na to, zrobił uwagę, że w tańcu tym przejawia się gwałtowność temperamentu; że bije z niego siła utajona, która, zwrócona w inną stronę, mogłaby wielkich rzeczy dokonać. Na to odparł Jakób, że ta siła właśnie szukała niegdyś ujścia w zbójnictwie, a dziś tylko w tańcu wybucha.

---

<sup>1)</sup> Szły do hal.

Kto taniec ten widzi po raz pierwszy, tego najprzód ogarnia podziw, potem niepokój, a wreszcie obawa, gdy twarz tancerza zbieleje jak płótno, a nogi nie przestają z trudnem do opisanja wirtuozowstwem wirować — bo zdaje się, że chwila jeszcze, a padnie martwy na ziemię!

Sabała przygrywał z zapalem, gęśliki jego wydały kilka ostrych, przenikliwych tonów, a z piersi starganej wydobył się śpiew:

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,  
Będą nam ścinali główeczki katowie“.

Na to inny odśpiewał mu:

„Jeszcze nie zbójował, dopiero ten roczyk,  
Już mnie chcą zawiesić na żelazny haczyk“.

Gęśliki zabrzmiały nutą tańca „zbójckiego“, a w tancerzy nowa wstąpiła ochota: ci nawet, co dotąd przypatrywali się tylko, teraz jakby tajemniczą pociągnięci siłą, puścili się w taniec, śpiewając chórem:

„Baca nasz, baca nasz,  
Tęgich chłopców na zbój masz;  
Jeszcze byś ich lepszych miał,  
Żebyś im sera dał“.

Ciupagi trzęsły się w powietrzu, potem upadły jednocześnie na ziemię, a dokoła nich rozpoczął się ów dziki, szalony, trudny do opisanja taniec. Jeden z tancerzy skacze wgórę wysoko, w locie uderzając się rękami po piętach; inny przypada całym ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze — inni potrząsają rękami nad głową jak opętani, a wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią.

Muzyka wolnieje, a z nią i ruchy tańczących. Chwyatają znów ciupagi, podnoszą wgórę, zaczepiają ostrzami i tańczą z niemi wkoło, zwolna, jakby dla wypoczynku. Ale oto Sabała podnosi nagle głowę, błyska oczyma, ścisza konwulsyjnie skrzypki i rznie jeszcze szaleńszym rytmem. Cała gromada tańczy z większym jeszcze ogniem, rzuca się i sza-

leje. Witkiewicz powiedział o tańczących zbójckiego górslach, że zdają się być zębami jednego koła, lecącego w najszybszym obrocie: latają w powietrzu ręce i nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza w jakiś chaos, a najtęższe chłopy bledną jak trupy ze wzruszenia.

Baronet przypatrywał się z zajęciem.

— Taniec ten — powiedział — przypomina mi „fantazję“ arabską, którą widziałem w Tunisie, i która miłą pozostała wspomnieniem. Arab, gdy chce uczcić gościa, przyjmuje go zawsze fantazją, jakby w dodatku do chleba i soli. Gościłem w Algierze u pewnego szejka, posiadacza przepysznego rumaka i widziałem fantazję nad brzegiem jeziora El-Bahira, na tle lasu kaktusów, aloesów, oliwnych drzew, cyprysów i różnorodnego kwiecia.

Dzień był piękny, mnóstwo ludzi wyległo na wybrzeże. Ukazali się dwaj jeźdźcy i rozpoczęła się fantazja przy dźwięku tamburina i fletu, rozpoczynających jakąś dziwną arabską melodię, tajemniczą, niby monotonna a porywająca. Synowie pustyni bledną pod wpływem tej czarodziejskiej piosenki o tajemniczej potędze i tańczą w takt, zjednoczeni najzupełniej z rumakiem. Szable i strzelby służą za kastaniety czy wachlarze. Na właściwy akcent muzyczny huknie wystrzał i ptaszyna przelatująca spada na głowy, a tancerze toczą końmi zawsze w takt, walcząc naprawdę jak w śmiertelnym pojedynku, ale z własną fantazją tylko.

— To musi być piękny widok — wtrącił malarz, rysując w swoim notatniku; baronet mówił dalej:

— Bo choćby zaczęli spokojnie, to muzyka i taniec upaja i odurza ich i ich rumaki, jak haszysz, jak opjum. To upojenie jest widoczne i wzrasta coraz bardziej, a zręczność, siła, wdzięk, zamiast wyczerpywać, potęguje się z każdą chwilą. Zapał dochodzi do najwyższych granic, aż jeden z tancerzy pada jak martwy na piasek, upojony czarem fantazji. Rumak, zdający się mieć w tej walce jedną duszę z jeźdźcem, pochyla się w tej chwili, aby pan jego lżej

upadł, a potem stoi nad nim, drgając widocznie wszystkimi mięskami, dotyka delikatnie nozdrzami jego skroni, i drobną stopą uderza w piasek nerwowo, dopóki czary nie miną. Tłum widzów wstrzymuje oddech, a gdy blade, z płonącymi oczyma Arab powstaje, okrzyk uwielbienia wstrząsa powietrze i odrazu przywraca mu przytomność. Tancerz wskakuje na konia, trzeźwy jak wiatr pustyni, i obaj z koniem gotowi rozpocząć fantazję na nowo. Wspólnie ze mną przypatrywał się temu, rodak wasz, panowie, księżę Sapieha.

— I fantazję arabską opisał — wtrącił malarz — opis jego zgadza się zupełnie z opowiadaniem Waszej Miłości. Księżę Sapieha zamiłowanym jest podróżnikiem: zwiedził kawał świata! Narysowałem tutaj tę fantazję arabską — dodał, podając kartkę baronetowi. Czy daje choć słabe wyobrażenie tego, co pan widziałeś, sir?

— Ależ świetnie, wybornie! — zawołał Warburton — przypatrując się z podziwieniem. — Jak doskonale uchwyciłeś pan ruch! Co to jest mieć talent!

Górale zmęczeni usiedli na trawie około ogniska, a gęśliki ciągle jeszcze grały. Sabała śpiewał:

„Jaworu, jaworu szerokiego liścia,  
Dajże Panie Boże zbójnikowi szczęścia.

Ciemna nocka była, kiedy na zbój pośli,  
Nie dał Pan Bóg szczęścia, nic my nie przynieśli.

Boże nam pomagaj i tym naszym nóżkom;  
Dzisiaj powędrujem ku liptowskim wirszkom“<sup>1)</sup>.

— Taniec zbójcecki, pieczary zbójceckie, skarby zbójceckie, te wyrazy odbijające mi się ciągle o uszy, dowodzą, że rozbojnicтво kwitło w Tatrach — mówił baronet, zwracając się do doktora — czy tak?

Doktor począł tłumaczyć różnicę między rozbojem a zbójowaniem.

---

<sup>1)</sup> Wirchom.

— Zbójnikiem — mówił — był człowiek zręczny, piękny, odważny, dowcipny, roztropny i dobroduszny, jednym słowem, bohater. Podhalanin brzydzi się rozbójnikiem, a uwielbia zbójnika.

— Aż sześć warunkowych przymiotów — wtrącił z uśmiechem Anglik.

— Zabierał bogatym, a dawał ubogim.

— Coś zakrawającego niby na socjalizm.

— Zbójnicy bywali pobożni, i idąc na zbój, prosili Pana Boga o powodzenie wyprawy. Legenda mówi, że starożytny kościół w Nowym Targu wzniesiony został rękami zbójników. Tak dbali o chwałę Bożą!

— To bardzo przypomina zwyczaje bandytów włoskich.

— Prawdziwymi zbójnikami byli w Tatrach najdzielniejsi młodzieńcy, synowie bogatych gazdów, bo zbijanie było przede wszystkim junakierją, dającą ujście młodzieńczej żądzy czynu. Waleczność ich, śmiałość, były niemal bajeczne. Nachodzili hale, wybierali daninę w serkach i baranach, urządzali wyprawy na wielkich właścicieli, rozbijali zamki, ale rzadko bywali mordercami. Zabójstwa dopuszczali się tylko we własnej obronie.

— Jak ja — pomyślał Henryk, który uczuwał jeszcze pewne skrupuły sumienia.

— Lub w razie silnego oporu ze strony napadniętego. Ale opór rzadko się zdarzał: każdy, kto spojrzął na zbójnika, umierał ze strachu, tak przerażającym był jego widok z powodu uzbrojenia wielu nożami i pistoletami. Najstraszniejszym był Janosik, o którym liczne krążą piosenki i legendy. Zbójnictwo istniało jeszcze w Tatrach przed kilkudziesięciu laty, a żelazne kraty w oknach wielu domów w Zakopanem i wsiach okolicznych, datują z tych czasów. Sabała także zbójował za młodu.

— Doprawdy — zdziwił się Warburton, i nałożywszy binokle, przypatrywał mu się uważnie. — No, a tenże Janosik, którego pan wspomniłeś? Gdzie on teraz się obraca?

— Żył za czasów Marji Teresy. Był śmiały, zręczny, litościwy dla biednych, a pamięć jego do dziś dnia wielbią Słowacy i Podhalanie. Historia o nim, upiększana w ciągu całego wieku, stała się cudowną historją „Tysiąca i jednej nocy“. Ma ona jednak w sobie pewną dozę prawdy. W tym Janosiku złączyli górale wszystkie przymioty ciała i umysłu, góralom przypisywane. Dzieje jego życia oprócz różnych cudownych powieści, upiększono jeszcze przygodami życia wszystkich zbójników tego samego imienia.

— Pan znasz tę legendę?

— Znam. Górale w niej jaskrawo przedstawiają swoje pojęcia o zbójnikach i zbójnictwie.

— Opowiedz pan, proszę. Jestem jej bardzo ciekawy. Wyjął cygarnicę, poczęstował wszystkich i sam zapalił.

— Słuchamy — rzekł.

Doktór zaczął opowiadanie po niemiecku.

— „Raz student szedł ze szkół na wakacje do domu. Przechodząc przez wielki las, zbłądził i noc go tam zaskoczyła; nie mógł się w żaden sposób z tego boru wydostać. Wlaził wreszcie na wysokie drzewo i patrzył na wszystkie strony, czy końca lasu nie ujrzy. Spozrzegł w oddaleniu światelko, rzucił czapkę w tym kierunku, ażeby drogi nie zmylić, a zlazszy z drzewa, poszedł za czapką i trafił do małej chatki. W oknie błyskało światelko i student wędrowny obaczył siedzącą w chacie staruszkę. Otworzył drzwi, wszedł do izdebki, a stara go zapytała:

— Coś ty za jeden i czego tu chcesz?

— Szedłem do domu ze szkół i zbłądziłem w lesie; proszę was, matko, przyjmijcie mnie na nocleg do waszej chatki. Nazywam się Janosik.

— Nie mogę ja ciebie przyjąć na nocleg — odrzekła stara — bo jak przyjdzie starsza moja siostra, to cię z pewnością zabije.

Poznał z tych słów staruszki, że trafił do mieszkania czarownic; nie uląkł się jednak i odpowiedział:

— Niech się już co chce dzieje, nie odejdę stąd, jestem zmęczony i muszę tu przenocować.

Widząc czarownica, że niema z nim rady, zawołała młodzieńca do wieczerzy, a gdy zjedli oboje, schowała go za piecem. Wkrótce wleciała oknem na miotle starsza siostra, zaczęła nosem kręcić i zawołała:

— Ej! Musi tu być gdzieś człowiek schowany w chacie?

— A co! Wychodź, Janosik! — wykrzyknęła młodsza. Musiał więc rad nie rad wyjść z ukrycia.

— Siadaj ze mną do wieczerzy — powiedziała starsza czarownica; on zasiadł z nią do stołu, a gdy zjedli, stara rzekła:

— A teraz ruszaj stąd, jeżeli ci życie miłe; bo jak powróci najstarsza nasza siostra, zabije cię niezawodnie.

A on i teraz się nie zatrwożył.

— Nie pójdę nigdzie i tu nocować będę — odparł, i za piec odszedł.

Przyleciała trzecia siostra najstarsza i zaraz zawołała, tak samo jak i średnia:

— Oj! Gdzieś tu człowiek musi być schowany?

Znowu musiał Janosik wyjść ze swojej kryjówki; zaprosiła go najstarsza czarownica na wieczerzę, a gdy zjadłszy, spać się położył, one wszystkie trzy naradzać się zaczęły, co z nim zrobić? Ale chłopak nie spał, udawał tylko i sły-szał wszystko, co mówiły.

— Połóżmy mu węgiel gorejący na żywe ciało — powiedziała jedna z sióstr — jeżeli ból zniesie i nie przebudzi się, to będzie z niego człek wytrzymały.

Jak rzekły, tak uczyniły: położyły mu na żywym ciele węgiel rozpalony; on się nie poruszył, ból znosił w milczeniu, póki węgiel nie zgasł. Czarownice wówczas powiedziały:

— Będzie z niego człek dzielny i wytrwały; warto, żeby został zbójnikiem. Musimy go oporządzić jak należy do tego rzemiosła.

— Ja mu dam ciupagę — rzekła jedna.

— A ja koszulę — mówiła druga.

— A ja pas — dodała trzecia.

Z dalszej rozmowy czarownic dowiedział się Janosik, że na tej ciupadze, jak się uniesie, trzy mile przeskoczy, a w koszuli i w pasie mieć będzie nadzwyczajną siłę. Najstarsza czarownica, co koszulę mu szyć miała, z wieczora zaraz zasiała na nią konopie — a na rano już i koszula była gotowa. Gdy wstał Janosik, trzy siostry oddały mu te dary, mówiąc:

— Nie będziesz ty uczonym ani księdzem, ino zbójnikiem. Oto masz ciupagę: jak się na niej uniesiesz, to trzy mile przeskoczysz; ona cię obroni od wszelkiego niebezpieczeństwa. W tej koszuli i pasie będziesz miał znów siłę nadzwyczajną. Ale żebyś był zbójnikiem nad wszystkimi zbójnikami, musisz najpierw własnego ojca zrabować.

Odszedł Janosik, zabierając ze sobą ten strój nowy; nie wziął go jednak na siebie, tylko schował w zawiniątko, a w mundurze swoim studenckim przybył do ojcowskiej chaty. Smutny był i zamyślony przez dzień cały; wieczorem ojciec powiedział, że się wybiera nazajutrz na kermasz<sup>1)</sup> i bierze z sobą 150 złotych reńskich, bo woły kupić potrzebuje.

— Ej! Nie idźcie, tatusiu — rzekł mu Janosik — żeby was zbóje nie zrabowali.

— Oho! — odparł ojciec. — Możebyś ty się dał zbójom zrabować; ja ich się nie boję.

— Zobaczymy — szepnął Janosik.

Ojciec poszedł, a on w kilka godzin później ubrał się w swój mundur zbójcki, od czarownic otrzymany; siadł na ciupagę, wlot ojca dogonił, zaszedł mu drogę w lesie, ciupagą o ziemię stuknął i zapytał:

— Gdzie idziesz?

---

<sup>1)</sup> Jarmark.



— Po woły — odrzekł stary, a ledwo mówić mógł ze strachu.

— Dawaj pieniądze! — krzyknął, a stary w tej chwili mu je oddał.

— Czy wszystkie? — spytał Janosik.

— Wszystkie — odpowiedział ojciec — nawet na drogę nie będę miał ani grosza.

Więc dał mu Janosik parę groszy na drogę i w las umknął z pieniędzmi — potem znów na swojej ciupadze wlot do domu powrócił; ojciec przywłókł się ledwo wieczorem. Nie poznał on rodzonego syna w zbójckim mundurze; w chacie zastał go znów ubranego po studencku, siedzącego spokojnie, jakby nigdzie nie wychodził. Rzekł więc do niego z żalością wielką:

— Dobrześ ty mówił, synu; szkoda, żem ciebie nie słuchał?

— A cóż to się wam przytrafiło, tatusiu?

— Oj, to mi się przytrafiło, że zbójnik jakiś zaskoczył mię w lesie, pieniądze zabrał: parę groszy mi tylko zostawił na drogę.

— Widzicie, tatusiu — mówił Janosik — mówiłem wam, żebyście nie szli, bo was zrabują, i tak się stało. A czyście się przypatrzyli owemu zbójnikowi? Czybyście go poznali?

— O, poznałbym odrazu; taką miał na sobie straszną koszulę i pas okropny, a w ręku ciupagę ogromną!

Janosik ukrył się w komorze, wziął na siebie mundur swój zbójnicki, wszedł napowrót do izby i zapytał ojca:

— A czy ten zbójnik nie tak czasem wyglądał?

— Ach! Tak samo — zawołał stary.

On się roześmiał, oddał ojcu pieniądze, a potem powiedział:

— Już ja nie będę uczonym, ani księdzem, do szkół nie powrócę, ino na zbója pójdę. Bywajcie zdrowi, tatusiu!

I ruszył w góry. Dobrał sobie wkrótce pomocników i towarzyszy; miał pod sobą dwunastu zbójników — a chociaż

żaden Janosikowi dorównać nie mógł, wszyscy jednakże musieli się czemś nadzwyczajnem odznaczyć, ażeby on ich przyjął pod swoją komendę. Każdemu kazał wprzód próby odbywać i różnych sztuk dokazywać w swojej obecności.

Jeden naprzykład podskakiwał do wierzchołka wysokiej jodły i ścinał go szablą, albo z pistoletu odstrzeliwał. Drugi łamał w rękę pnie drzew najgrubszych, trzeci kruszył w garści najtwardsze kamienie. Janosik sam to wszystko robił z łatwością: nieraz, dla zabawki, jak skoczył, ręką chwycił wierzchołek największego smereka. Są jeszcze w niektórych chatach obrazki na szkle malowane, przedstawiające te nadzwyczajne sztuki, jak to panowie mieliście sposobność widzieć w czarnej izbie na Starej Polanie. Stałe mieszkanie obrał on sobie w Liptowie; tam w lesie ukrywał się ze swoją bandą i w okolicę na zbójckie wyprawy się puszczał.

Janosik rabował tylko bogaczów, ubogim nigdy krzywdy żadnej nie czynił, przeciwnie, wspomagał ich często i hojnie pieniądze rozdawał. Jeżeli spotkał górala, co szedł na kiermasz, a mało miał pieniędzy, to mu dodał. Raz 400 reńskich dał biedakowi na kupienie wołów; że zaś tak drogie bydląt nie było, więc najlepsze woły kupił i jeszcze mu 100 reńskich zostało. To znów zobaczywszy staruszkę bosą, dał jej pieniądze, aby sobie buty kupiła; lecz srodze się rozgniewał, gdy tego przez skąpstwo nie zrobiła i z kiermaszu znów boso wracała. Tak okropnie jej wygrażał, że stara o mało nie umarła ze strachu i byłaby wołała danych pieniędzy się wyrzec.

Raz posłał do pewnego bogatego pana, zapowiadając, że przyjdzie do niego na obiad z dwunastoma swoimi kamratami, więc żeby wszystko dla nich przygotowano. Pan odpowiedział, że bardzo dobrze, czekać będzie Janosika i towarzyszy jego z obiadem. A tymczasem kazał zwołać z całej wsi swojej, a nawet z okolicznych wiosek najsilniejszych ludzi, uzbroił ich w kije i tak czekali, sądząc, że łatwo

Janosika pokonają. Nie wiedział ów pan o jego czarodziej-skiej sile, o koszuli, o pasie i ciupadze, darowanych przez trzy czarownice.

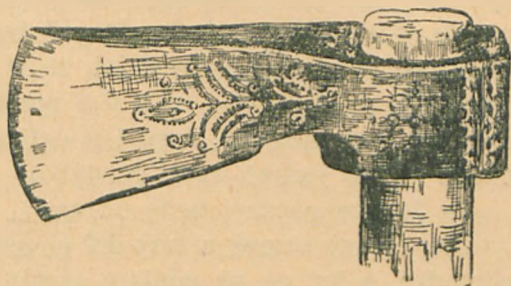
Jak tylko nadszedł Janosik, zaraz spostrzegł, jaka zdrada przeciw niemu była uknuta; ale poradził sobie: wywinął tylko ciupagą i połowa napastników padła na ziemię. Po-tem chwycił wozy i bryczki, przez pałac przerzucał, prze-biegał na drugą stro-nę i chwycił wlot. Dużo napędziwszy strachu, zabrał panu co miał pieniędzy w domu, i odszedł do lasu.

Doszły nakoniec te sprawy Janosika aż do uszu cesarza w Wiedniu: mie-

szańcy Liptowa ciągle na niego zanosili skargi, więc ce-sarz wysłał cały pułk żołnierzy, aby go schwytali. Nie ukrywał się Janosik przed nimi, lecz śmiało stanął ze swoją ciupagą naprzeciw żołnierzy, uzbrojonych w broń palną. Oni strzelali a on kule chwycił w powietrzu i na nich ci-skał, bo czarodziejska koszula nie dopuszczała kul do niego. Potem wypuścił ciupagę, wołając tylko:

— Ciupaga, bij!

Ciupaga tak biła i rąbała na wszystkie strony, że pułk żołnierzy uciekł wkońcu w popłochu. Innym razem zdrajca jakiś zaszedł Janosika w chwili, gdy klęcząc pacierze od-mawiał. Stanąwszy z tyłu, strzelił zdrajca do niego, bo nie wiedział, że on się kul nie obawia. Gdy jedna kula nie dosięgła go i odskoczyła, strzelił raz drugi — a gdy i tym razem odskoczyła, zdrajca przestraszony uciekać zaczął, lecz Janosik tymczasem ukończył pacierze, dogonił go i zabił.



Siekiera zbojnicka.

Raz cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę i wkońcu na tem stanęło, że dwaj rycerze, z obu stron wybrani, mieli się potykać w pojedynku i trzy wojny rozstrzygnąć. Posłał tedy cesarz po Janosika, aby po jego stronie stawał. Przybył do Liptowa pułk huzarów: pięknego konia dla niego przyprowadzili, szukali go wszędzie, pytali gdzie Janosik mieszka, a ludzie im pokazali, że w lesie. Poszli do lasu, spotkali samego Janosika, ale go nie poznali — i znów pytają, gdzie mieszka? On chwycił drzewo, wyrwał je z korzeniami, pokazał, i powiedział, że to jest jego mieszkanie. Domyślili się, że to on sam stoi przed nimi, opowiedzieli, czego cesarz żąda od niego i podali mu konia. Ale on nie chciał konno jechać, rzekł im tylko:

— Ja tam prędzej będę od was!

I w rzeczy samej, w trzy dni po nich wyruszył na swojej ciupadze, a już go na miejscu zastali, gdy przybył i zaraz prowadzili do cesarza. Chciano mu dać zbroję żelazną i pancerz, szablę i wierzchowca pięknego przygotowano — lecz on nic z tego wszystkiego nie chciał; ciupagę wziął do ręki i szedł pieszo naprzód, a za nim cesarz z całym wojskiem. Tak przyszli na plac boju, gdzie czekał nieprzyjaciel, i rycerz, co miał stanąć do pojedynku z Janosikiem, wystąpił naprzód. Był on cały zakuty w żelazo, i siedział na dzielnym rumaku. Gdy obaczył przeciwnika, idącego pieszo naprzeciw niemu, chciał go zaraz zastrzelić z pistoletu, lub ciąć szablą; ale Janosik chwycił tylko konia za nogę, i noga mu w rękę została, a rycerz obalony na ziemię, nie mógł już dalej walczyć.

Chciał cesarz zabrać z sobą Janosika, ale on nie miał ochoty iść: powiedział tylko, że już swoje zrobił, a teraz wraca do domu, i skoczył na ciupadze do Liptowa, gdzie mu było najlepiej. Ale Liptacy sprzysięgli się na niego i wkońcu też go zgubili. Wiedzieli, że Janosik ma siłę nadzwyczajną i starali się dojść, skąd ona pochodzi. Udało im się wkońcu przekupić kobietę, do której on czasem przy-

chodził ze swoimi kamratami i uczty wyprawiał. Gdy raz był trochę podchmielony, chytra ta kobieta zaczęła się go rozpytywać, wyciągać na słówka, aż wkońcu powiedział jej, że tę siłę czarodziejską daje mu koszula, pas i ciupaga, dary trzech sióstr czarownic.

Tego tylko potrzeba było mieszkańcom Liptowa; zaczęli się w domu tej kobiety i gdy Janosik przyszedł znowu ucztę wyprawiać, a uczęstowawszy się trochę zanadto spać się położył, oni mu ciupagę wykradli i zamknęli tak daleko, że ją od niego dziesięcioro drzwi dzieliło. Potem rzucili się na śpiącego, porozcinali na nim pas i koszulę, ściągnęli jedno i drugie; zaraz też Janosik wielką swą siłę utracił. Mogli go związać, zaprowadzić do więzienia, zrobić z nim wszystko, co chcieli. Ciupaga ruszyła się wprawdzie na pomoc Janosikowi i ośmioro drzwi przebiła, lecz w dziewiętych ugrzęzła.

Sędziowie skazali na śmierć Janosika i wyrok wykonali jak najspieszniej, a gdy z Wiednia od cesarza nadeszło ułaskawienie, już było za późno. Cesarz nie darował tego mieszkańcom Liptowa: za to, że powiesili Janosika, który mu oddał taką usługę w owym pojedynku, nałożył na nich wielki podatek, do dzisiejszego dnia opłacany.

Tak Janosik przez kobietę skończył“.

— Szkoda, że Strand tego nie słyszy — szepnął Witold — miałyby nowy materiał do wymysłów na ród niewieści.

— Powieść bardzo zajmująca — powiedział baronet, wysłuchawszy uważnie — i silnie miejscowym zabarwiona kolorytem.

— Dodam na zakończenie, że trudno znaleźć Podhala-  
nina lub Słowaka, któryby historję o Janosiku w wątpli-  
wość podawał, albo takiego, któryby nie miał współczucia  
dla tego bohatera. Jeżeli państwo chcielibyście wiedzieć jak  
wyglądał, mogę zaspokoić waszą ciekawość, oto jego auten-  
tyczny portret: darował mi go kolega Alesz.

I wyjąwszy z kieszonki notatnika niewielką kartkę, podał ją Warburtonowi, który jej się długo i uważnie przyglądał.

— Ideałem ludu Podhalańskiego jest, jak widzę, dzielność, a Janosik uosabia ten ideał — odrzekł baronet, zapalając świeże cygaro.

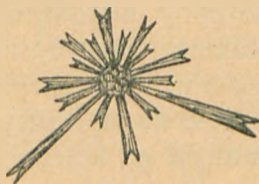
— Ta dzielność góralska dochodzi często do zuchwałstwa, niemal legendowego. Dla górala, uniesionego gniewem lub namiętnością, niema niepodobieństwa — mówił dalej Witold. — Opowiadał mi Witkiewicz o jednym, który się zwał Marduła. Ten pod wpływem uniesienia rzucał się jak ryś do oczu nietylko pojedynczym ludziom, ale całym tłumom. Raz poszedł na Węgry i sam napadł na karczmę, w której było sześćdziesięciu Liptaków. Rzucił się między nich, wołając: „Gadajta psia kość po polsku, a nie, to won!“ Ciskał się z ciupagą do oczu każdemu, krzyząc: „Tyś tu, tyś tu!“, aż wygnał wszystkich na dwór. Potem ich zaprosił do karczmy, płacił za wódkę i hulał z nimi przez noc całą.

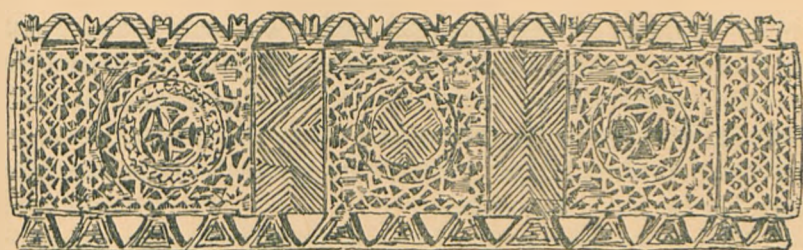
— Wspominaliście wczoraj panowie, że Sabała, wyliczając szereg gospód swoich, wymienił między innymi jakąś grotę zbójcką z dziedzińcem, gdzie ów Janosik przebywał — odezwał się znów baronet. — Teraz, gdy go z pańskiego opowiadania poznałem, radbym tę grotę obejrzeć.

— Jeżeli Wasza Miłość sobie życzy, możemy tam iść, Sabała nas poprowadzi; ale ponieważ ona jest bliżej bramy, więc możemy ją obejrzeć za powrotem.

— Hm — rzekł niedbale Warburton, jabym chciał powrócić inną drogą. Chodźmy teraz!

Jakóbowi i Witoldowi dziwnymi się wydały te wyrazy, ale nie protestowali.





## XII.

### ZDOBYCZ PROFESORA STRANDA.

*...tu kostnica starych dni się ściele,  
Tu krętorogie leżą Ammonity,  
Niby Jońskich kolumn kapitale.  
Gdzie spojrzę, widzę wytłoczone wzory  
Nieznanych istot: paprociowe bory,  
Skrzydlate smoki. Rozszalałe życie.  
Zgruba ciosane stworzenia początki.*

*Deotyła: Kamienie.*

— Ale jakże pójdziemy bez profesora Stranda — rzekł zafrasowany Warburton; — jeżeli chciał użyć rannego spaceru, to doprawdy czas już, aby był zpowrotem. Któż chodzi na dalszy spacer bez śniadania!

I spojrzawszy na zegarek, dodał:

— Dziesiąta godzina: dziwna rzecz, że jego żołądek dotąd się nie upomniał o należną daninę.

— Może co z sobą wziął — zrobił uwagę Walter.

— Wziął — odrzekł Jakób — czarkę do wina i nóż z graj-carkiem, które wczoraj wieczorem przy jego posłaniu zauważyłem, ale zostawił natomiast butelkę i bułkę z szynką.

— Ach, co za roztargniony człowiek! Cóż on będzie pił swoją czarką, chyba wodę ze strumienia? Że też po nocnej przygodzie, która go tak wyczerpała, że aż omdlał, chciało mu się jeszcze iść szukać awantury... Gotów znowu za-błądzić!

— Profesor Strand ma przy sobie wyborną mapę Tatr, na której wszystkie ścieżki są oznaczone. Zbłądzić nie może: pewnie poszedł nad staw Smereczyński szukać drugiej traszki, w miejsce tej, którą mu wczoraj spłoszyliśmy — powiedział Witold i przypuszczenie to wydało się wszystkim bardzo prawdopodobne.

Warburton przywołał Jerrego i upomniał, żeby dla profesora była gorąca herbata.

W tej chwili na zakręcie drogi ukazał się Strand, a twarz jego, czerwona od zmęczenia, promieniała wyrazem cichego a wielkiego rozradowania.

— A, jesteś pan nareszcie! — zawołał uradowany baronet. — Pewnie pana głód przypędził. Bo też kto widział chodzić na czczo na spacer! Siadajże coprędzej do śniadania, i powiedz nam, gdzieś bywał.

Ale Strand na wesołe powitanie nie odpowiedział w taki sam sposób: stanął i wyrzekł tonem dziwnie poważnym i uroczystym:

— Byłem na cmentarzu.

— Na cmentarzu! — zawołali wszyscy jednogłośnie. — Co pan mówisz?

— Alboż jest cmentarz w dolinie Kościeliskiej? — zapytał doktor.

— W Kościeliskach nie chowano nigdy umarłych, wyjąwszy młynarza, spoczywającego przy krzyżu — oświadczył stanowczo malarz, a jeden z przewodników wyrzekł do drugiego znane góralskie przysłowie:

— Jemu cosi chybia: wrzekomo je mądry, a głupio gada; jakisi niedosolony.

Strand uśmiechnął się z politowaniem i poczekawszy aż wszyscy umilkli, przemówił jeszcze uroczyściej:

— I znalazłem szczątki istot dawno zamartwych.

To powiedziawszy, podniósł w górę brunatny, zwęglony przedmiot, ukrywany dotąd starannie pod pachą. Wszyscy



obecni spoglądali po sobie zdziwieni, a Jakób, przypatrując się nieco przedmiotowi, zawołał:

— Wiem już, wiem, pan byłeś nad Smereczyńskim stawem wysoko, na Tomanowej, między krzesanicami<sup>1)</sup>. Zdaleka uderza tam pstrokacizną kilka żlebków<sup>2)</sup>, które górale zwą Czerwonemi.

— A pan skąd wiesz o tem? — zapytał Strand, spoglądając na mówiącego niechętnie z pod brwi zmarszczonych.

— Mniejsza o to, opowiadaj pan, coś tam robił i jakim sposobem odkryłeś ów cmentarz, bo to jest najciekawsze — przerwał Warburton.

— A więc słuchajcie: już wczoraj, siedząc nad stawem Smereczyńskim, zwróciłem uwagę na widniejący zdaleka pas pstrej, czerwonej ziemi, i gdyby sir Edward nie postanowił przepędzić nocy w dolinie Kościeliskiej, ja sam byłbym pozostał, żeby zbadać te żlebki. Dziś więc poszedłem tam i zacząłem kopać moją ciupagę. W łupkach czarnych, między ławami kwarcytowemi, znalazłem odciski roślin przedpotopowych, przypominających widłaki leśne, paprocie drzewiaste, skrzypy olbrzymie. Takich skrzypów i paproci, moi panowie, próżnobyśmy dziś w dolinie Kościeliskiej szukali. Wszystko nędzne i skarłowaciałe!...

— Szkoda, żeś się pan nie urodził przed potopem — wtrącił malarz z uśmiechem.

— O tak, szkoda, myślałem to sobie właśnie, schodząc z Tomanowej. Znalazłem tedy część skamieniałego pnia sagowca: co za świetny nabytek! Zazdrościłem nieraz Sturrowi, geologowi wiedeńskiemu, że znalazł szczątki olbrzymiego skrzypa, a tymczasem niebo pozwoliło mi także zrobić w Tatrach odkrycie, równające się tamtemu. Patrzcie jak wybornie zachowany: będzie to cenny dar dla Muzeum Berlińskiego. Pnie podobne wogóle są bardzo rzadkie: napotykają się w południowej Anglii, Francji, Włoszech, oraz

---

<sup>1)</sup> Skąły strome, gładkie i wysokie. <sup>2)</sup> Parowy.

w Ameryce Północnej. Zwraçały już one na siebie uwagę starożytnych Etrusków, którzy ozdabiali niemi swe groby.

— Muszę pana zmartwić — odezwał się Jakób. — Trzy lata temu odkrył to cmentarzysko znakomity nasz botanik profesor Marjan Raciborski. Znalazł on tam odciski przedpotopowych liści, łodyg i owoców; znalazł grube, jak kolana ludzkie, łodygi skrzypów, gałązki iglastych palisji, spowinowaconych z cyprysami japońskimi.

Twarz uczonego Stranda przeciągnęła się.

— Więc on tam był przedemną... — wyjąknął zmartwiony — szczęśliwy człowiek!

— A potem przyjaciel mój, geolog, Mieczysław Limanowski. Oni obaj, wielcy tych gór miłośnicy, opowiedzieli mi o Tatrach baśń bardzo, bardzo starą.

— Opowiedz nam ją pan — prosił Warburton, podając mu cygarnicę — a pan, panie profesorze, siadaj do śniadania.

Profesor usiadł posłusznie obok baroneta, położywszy swą zdobycz na stole, i zabrał się do herbaty, którą mu podał Jerry. Warburton sam ukroił mu kawałek chleba, posmarował masłem i podał, a Strand machinalnie wzięwszy, jeść zaczął, cały pochłonięty swem odkryciem.

Jakób, zapaliwszy cygaro, tak zaczął:

— Czy myślicie, że ojczyzna kozicy i kosodrzewiu, zawsze tak dziką była jak obecnie; że kraina wiecznych śniegów i turni nie zaznała nigdy zielonej wiosny?

— O, to będzie coś ładnego — pomyślał Henryk i odezwał się:

— Proszę pana, jaki jest tytuł tej pańskiej baśni?

Jakób zastanowił się chwilę i odpowiedział:

— Tytuł: „Pratątry“.

I puściwszy kilka misternych kółek dymu, mówił dalej:

— Był ład prastary, a góry strzelały wysoko nad modro siną falą. Może kraj ten pokrywały wymarłe już dziś walcie o cudownych kształtach i tworzyły głuche bory, na

podobieństwo dzisiejszych smerekowych. Może to były bujne lasy wspaniałych i potężnych paproci drzewiastych, złudnie do palm podobnych, o pniach prostych, wysmukłych, uwieczonych na szczycie głową łusk złocistych, z których wybiegały kilkometrowej długości liście, wykrawane w najdelikatniejsze wzory — paproci, których skarłałe pokolenia po dziś dzień przetrwały między mchem i kosówką. A może mieszane lasy drobnolistnych widrygonij i pnących się wgórę kordaitów, o owocach spłaszczonego grochu, wespół z sagogowcami, wysmukłymi królewietami flory ówczesnej, a w cieniu tych drzew cały świat drobnych paproci najrozmaitszych kształtów, o ślicznej siatce nerwacyjnej.

Z krainy wiecznych śniegów schodziły opalowo się w słońcu mieniające lodowce nad morze, w nadbrzeżne puszcze bagniste, między szarozielone mchy kalamitów, skrzyków olbrzymich, podobnych do potężnych mioteł, powtykanych przez czarownice, a na brzegach porastały paprocie glasopteris o szlachetnym rysunku liści wierzbówki, strojącej dzisiaj regle.

— A kwiaty? — zapytał Henryk, oczarowany tym obrazem.

— Jednostajnej zieleni zwartych gąszczy nie bramowały żadne pstre kwiaty; w odurzających oparzeliskach nie kołysały się nenufary. Nie było ani złotych aurykuli, ani szafirowych kielichów goryczek, ani białych rozet ostów jesiennych, nie!

— Ale pan wymieniłeś drzewa, rosnąć mogące tylko w gorącym klimacie — zrobił uwagę Walter.

— Bo klimat Tatr był wówczas gorący, jak zresztą niemal na całej kuli ziemskiej — odparł Jakób. — Ogrzewała ją ciepło wewnętrzne od spodu, bo skorupa wierzchnia była jeszcze stosunkowo cienka i stopniowo dopiero, z upływem wieków, coraz grubsza pokrywała się warstwą ziemi rodzajnej, powstałej z wietrzenia skał, z odnawiającej się ciągle roślinności, coraz nowym pokrywającej ją kobiercem.

— Dziwny więc widok przedstawiały te czasy — powiedział Warburton.

— O, tak, bardzo dziwny. Wyobraźmy sobie sylwetki skarłowaciałych dziś skrzypów, rozdęte do potwornych rozmiarów, na tle dzikiej orgji barw i łun, odbłasków niedalekich wulkanów Pratatr, w okolicy górnego Wagu<sup>1)</sup> ogniem ziejących. Była to epoka trzęsień i wybuchów gwałtownych lawy, a kłęby dymów wulkanicznych ziemię zaciemniały, albo tarczę słońca czyniły trawiastą niby grynszpan, lub błękitną, i okalały ją obrączką cisawą lub zieloną, tworząc tony piekielne, albo łuny krwawych języków, co w dzikich pomrokach gąszczy i puszczech się mieniać, tworzyły świat z bajki. I było ponuro wtedy, gdy na tle orgji barw, potwornych rozmiarów ważki, których skrzydła miały po 70 centymetrów długości, głucho po powietrzu latały, sterując niby olbrzymie nietoperze, a płazy moczarowe odgłosem wtórowały głuchemu, ponuremu szelestowi trących o siebie i przesiąkniętych krzemionką liści skrzypów.

— A świat ptasi? A błyszczące motyle i chrząszcze? — pytał Henryk.

— Nie istniały: lasy pełne były dziwnej fauny. W mrocznych, parnych gąszczach, po śliskiej ziemi pełzały stonogi i kryły się pod kamieniami lub w próchniejącem drzewie przed archegosaurom i branchiosaurom, którego kijankami o trójkątnych głowach roiły się ówczesne moczarowe wody. Bezliku było olbrzymich skorpjonów krwi chciwych, bezliku pajaków, polujących na srebrne jętki i ważki, których chmury nad parzeliskami zygzakowato się uwijały, mieniać się przepysznie w powietrzu i siadając na skrzypach nadwodnych i pastorałach paprociowych. Chrząszcze dziurawiły drewno kalamitów, ślimaki w butwiejących pniach dumały, a szarańczaki, te najstarsze owady w świecie, wieczorem

---

<sup>1)</sup> Rzeka w Tatrach węgierskich, powstająca z dwóch potoków: Czarnego i Białego Wagu.

za żerem bujały, jak to dziś potomkowie ich czynią, wieczorem wyłażąc z dziupli i szczelin.

I w morzu, opasującym ten dziwny łąd, pieniało się życie pełne gwaru i walki o byt: ryby, raki, mięczaki morskie.

— Czy wszystko w tej bajce jest prawdziwe? — zapytał Henryk.

— Nie wiem: może część, a może i wszystko. Jedno tylko jest prawdą niechybną, że rzeźba Tatr piętrzyła się w tem samym miejscu, gdzie teraz; że trwały długie wieki, aż przyszła chwila zgładzenia ich do szczętu.

— Jakto! — zawołali chórem wszyscy, prócz profesora. — Tatry przestały istnieć?

— Tak. Fale morza jęły się przelewać ku południowi i sięgały pratatrowego trzonu granitowego. Nastąpiła walka na śmierć i życie obu żywiołów: łąd uległ tłoczącej go fali. Tatry zanurzały się pod wodę bezwiednie, kierowane temi samemi siłami, które zanurzają bogate równiny Holandji i brzegi Bałtyku, a wynurzają Skandynawję z wody, temi samemi, które topią Pomorze i Wenecję i budzą ciche legendy o zatopionych miastach.

— Jakież mogły być przyczyny tych zmian tak nadzwyczajnych, panie?

— Przyczyny te nieznanne nam są dokładnie, a kto wie, czy nie spowodowane były przez zmianę położenia osi ziemskiej — dodał Strand.

— Woda stała się narzędziem zguby — mówił Jakób dalej. — Rozpoczęło się bezlitosne heblowanie i ścieranie. Woda była olbrzymim, po widnokręgi sięgającym nożem, którego powierzchnią było stalowo sine morze, a ostrzem, pianą ząbkowana nadbrzeżna linja. Klinga ta straszliwa a potężna, niby tajemniczemu fatum posłuszna, wciskała się coraz bardziej, coraz głębiej w Pratatry, ścieląc za sobą na wygładzonej równinie piasek, żwir i gruz. Jak Atlantyk liże skaliste brzegi Bretanji, a Adrjatyk dalmatyńskie ściany, tak Tatry lizała fala.

— A więc potop.

— Tak. Potop zgładził Tatry, a morze chwilowo syte, zaległo widnokrag na długie szeregi niezliczonych miljonów lat.

— Ten pański przyjaciel, to poeta — odezwał się Warburton, gdy Jakób umilkł. — Obrazy maluje z siłą dantejską. Nie jest to zwykła baśń, ale tragedia w wielkim stylu!

— Czy już skończona? — zapytał Walter.

— Ależ nie! — zawołał Warburton. — Zgładziłeś pan Tatry, musisz je wznieść na nowo.

— Skończyłem pierwszą część — powiedział Jakób.

— To dobrze: zapal pan nowe cygaro i rozpocznij budowanie.

— Słuchamy — rzekł Witold, rysując w notatniku.

— Wieki trwały i Tatry powstały z prochu Pratatr przez potop zgładzonych. Długo morze kołowało się nad zalanym lądem, składając na dnie potężnych rozmiarów osady. Najprzód były to wyspy bez śladu skał, porośłe zwrotnikową roślinnością, podobną do tej, jaka została potopem zniszczona. Aż dnia jednego, siły wnętrza ziemi, górotwórcze moce, wypiętrzać zaczęły osady złożone na dnie.

— Wiele byłoby o tem mówić — mruknął Strand. — Utrzymywano dotąd, że góry wypchnięte zostały z wnętrza ziemi siłą wulkanów, a teraz są tacy, co to podają w wątpliwość i utrzymują, że góry są wynikiem kurczenia się powierzchni ziemi, na podobieństwo skórki na wysychającym jabłku. I czy panowie myślicie, że ja wierzę tej hipotezie, mającej wszelkie pozory prawdopodobieństwa?

Wzruszył ramionami.

— Teorje naukowe podlegają niestety modzie, jak stroje u niewiast!

— Jest... ten niecierpi niewiast, a ciągle o nich mówi — szepnął ze złośliwym uśmiechem Witold do Jakóba.

— Zrobi ktoś odkrycie w mózgu własnym i sądzi, że je uczynił w naturze, a wszyscy owczym pędem uznają to

za prawdę rzeczywistą i zaczynają na niej budować swoje własne teorie, a na ich teoriach budują znowu inni, i tak powstają gmachy kilkopiętrowe, stojące dopóty, dopóki ktoś drugi nie odkryje znów w swoim mózgu czegoś innego, mającego więcej pozorów prawdy... Wtedy tamte padają jak domki z kart. Długie wieki przecież mniemano, że ziemia jest płaską, a sklepienie niebios wspiera się na kolumnach; potem, że słońce spaceruje dokoła ziemi, aż przyszedł Kopernik i przekonał wszystkich, że jest inaczej.

— Czyż pan byłbyś przeciwnikiem dociekań naukowych, pan, uczony? — zapytał Warburton zdziwiony.

— Przeciwnikiem? Bynajmniej, jestem tylko przeciwnikiem pychy uczonych. Ja sam uczę się ciągle, badam, szukam, ale nie chełpię się nigdy, że wiem coś na pewno, bo przekonałem się nieraz, że gdy mi się wydawało, iż jestem u źródła prawdy, byłem od niej daleko... Bóg tylko jeden jest prawdą nieomylną. On trzyma w swych potężnych dłoniach końce osi ziemskiej i kieruje przelewaniem się oceanów od bieguna do bieguna. On nadał światu prawa ziemne i wyznaczył drogi gwiazdom. On niepojęty i niezbadany, korzy pychę rozumu ludzkiego, ukazując mu w dawnych cmentarzyskach szczątki wymarłej od wieków fauny i flory, i mówi: „Proch jesteś, w proch się obrócisz“.

Strand mówił z zapalem, a ostatnie jego wyrazy pogrążyły wszystkich w zamyślenie. Chwilę panowało milczenie, wreszcie Warburton przerwał je, zwracając się do Jakóba:

— Czekamy drugiego aktu tragedji, doktorze. A najprzód, jak wyglądały Tatry zmartwychpowstałe?

— Nie były one wysokie jak dziś, ale stanowiły raczej grupę wzgórz. Krajobraz był różny od poprzedniego. Liczne dęby o liściach zawsze zielonych, tworzyły razem z figowcami, magnoljami oraz gatunkami proteaceów i myricaceów, las mieszany, uderzający różnaitością typów, mieszaniną rodzajów, właściwych obecnie strefie zwrotnikowej z jednej, a strefie drzew zielonych z drugiej strony. Skąpe są drzewa

iglaste podobne do cedrów i cyprysów, ale są palmy o liściach wachlarzowatych i pierzastych, są gęstwiny bambusów, pandany o długich, wąskich liściach, wsparte na rusztowaniu korzeni powietrznych, są jeszcze tu i ówdzie przysadziste pnie sagowców, wysmukłe pnie drzewiastych paproci, a przede wszystkim las wyniosłych drzew zwrotnikowych o liściach wielkich, lip, fig, drzew chlebowych z lianami pnących się winorośli i bluszczów.

— Co za czarujący malujesz pan krajobraz — odezwał się Walter — szkoda, że już nie istnieje! Z rozkoszą zjadłbym w tej chwili świeżą figę, lub kawałek owocu chlebowego. Gdyby istnieli już wtedy tatrzańscy górale, nie mogliby śpiewać:

„Oj biedna, biedna, ta nasza kraina,  
Gdzie chleb się kończy a skała zaczyna“.

— Morze zatokami wdierało się w ląd, pokrywało lasy warstwami żwiru, to znów cofało się, a ziemia ponownie zieleńta się od roślin. Jak długo to trwało, tego nawet profesor Strand nie umiałby nam powiedzieć. Wreszcie pod wpływem potężnej, poziomo działającej siły, wypiętrzają się szczyty i turnie tatrzańskie. Były one wyższe niż są dzisiaj, ale wody i wiatry wyrzeźbiły dzisiejsze grzebenie, maczugi i iglice.

— Jest zatem nowy akt w pańskiej tragedji! A jakież były dekoracje?

— Krajobraz roślinny ówczesnych Tatr przypominał brzegi dzisiejsze morza Śródziemnego, lub Japonję. Lasy drzew zawsze zielonych, pośród których przeważały liczne wawrzyny, kasztany, dęby, pokrywały stoki gór. Brzegi rzek i jeziora porastały topole i klony: wśród nich występuje pospolity wówczas wszędzie glyptostrobos, podobny do cyprysu. Zjawiają się z dalekiej północy przybyłe lipy, o liściach szerokich.

— A gdzie są sagowce i palmy?

— Cofnęły się na południowe stoki Karpat; znikły pa-



procie drzewiaste, a rośliny, wymagające klimatu zwrotnikowego, cofnęły się ku równikowi, wygnane przez zimno.

— Zimno zjawilo się niby anioł, wypędzający Adama z raju — odezwał się Walter — ale powiedz pan, proszę, jak się to stało!

— Karta świata wyglądała wtedy inaczej, niż dziś. Był wśród mórz południowej półkuli olbrzymi ląd, obejmujący część dzisiejszej Brazylii, przez Atlantyk, Afrykę, Afganistan i Indje sięgający do Australji. Był pokryty siecią olbrzymich jezior i rzeźbą wysokich gór; na górach tych rodziły się lodowce. Na północnej zaś półkuli, gdzie dziś Europa, całe szeregi wysp i wysepek się stały, a pomiędzy niemi Pratatry. Dziwna godzina wtedy przyszła na ziemię, jakby słońce zaczęło wstrzymywać żar swój. Z gór tego dalekiego lądu, lodowce zaczęły spływać ku dolinom parnym, a wraz z zimnem cała armja przewrotu, cały nieprzeliczony orszak roślin chłodnego klimatu, wypierając dotychczasowych mieszkańców. Rozpoczęła się głucha walka dwóch żywiołów o pięćdziesiąt procent ziemi. Prastare sygilarje i kordaity wygryzane zimnem, wypierane przez żołnierzy nowej armji, ustępowały — bo zdobywcy raz zdobytej ziemi już nie oddawali, jak to dziś czynią smereki, co wygryzają rozłożyste buki na reglach.

— Znów zmiana dekoracji — wtrącił Warburton.

— O, nawet bardzo znaczna. Zalesione dziś regle były zapewne pokryte drobną roślinnością turni dzisiejszych, wśród której porosty skalne pierwsze zajmują miejsce. Karłowate brzozy i wierzby, kępy różanecznika, poduszki łomikamieni, lasy modrzewi sybirskich, sosen, limb i brzóz, przetrwały tę chłodną epokę.

Cygaro zgasło opowiadającemu, wyciągnął rękę po zapalniczkę.

— Czy już koniec? — zapytał Warburton.

— Prawie: jeszcze kilka słów zamiast epilogu i jeszcze jedna zmiana dekoracji. Lodowce zniknęły, następuje emigracja roślin z południa i północy; zajmują one puste po-

przednio łoża lodowców, pokrywają lasami regle, niska wegetacja alpejska pokrywa turnie. W walce o byt z nowymi przybyszami, ze zmienionymi warunkami klimatu, giną zwolna dawniejsi obywatele roślinni Tatr, wymiera modrzew, cis, różanecznik, wreszcie zjawia się człowiek, aby swym wpływem, rolnictwem i hodowlą bydła, jeszcze bardziej zmienić kwiecistą szatę gór naszych. Jakże, czy panów zajęło opowiadanie?

— Bardzo — zawołali wszyscy jednogłośnie — zasłużyłeś pan na szczery poklask.

I baronet pierwszy w dłoń uderzył, a za nim wszyscy, i przez chwilę brzmiał odgłos oklasków w całej dolinie, jakby w sali teatralnej, a gdy ustały, Jakób rzekł jeszcze:

— Wieki miną i Tatry znikną znowu, jak zniknęły olbrzymie Kaledońskie góry lodowcami bramowane, sięgające ze Szkocji do Norwegji, jak góry Armorykańskie w Bretanii a Waryskijskie w Niemczech, jak moc innych gór.

— Zamilknij, proroku złowieszczy — zawołał z przesadą Witold i nie przeszkadzaj nam cieszyć się dzisiejszą Tatr pięknnością, fantazją tatrzańską i pieśniami zbójeckimi. Zrobiłem naprędce ilustracje do opowiadania pana Jakóba, może chcecie je obejrzeć. Na tej pierwszej jest przypuszczalny krajobraz olbrzymich paprotników. Na szczycie potężny lepidodendron i kilka miotłowatych sigilaryj. Paprocie przy samej ziemi. A na tej drugiej...

— Krajobraz zupełnie inny — wtrącił Henryk, przypatrując się z ciekawością.

— Na drugiej jest roślinność, przypuszczalna naturalnie, wysepek podtatrzańskich. Nad płynącą rzeką ścielą się skrzypy, w głębi sagowce i widryngtonje; po lewej stronie są paprocie drzewiaste i iglaste palisje.

I podał swój notatnik z naszkicowanymi efektownie dwoma krajobrazami przypuszczalnymi. Chwalili je wszyscy i podziwiali, a notatnik kolejno z rąk do rąk przechodził.

Henryk, na którym stara baśń o Pratatrach wielkie uczyniła wrażenie, zbliżył się do profesora i zapytał:

— Proszę pana, w całej tej sprawie jednej rzeczy nie rozumiem. Wspomniał pan, że czerwony kolor ziemi nad stawem Smereczyńskim zwrócił wczoraj pańską uwagę. Co za znaczenie tu ma taki lub inny kolor ziemi?

— Czerwony ten kolor pochodzi ze startego na proch przez fale morskie granitu, który był pierwotnym gruntem Pratatr. W utworzonych w ten sposób osadach miejscami morze sypało mogiły padającym pod naciskiem jego fali olbrzymom prastarej roślinności, jakgdyby, szerząc dokoła zniszczenie, chciało coś zachować na podziw i naukę dla przyszłych pokoleń. W świecie naukowym ta pstra barwa nosi nazwę *laterytu*.

— Dobrze byłoby, żeby bajkę dwóch pańskich przyjaciół można zobaczyć uzmysłowioną, nie tylko na rysunku, ale i na okazach geologicznych — odezwał się baronet do Jakóba.

— Limanowski właśnie nad tem pracuje: zbiera on okazy, odnoszące się do historii i powstania Tatr, które wyjaśnia ich układ i budowę; a Morozewicz zebrał skrzętnie minerały tatrzańskie, i pokrajał skały na cieńsze od papieru listki. Przypatrując im się przez mikroskop, można odgadnąć niejedną tajemnicę.

— Widziałeś je pan?

— Widziałem w Muzeum Tatrzańskim i byłem zachwycony.

— Panowie — odezwał się Warburton — zanim profesor Strand nadszedł ze swego cmentarzyska, mieliśmy iść oglądać grootę zbrojecką. Chodźmy zaraz; upiecze nam się tymczasem udziec niedźwiedzi, a po obiedzie pójdziemy w dalszą drogę.

Nikt się nie sprzeciwił, Sabała szedł naprzód, wygrywając na gęślikach i śpiewając:

„Idzie zbójnik z za Liptowa,  
Ciecze mu krew z za rękawa;  
Z za rękawa i z główeczki,  
Wszystko przez zdradę dziewczeczki“.

Henryk zabrał swoją puszkę blaszaną z roślinami i pośpieszył za innymi; i on chciał zobaczyć miejsce, w którym ukrywali się zbójnicy. Miał też nadzieję, że znajdzie po drodze co nowego, czego jeszcze nie posiadał. Postępowali wąską drożyną pod skałą, a potem zaczęli kręto lasem iść w górę.

— Czy daleko do tych okien zbójceckich? — zapytał Henryk.

— Nie prec — odrzekł Sabała, i w tejże chwili drzewa lasu rozstały się, a podróżni ujrzeli turnię, tworzącą bramę, której otwór miał kształt dużego okna.

— Ktoby to przypuścił, że stanowisko zbójców znajduje się tak blisko głównej drogi — rzekł Witold. — Jest tak wybornie w lesie ukryte, że trudno go się nawet domyśleć.

— Ale dobrze obmyślane — odrzekł doktor — przez dolinę Kościeliską jest przejście do Węgier. Może kupcy tędy chadzali z towarami i stawali się łatwą zdobyczą zbójników.

Wewnętrzna lewa ściana bramy jest pośrodku otwarta i tędy wprowadził Sabała podróżnych do skalistego kotła, niby do fortecznego obszernego podwórca, w którego ścianach były dwa otwory: wejście do grotty i szczelina ponad przepaścią. Stanęli orzeźwieni panującym tu chłodem; profesor ocierał pot z czoła, a Warburton wodził okiem po ścianach, podziwiając piękną strukturę kotła.

— Widziałem różne jaskinie — powiedział — ale ta jest jedyną w swoim rodzaju; miejsce jakby umyślnie stworzone dla uczt i obrad, lub zebrań tajemniczych. Legendy Janosik mógł tu wygodnie swoją gwardję mustrować. Dzikość tych ścian z ziejącą w głębi pieczarą i czarnym lasem, chwiejącym się u góry, prześliczny tworzy kontrast

z jasną słoneczną doliną, śmiejącą się gdzieś w dole przez rozłupę skalną.

Wszyscy z kolei przez okno spoglądali: jeden tylko profesor zachowywał się obojętnie wobec efektów tego obrazu. Kręcił się on niespokojnie na miejscu, a nozdrza jego poruszyły się, jakby zaleciała go jakaś woń, której nie spodziewał się tu spotkać. Nakoniec odezwał się:

— Czy nie czujecie panowie zapachu piżma?

— Nie — odrzekł Witold — skądżeby znowu piżmo się tutaj wzięło?

— Mnie się zdaje, że czuję — wtrącił Henryk.

— Zdaje ci się? — powtórzył z uśmiechem. — To już wpływ sugestji. Teraz, gdy profesor powiedział, że czuje piżmo, wszystkim nam to samo zdawać się będzie.

— Mnie się jednak nie zdaje — odezwał się profesor z urazą.

— Nie przeczę; ale jaka mogłaby tego być przyczyna, bo pan profesor chyba nie zaprzeczy, że wszystko mieć musi swoją przyczynę.

— Sam się nad tem zastanawiam; chybaby tu w tych miejscach znajdowało się pewne rzadkie zwierzątko, które...

— Które wydaje zapach piżma. Czy tak?

— Tak.

— Ale go niema.

— Nie widać go przynajmniej. Ale spostrzegam za to co innego — dodał, przesuwając oczyma po grani kotła, której czepiały się rozmaite rośliny, mianowicie paprocie i różne porosty, i zatrzymał je w jednym punkcie. — *Limax Schwabii*, co za prześliczny egzemplarz!

I wskazał palcem wielkiego nagiego ślimaka, ciemnoszafirowej barwy z malachitowym połyskiem. Poczem wspiął się na palce i wyciągnął rękę, ale nie mógł go dostać; więc jeden z górali zdjął go końcem ciupagi i podał rozpromienionemu profesorowi, który wyjąwszy z kieszeni pu-

dełko, z największą ostrożnością umieścił w nim swoją zdobycz. Ślimak ten po polsku zowie się pomrowiem.

Młodsza część towarzystwa poszła z pochodniami do groty. Wiódł ich Sabała, przyśpiewując:

„Oj mamicko miła, cemuś mnie nie biła?  
Kie mnie wiesać bedom, bedziesz się hańbiła!“

Warburton i Strand wyglądali przez okno, paląc cygara i wsłuchując się w echo ginącego w podziemiach głosu gęślików. Anglik wolał zachwycać się stąd urokiem kontrastu między ponurym kotłem a śmiejącą się doliną. Myśliciel, artysta i filozof, patrzył spokojnie w prostopadłą przepaść, nad którą wisiało okno. Ciągnęła go ona ku sobie nieprzepartym urokiem i myślał o chwili bardzo, bardzo już dawnej, gdy opuszczał kraj, znajdujący się nad przepaścią, wynosząc zeń swoje skarby: młodość, zdolności, siłę do pracy... I choć ten czyn świetne przyniósł owoce, ma poczucie, że skradł z kasy ogólnej, a sumienie woła na niego, żeby oddał, co wziął — i że nie zawsze zaszczytnem czeptać się brzegu. Uczuł zawrót głowy i wychylił się nadto, ale Strand przestraszony pochwycił go za ramię.

— Ostrożnie, sir Edwardzie, bo mógłbyś pan spaść!

Sabała z resztą towarzystwa wkrótce powrócił i wszyscy zgodzili się na to, że kto oglądał grotę Myną, tutaj na próżno się trudził. Korytarz był długi, ostro sklepiony, po ścianach spływało kamienne mleko, ot i wszystko. Nie było tu co robić dłużej. Gdy opuszczali kocioł i wychodzili przez bramę, doktor powiedział:

— Teraz i ja już czuję piżmo.

Wtem profesor krzyknął i rzucił się naprzód: jakieś małe zwinne zwierzątko przeleciało mu pod nogami i zniknęło w lesie.

— Co się stało? Coś pan zobaczył? — pytali wszyscy, a doktor chwycił go za poję, mówiąc:

— Co panu jest, gdzie pan chcesz biec?

Ale profesor rozdrażniony narazie, wyrwał mu się i po-

biegł jak młodzieniec w kierunku zwierzątka, lecz napróżno. Po chwili stanął zmęczony, zziębnięty i ocierał pot z czoła.

— Recek halny, *Sorex Alpinus* — skarżył się tonem dziecka, któremu odebrano cukierek — wyobraźcie sobie, że okaz ten rzadkim jest nawet w Alpach, a tu go niespodzianie znalazłem i straciłem z oczu, nie przypatrzawszy mu się nawet! Zapach piżma, właściwy temu zwierzątku, dawał mi już do myślenia, że ono tu gdzieś blisko przebywa, jakoż nie omyliłem się. Przyszedł widocznie na polowanie, bo ślimaki spadają z drzew do groty przez wierzch kotła.

— Recek, czyli kretomysz — powtórzył doktor. — Słyszałem, że to jest amator myszek.

— Doprawdy? — zdziwił się Henryk, a sam jest podobny do myszy!

— Tylko ma pyszczyk więcej wydłużony i zakończony ryjkiem. Zwierzątko to, żyjące do wysokości 2.000 metrów nad poziomem morza, jest bardzo pożyteczne jako najlepiej ochraniające lasy, ponieważ tępi niesłychaną moc liszek, poczwerek, ślimaków i innych szkodników, których nigdy mu nie dosyć. Roślinnych pokarmów nie tyka wcale nawet wtedy, gdy jest głodne.

— Tatry mają jeszcze dwie odmiany recka, panie Strand — odezwał się doktor — widziałem je w Muzeum Tatrzańskim, pigmejczyka i rzesorka.

Henryk chciał się dowiedzieć, jak te zwierzątka mieszczą, a profesor rad, że znalazł uważnego słuchacza, powiedział mu, że rzesorek ryje sobie nory w miękkim gruncie, w pobliżu wody, albo korzysta z nor kretów i myszy. Nora jego ma liczne ujścia: w wodzie, na powierzchni wody i na lądzie. W wodzie porusza się bardzo szybko, biegnąc po dnie, a myszy, żaby i ryby znajdują w nim niebezpiecznego wroga. Przepada za ikrą.

— No, w potoku kościeliskim chyba nie ma co jeść — wtrącił Witold.

— Ja też nietylko o potoku kościeliskim mówię, ale

o ich ogólnych zwyczajach. Sposób łowienia przez nie ryb świadczy o wielkiej ich zmyślności. Taki rzęsorek napędza narybek w płytkie miejsca i maści wodę dokoła. Gdy rybka chce obok zwierzątka przepłynąć, zostaje natychmiast schwytaną.

— Proszę pana — rzekł Henryk, zwracając się do profesora Stranda — czy to prawda, że zapachy można wytwarzać sztucznie?

— Prawda, mój młody przyjacielu, i to całe szczęście, bo inaczej kobiety wytępiłyby wszystkie rośliny, jak wytępiają ptaki! Chemja, ta prawdziwa czarodziejka, dała nam sposoby wyrabiania bardzo pięknych i delikatnych perfum, bez udziału kwiatów. Kobiety, rozkoszujące się zapachem jaśminu i fiołków, nie domyślają się nawet, że woń ta jest wydobyta z czarnej, wstrętnej smoły, będącej pobocznym produktem przy fabrykacji gazu oświetlającego z węgla kamiennego. Wkrótce stary sposób wyciągania wonnych olejków z kwiatów, zostanie zupełnie zarzucony, jako zbyt kosztowny; kobiety, wachając smołę, przywykną zawczasu do tego, co im przeznaczono po śmierci.

— Pan jednak mimo wszystko, musisz mieć słabość do kobiet — odezwał się Witold — bo widzę, że myśl o nich nie odstępuje pana. Jest pewne stare, ale mądre polskie przysłowie: „Kto się lubi, ten się czubi“.

Strand aż zbladł z oburzenia na te wyrazy. Chciał ostro skarcić Witolda za ten żart, jak na to zasługiwał, ale poślizgnął się na pniu próchniejącego drzewa i upadł. Kapelusz, laska, okulary, wszystko rozleciało się w różne strony, i współtowarzysze wraz z przewodnikami rzucili się na ich poszukiwanie. Karcące wyrazy skonały na ustach zakłopotanego profesora, a niezwykle gatunek porostu, jaki dostrzegł na skale, pochłonął całkowicie jego uwagę.

— O czym myślisz? — zapytał doktor Henryka, który stał zadumany.

— Myślę, panie Jakóbie, że skoro ślimak i kretomysz



tak wzruszają profesora, co to będzie, gdy znajdzie swego Branchiopoda? Chyba nie zniesie takiego szczęścia!

Było już około południa, gdy turyści nasi wrócili do schroniska, gdzie zastali już obiad gotowy. Jerry, gdy ujrzał nadchodzących, wziął ostry nóż, ukrajał kilkanaście wierzchnich zrazów tej rzadkiej i osobliwej zwierzyny i podał na stół. Nie zagustowano jednak w niedźwiedzinie, choć każdy obowiązkowo ją chwalił. Czy nieprzyzwyczajenie do tej potrawy, czy niedostateczna ilość soli, czy smak nieco słodkawy, sprawiały, że wszyscy przymuszali się tylko. Ten i ów wziął parę kęsów i położył widelec. Walter zrobił nawiasową uwagę, że szkoda, iż morze nie oblewa już stóp Tatr, bo możnaby mieć ostrygi, które smakowałyby lepiej, niż to mięso niedźwiedzie. Sir Edward odezwał się, że pieczeń byłaby wyborna, gdyby ją można jeść z sałatą. Doktor, usłyszawszy to życzenie, zapytał, czy byłoby czem zaprawić sałatę, gdyby się przypadkiem znalazła, bo jak wiadomo, do sałaty trzeba koniecznie octu i oliwy.

Baronet spojrział przenikliwie na Jakóba i odgadując, że zapytanie zostało nie bez celu zrobione, odezwał się:

— Więc gdybyśmy mieli oliwę i ocet, pan podjąłbyś się nam dostarczyć sałaty?

— Podjąłbym się.

— Wydaje mi się to dziwnem: sałaty bowiem nie rosną na skałach; potrzebują odpowiednich warunków i starannej uprawy.

— A jednak nie cofam obietnicy.

— Rozumiem już — rzekł Warburton z domyślnym uśmiechem — została przywieziona z Zakopanego.

— Nie; urosła w dolinie Kościeliskiej.

Baronet pokręcił głową, zawołał Jerrego i zapytał, czy miałby czem przyprawić sałatę, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zwrócił wyczekujące spojrzenie na doktora.

Jakób skinął na górala, a ten podał mu koszyk, napełniony rzeżuchą, której narwać kazał w Lodowym potoku,

aby ją zawieźć do Zakopanego. Gdy podniósł przykrywę, nastąpiło ogólne zdumienie, a doktor rzekł:

— Nie jest to zwyczajna sałata głowiasta, ale drobno-listna soczysta rzeżucha opica, która doskonale zastąpi powszechnie używaną zamiast sałaty rzeżuchę łąkową.

Jerry zabrał koszyk i wkrótce przyniósł sałatę na salaterce, przyrządzoną podług wszelkich prawideł kuchni angielskiej — z musztardą, octem, oliwą i żółtkiem. Teraz pieczeń z niedźwiedzia zupełnie inaczej smakowała; wszyscy zajadali z apetytem, a sir Edward dziękował Henrykowi i doktorowi, że z ich łaski jadł obiad prawdziwie tatrzański — i zachęcał do wina, będącego także produktem południowej strony tych gór.

Jakób odezwał się, że obiad bez pieczystego nie jest kompletny, i że gdyby była fuzja, możnaby się o nie postarać. W Kościeliskach oprócz dzikich kaczek, jakie widzieli nad stawem Smereczyńskim, pokazują się głuszce i cietrzewie: te ostatnie lubią siedzieć w kosówkach. Warburton, posłyszawszy to, ożywił się bardzo, bo lubił namiętnie polować. Więc Witold, także myśliwy, powiedział mu, że w Zakopanem znajdował na mokrych miejscach słonki, pod lasem jarząbki, a na owsiskach, w cieniu, kuropatwy. Z drobnych łatwo jest spotkać kuligi, drozdy, skowronki.

— Ach, ktoby strzelał do skowronka, to już byłby zbrodniarz! — rzekł Jakób. — On co rano zwołuje ludzi do pracy, on rozbrzmiewa wszędzie, gdzie słońce świeci; on głosi radość i wesele.

— To ptaszek Matki Boskiej! — szepnął Henryk.

Warburton spojrział nań i zapytał, zwracając się do Jakóba:

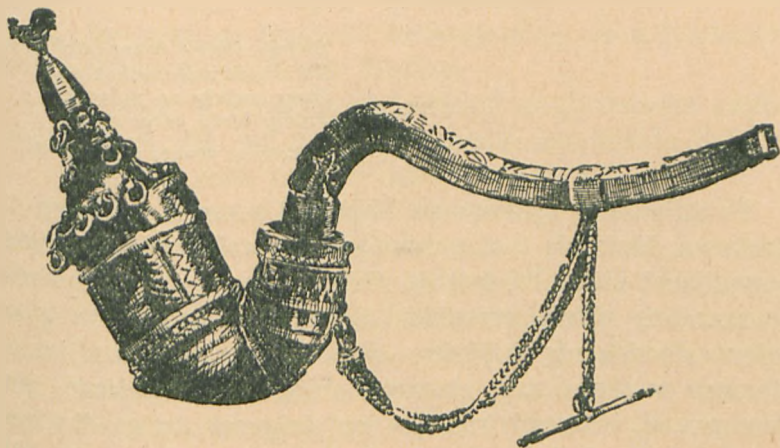
— A ptactwo przelotne?

— Z południa przylatują dzikie kaczki, gęsi perkozy, bojownicy, warzęchy i gile; z Bałtyku mewy; z Adrjatyku kormorany.

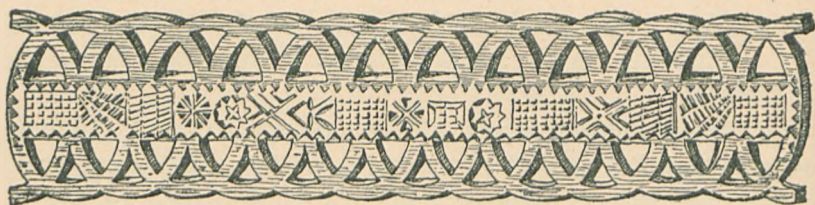
— Z nad morza, aż tutaj zalatują? — zdziwił się Henryk.

— Zalatują nawet z Egiptu ibisy, ale bardzo rzadko się trafiają.

Górale i juhasy użyli niedźwiedziny do syta. Objedli mięso do kości, a sadło topione łykali, jak największy przysmak. Używał też pies kudłaty, który wytropił profesora w grocie.



Fajka.



### XIII.

## TECZA NA ZIEMI.

*Gemza śmiga przez otchłanie,  
Za nią strzelec, iskra gór.  
Owce zwisły na polanie,  
Jakby biały peret sznur.*

*Deotyma: Piosnka w Karpatach.*

Po śniadaniu spakowano bagaże i ruszono w drogę do Krakowa. Idzie się tam po ściółce z granitowych kamieni, zasypującej niewielki trójkąt. Górny jego koniec prowadzi do szczeliny różnie szerokiej. Bywa tak wąska, że tylko jeden człowiek nią wejdzie — wówczas na bokach są jakieś pieczary w skale, nad głowami sklepienie popękane, poprzerywane, i drzewa rosnące po ścianach, więc tkwiące korzeniami w drobnych rozpadlinach. Bywa i tak, że kilkunastu ludzi mogłoby iść szeregiem, gdyby natura gruntu na to zezwoliła. Turyści nasi postępowali coraz wyżej, po złomach, pokrytych mchem i porostami obślizgłymi od wilgoci, przez kłody drzew dawno zwalonych, napół spróchniałych, po ogromnych stosach kamieni, a cała ta droga dzika pełna była niespodzianek. Miejscami było prawie mroczno, z powodu wybiegających ponad głowami skał. Woda sączy się tam cieniutkimi nitkami z gór i spływa pod głazy, przepadając między niemi, a szmer ten cichy, brzmi jak nieśmiałe szepty, lub skarga duchów górskich. Ze szczelin wychylają się wspaniałe wachlarze paproci,

a po bokach zwieszają bogate festony roślin. Z głazu na głaz przeskakując, spinając się po wysokich progach, szli ciągle w górę, a malarz zwracał uwagę cudzoziemców na fantastyczne kształty skał, w których upatrywano podobieństwo do gmachów Krakowa i nazywał je pokolei: Sukiennice, Kościół Panny Marji, Ratusz, Rynek, Zamek... Profesor trzymał się ręką skały, Henryk dwa razy się poślizgnął, ale był w doskonałym humorze, bo u wejścia do Krakowa znalazł żółte fiołki, które przecudnie pachniały.

— Gdzie jest owa Smocza jama, o której słyszałem? — zapytał baronet. — Gdyby mi się udało znaleźć w niej smoka, pokonać go i zabrać do mego muzeum w Rochdale, zazdrościłaby mi tego cała Anglja!

— A jeżeli w Smoczej jamie siedzi niedźwiedzica z młodem, i rzuci się na nas? — wtrącił żartobliwie doktor.

— Mamy z sobą noże — odrzekł malarz.

— I rewolwer — dodał sir Edward.

— I skole<sup>1)</sup> — dokończył Sabała.

— A zresztą mamy z sobą młodego bohatera, który nas obroni — dodał Walter, spoglądając życzliwie na Henryka.

W Smoczej jamie nie było nietylko smoka, ale nawet niedźwiedzia. Wprawdzie posłyszano jakiś szelest, ale nie dzikie zwierzęta go sprawiały, tylko dwie małe góralki, siedzące u wylotu z pękami szarotek i lodowych gwoździków; obskoczyły one turystów, ofiarując kwiaty. Baronet kupił dwa bukietki: jeden dla lady Chester, drugi dla Fanny.

Miejsce, na którem się znajdowali, było wysoko położoną halą, gdzie się było pasie i skąd owce rozchodzą się na okoliczne skały. Widać je było zdala na turniach, nakształt ruchomych paciorków, czarnych i białych, a odgłos dzwonek, jakie mają przyczepione do szyi, aż dotąd dochodził.

Panowie, siadłszy u wylotu, zapalili cygara i złożono

---

<sup>1)</sup> Kamienie.

naradę co do kierunku drogi powrotnej. Sabała tutaj rozstał się z nimi, bo dogodnie mu było tędy zejść do wsi Kościelisk, gdzie miał stałe mieszkanie. Można było pójść jego śladem, bo to skracało drogę do Zakopanego, ale baronetowi przyszła ochota iść na Czerwone Wierchy. Po krótkim więc odpoczynku wrócili do Krakowa i pieli się wgórę



Fiołek alpejski.  
*Viola alpina.*

szczeliną ku Wierchom, przez dzikie, śliskie bezdroże, a tak niebezpieczne miejscami, że tylko dzięki przytomności przewodników, umiejących w danej chwili podać rękę, pociągnąć lub podprzeć, wyszli z tej wyprawy bez szwanku. Ubranie darło się, zaczepiane ustawicznie o ostre kanty, a na rękach były krwawe ślady. Baronet kilkakrotnie obejrzał się na Henryka, ale chło-

piec szedł bardzo dobrze, a profesor więcej posuwał się na czworakach, niż szedł, czyniąc przytem spostrzeżenia nad uwarstwowaniem skał — przyczem o mało znowu nie zgubił okularów. Góral unosił go prawie. Gdyby nie jego nieustanna pomoc, uczony wpadłby niezawodnie w przepaść.

Gdy wydobyli się na szczyt Małołączniaka, dotykającego Czerwonych Wierchów, padli jak bez duszy na ziemię; płuca z trudnością chwytały powietrze, a pot kroplisty spływał im z czoła.

Nagle Henryk z radością zawołał:

— Sarny! Sarny! — i wskazał ręką w stronę przeciwnego lasu.

Rzeczywiście trzy sarny spłoszone w las uciekały; w pierwszej chwili jednak znajdowały się nie dalej jak o dwadzieścia kroków od naszych podróżników. Przyglądano się mimo zmęczenia pięknym, zwinnym zwierzątkom.

Jeden z przewodników tymczasem, nie czekając rozkazów, wydobył butelkę z winem i nalewał wszystkim w kolej. Wino pokrzepiło wkrótce strudzonych: mogli nietylko od-

dychać swobodnie, ale rozmawiać i cieszyć się widokiem, osiągniętym z takim trudem.

— Jesteśmy na wysokości przeszło 2101 metrów nad poziomem morza — oświadczył Strand — i możemy stąd zajrzeć w głąb świata zaczarowanego.

Cyfra ta zaimponowała wszystkim.

— No — zawołał Henryk — ten Giewont taki wspaniały i dumny, gdy się nań patrzy z Zakopanego, tutaj wydaje się prawie małym, a Czerwony Wierch o wiele go przeraża. Rozumiem teraz owe lawiny, zsuwające się z niego w zimie, bo śniegi, nagromadzone na Czerwonych Wierchach, własnym ciężarem się obsuwają na jego zbocza.

— Niezła uwaga — rzekł profesor — szczyt Czerwonego Wierchu jest kopulasty.

— Bardzo dogodny do obozowania — dodał baronet. — Gdybym miał z sobą namiot, chętniebym tu zanocewał, bo przepyszna stąd rozciąga się panorama. Ale bez namiotu nocować niepodobna, bo za bardzo byłibyśmy wystawieni na wiatr.

— A gdyby przyszedł wicher halny, toby nas zmiotł jak lawinę po zboczach Giewontu, bo przychodzi zawsze z południa.

— Słyszałem o tym wicherze — powiedział sir Edward. — Czy istotnie taki straszny?

— Kto go nie spotkał, nie może mieć o nim wyobrażenia — dodał Witold.

— Dlaczego Wierchy te nazywają się Czerwone?

— Przyczyną tej nazwy są trawy, porastające szczyty, i czerwieniące się w miarę postępowania lata.

Gdy baronet mówił o noclegu, przyjaciele porozumieli się oczyma, które mówiły: A to niespożyty starzec! Przeszedł Kraków, co w jego wieku równa się przejściu Alp przez Napoleona i nie tęskni do wygodnego łóżka!

Z miejsca, na którym obozowali, najpierw od wschodu wpada w oczy imponujący szczyt owego złotodajnego Kry-

wania, który rozpoczyna szereg dziko potarganych grzbiętów Wysokich Tatr. Przewodnik nazywał pokolei wszystkie szczyty i pokazawszy długą i śnieżystą smugę obok Mięszowieckiego Wierchu, rzekł:

— Tam są Rysy, a pod nimi Morskie Oko.

— A nad nimi piętrzy się Garłuch, król Tatr — dodał doktor — skąd widzieć można czterdzieści stawów i powtórzmy wiersz Deotymy:

„Gra w pozłocie zielonawej  
Roztoczony wachlarz gór;  
Błękitnieją na nim stawy,  
Niby oczy pawich piór“.

— A oto Murań i Hawrań z Kobylim Wierchem, w którym są groty Bialskie — dodał profesor.

— Te, o których pan Jakób mówił, że w nich są takie cuda — rzekł Henryk. — Ale skąd pan wie, skoro pan tu jest pierwszy raz?

— Rozpatrzyłem się na mapie, żeby się móc orjentować, w razie gdybym się zbłąkał.

— Jacy ci uczeni są przewidujący! — żartował Witold.

— A tu Świnica — mówił dalej przewodnik z wyciągniętym ramieniem ku górcom — i potargane grzbiety Granatów; z poza nich wyziera Lodowy szczyt.

— A co to za przełęcz od południa, poza którą widać odrębne pasmo gór?

— To są Niżne Tatry.

— A tu na zachód za Czerwonemi Wirchami, co to za góra, co nam zasłania dalszy widnokrąg?

— To jest Krzesanica, najwyższy z Czerwonych Wierchów, których jest trzy. Kto zechce puścić się na niego, co najwyżej 25 minut zajmie, temu odchyła się widok na zachodnie krańce Tatr, na ciągnący się u stóp łańcuch gór nieprzerwany, którym przejść można wzdłuż, aż pod Osobitą — objaśniał Jakób.

Baronet wyjął z futerału lunetę, zawieszoną na pasku



rzemiennym, i nastawiwszy ją, rozglądał się dokoła. Gdy zwrócił się na północ twarzą do Giewontu, gdzie rozwijał się jak na dłoni widok na całe Podhale, a za niem na Beskidy, malarz zwrócił mu uwagę na pewien drobny punkt i powiedział, że to jest Kraków, już nie ten fantastyczny z kamienia, ale prawdziwy — i że przy dniu pogodnym i czystym powietrzu, dojrzeć go można.

Anglik długo patrzył i potwierdził, że widzi grupę punktów, ale nic więcej; potem gdy zwrócili lunetę na południe, Witold dodał, wskazując na obszary Liptowa.

— Górale nasi w swych zagonach po obszarze Tatr, spotykali się od zachodu z Orawcami, od południa z Liptakami, a od wschodu ze Spiżakami. Siedząc na pograniczu, wyrobili sobie wcześniej pojęcie swej odrębności narodowej, zacieśnionej do obszaru Podhala, siebie tylko uważając za Polaków. Lud polski w dolinach, to już nie Polacy: to Lachy! Były to zatem, jakby oddzielne narodki walczące z sobą, a że takie sąsiedztwo rzadko prowadzi do zgody, więc też na granicach wirchów granicznych wrzała plemienna nienawiść. Z Liptakami mieli oni krwawe rachunki, to o zwierzynę, to o wzajemne napady na szałas pasterskie i zwali ich „Żli ptacy“. Doktor Chałubiński w jakiejś książce o Węgrach wyczytał następującą legendę:

„Onego czasu Liptacy oddawali się zbójctwu, kradzieżom i wszelkim najgorszym zbrodniom. Stali się oni najnieznośniejszymi dla swych sąsiadów, którzy nazywali ich „Żli ptacy“. Liptacy, rozgniewani i znudzeni tem przewiśkiem, postanowili prosić króla Atyllę, aby ich od niego uwolnił, nadając inne miano. Wyprawili tedy dwóch posłów do niego, dołączając wielki kosz jaj, bo Atylla bardzo jajecznicę lubił. Jeden z posłów miał powitać króla, mówiąc: „Wielki królu Atyllo“, a drugi miał dodać: „Niech cię Bóg błogosławi“. Po tem powitaniu miało nastąpić ofiarowanie jaj, oraz przedstawienie samej prośby o zamianę nazwiska. Kosz był ciężki i posłowie naprzemian nieśli go na głowie.

Nareszcie przybyli oni do rezydencji króla, który siedział w dolnej izbie, a próg tej izby był bardzo wysoki. Posłaniec, będący bez ciężaru, wszedł pierwszy, skłonił się królowi i rzekł: „Wielki królu Atyllo!“ — lecz drugi, dźwigający na głowie kosz z jajami, progu nie spostrzegł, potknął się i jaja rozsypał, a widząc je pośluzzone, wykrzyknął z gniewem: „Niech cię djabli porwą!“ Król Atylla, biorąc ten wykrzyk do siebie, wpadł w gniew, nie chciał prośby wysłuchać i rozkazał, żeby nazwa „Żli ptacy“ na wszystkie wieki pozostała“.

Opowiadanie to rozweseliło wszystkich: śmieli się z niefortunnej przygody posłów, zapomniawszy o trudach przejścia przez szczelinę Krakowa. Widok gromadki turystów zwabił młodego juhasa, pasącego owce w pobliżu. Biegł w podskokach, hukając i przysiadłszy się do górali, wdał się z nimi w rozmowę.

Za opaską kapelusza zatkniętą miał gałązkę różanego kwiecia, przy którym były ciemne połyskujące liście. Doktor, jak tylko spostrzegł gałązkę, zawołał do siebie chłopaka, a wzięwszy od niego kapelusz, wyjął ją, przypatrzył się z nieukrywanem zdziwieniem i ją dopytywał chłopca, gdzie ją zerwał. Odpowiedział, że rośnie tego jeden krzak na Giewoncie. Wszyscy zaciekawieni zachowaniem się doktora, chcieli gałązkę obejrzeć, a baronet, rzuciwszy na nią okiem, rzekł:

— Rododendron.

— Tak, *Rhododendron hirsutum*, czyli różanecznik szorstki, drobny krzew z rodziny wrzosowatych — potwierdził doktor — co do istnienia którego w Tatrach trwały wśród botaników długie spory. Gdy przed kilkunastu laty profesor berliński Acherson znalazł na Giewoncie jeden okaz, wszyscy byli tem ogromnie zaciekawieni. Uderzającą nawet było rzeczą, że tutaj, w krainie kosodrzewu, brakuje różaneczników, skoro w Siedmiogrodzie, na Czarnej Horze i we Wschodnich Karpatach rosną w obfitości.

— Okazało się, że to Węgierskie Towarzystwo Tatrzańskie, które bardzo się stara o przyozdobienie Tatr po swojej stronie, sprowadziło okazy różanecznika z Alp, ale te posadzone w kilku miejscach, z wyjątkiem jednego, wyginęły. Najlepszy to dowód, że klimat nie służy tej roślinie. Po naszej stronie na Giewoncie siali je prof. Wierzejski, ten sam, który pierwszy odnalazł poszukiwaną przez prof. Stranda *Branchinectę* i prof. Kulczyński. Nasz okaz pochodzi widocznie z nasion, zasianych przez nich. Nie jest więc to dziko rosnąca w Tatrach roślina, a tylko sprowadzony przez człowieka obcy przybysz, istniejący tu tylko chwilowo, aż prędzej czy później nieodpowiednie dla niego warunki egzystencji w Tatrach zabiją i te nieliczne egzemplarze, które chwilowo potrafiły się tu utrzymać<sup>1)</sup>.

Gałązka rododendronu pozostała przy doktorze, a centy przeszły z kieszeni jego do ręki chłopaka. Malarz zaczął go rozpytywać, czy nie widział gdzie róży bez kolców i opisał krzak jak mógł najdokładniej, i juhas z wielkiem wszystkim zdumieniem odpowiedział, że widział róże na niejednym miejscu w dolinie Kościeliskiej, ale nie pamiętał, czy miały kolce lub nie. Powtórzono tę relację baronetowi, który dziwił się bardzo; rozglądał się bowiem uważnie po dolinie, szukał wszędzie, gdzie tylko oczyma mógł dosięgnąć i żadnych róż nie dojrzał, a wzrok miał dobry.



Różanecznik szorstki.  
*Rhododendron hirsutum.*

<sup>1)</sup> Przewidywania doktora Jakóba zupełnie się sprawdziły i obecnie roślinki tej nigdzie niema.

— Wracać się nie będę — powiedział — może znajdę jeszcze gdzie indziej moją różę; niepodobna, żeby te rośliny w tem jednym tylko miejscu miały się osiedlić.

— A najpewniej on nie wie, czego szukamy, tak jak górale, którzy Waszej Miłości przynieśli pęki kwiatów, mających być niby ową różą, a wcale do niej niepodobnych.

— A jeżeli on jednak widział różę bez kolców — rzekł Warburton — powiedzcie mu panowie, gdzie mieszkam, niech ją tam przyniesie, a otrzyma nagrodę sówitą.

Juhas pobiegł do swoich owiec, a doktor trzymał w ręku gałązkę zamyślony, wreszcie odezwał się do reszty towarzysztwa:

— Czy panowie nie weźmiecie mi za złe, że urządzę stąd małą wycieczkę na własną rękę, i zaczekacie na mój powrót?

— Jak długo ta wycieczka potrwa? — zapytał baronet.

— Z godzinę. To dosyć dla mnie, a dla was pewnie nie zawiele po utrudzającej podróży przez Kraków. Chcę iść na Giewont.

— Czy wolno zapytać, co pana tam pociąga? Jeżeli Czerwony Wierch jest znacznie wyższy od Giewontu, to szerszego widoku nie możesz się pan spodziewać. Musi być przeto inna przyczyna.

— Widok nie będzie szerszy, ani piękniejszy, ale inny. Zgadłeś pan, że jest przyczyna. Chcę odszukać krzak różanecznika.

— A to zapalony z pana miłośnik kwiatów!... Przyjedź pan do Rochdale, pokażę ci jeden tylko kwiat, ale w tysiącnych odmianach.

— Słyszałem o pańskim *Rosarium*, opowiadał mi profesor.

— Ja pójdę z panem — zawołał Henryk, a gdy mu wszyscy odradzać zaczęli, mówiąc, że to zbyt wielki trud na jego siły, po przejściu Krakowa, odrzekł z zapalem:

— Trud, cóż to znaczy! Ale jest wielka za trud nagroda,

gdy się go pokona i dokaże tego, czego się chciało. Pragnę się oprzeć o szczyrbę Giewontu, na który patrzę codzień z Zakopanego. Nic na ziemi nie zdobywa się bez trudu, a ja lubię bardzo pokonywać trudności.

— Więc chodź — rzekł doktor.

— Moi panowie! — zawołał za nimi profesor. — Przyńcie mi, jeżeli łaska, trochę muszli: takich płaskich, okrągłych skorupek, podobnych do pieniążków.

— Muszli? — powtórzył ze zdziwieniem Warburton, sądząc, że się przesłyszał.

— Ależ tak! Czyż zapomniałeś, sir, że chodzimy po dnie przedhistorycznego morza? Tam pod Giewontem, obok Sarniej skały, dochowały się dotąd rafy koralowe: w ciemnym, wapiennym ile, znajdują się miliony muszli, znajdują się rogowce, przepełnione igłami gąbek i skorupkami radjolaryj. Dobrze przeszukawszy, znaleźćby nawet można, żyjące niegdyś na koralach, terebratule.

Sir Edward słuchał z pozornem zajęciem, a myślał widocznie o czem innem, bo patrząc za oddalającymi się, szepnął:

— Dzielny chłopiec, ten dojdzie do celu, jaki sobie zamierzy.

Pozostał także Walter, bo czuł się bardzo zmęczony; więc baronet dał mu swoją lunetę, a młodzieniec ją sobie przyglądać szczegółom rozległej panoramy. Profesor, któremu przy jego uczoneści, przychodziły czasem refleksje, że jest człowiekiem światowym, obowiązany do jakiejś uprzejmości towarzyskiej, znalazłszy się teraz prawie sam na sam z Anglikiem, bo malarz zajął się rysowaniem, rozpoczął rozmowę o jego stosunkach domowych, mianowicie o lady Chester i jej zbyt wielkiej o syna troskliwości, przeszkadzającej mu się cieszyć przyjemnościami takiej, jak ta, wycieczki. A spostrzegłszy, że baronet zsunął nieco brwi, i zgadując, że go dręczy troska o przyszły charakter chłopca pod rozmiękcującym wpływem matki, mówił dalej, że

dzieci w tym wieku, a zwłaszcza chłopcy, nie zdradzają jeszcze tego, czem będą w przyszłości; że natury, zrazu uśpione i apatyczne, budzą się potem z podwójną energją, gdy dostaną się między ruchliwych kolegów, co nastąpi, skoro baronet ma zamiar oddać Dawida do Eton, jednej z najlepszych szkół Anglii. Należy się spodziewać, że chłopiec się tam wyrobi i wyrośnie na człowieka rozumnego i pożytecznego, jakim być powinien dziedzic tak wielkiego mienia. Warburton milczał i gdyby profesor lepszym był psychologiem, odgadłby, że jest to przedmiot niemiły słuchającemu — a gdy Strand umilkł, pewien, że sprawił najlepsze wrażenie, odpowiedział zimno:

— Źle pan jesteś poinformowany, panie Strand, nie powiedziałem nigdy, że Dawid będzie po mnie dziedziczył.

Profesorowi aż okulary spadły, w takie zdumienie wprawiły go te wyrazy. Cóż więc ten dziwny, zagadkowy człowiek zamierza zrobić ze swoją olbrzymią fortuną? Jakie zamiary, jakie cele leżą w jego planach? Spojrzał na Waltera, ale nie zauważył żadnego zdziwienia na twarzy młodzieńca. Zsuwał i rozsuwał spokojnie szkła lunety, chociaż przybladł nieco.

— Ten musi się czegoś domyślać — powiedział sobie — ale co mi tam! Widzę, że lepiej było nie poruszać tego przedmiotu. Popęliłem niezręczność. Nie jestem człowiekiem światowym!

I przerzucił się na inne pole, po którym stąpał pewniejszym krokiem. Zaczął mówić o epoce powstania Tatr.

Warburton nie słuchał tych uczonych wywodów, myślał on o tym, którego wszyscy mieli za domyślnego następcę majoratu i wielkiego mienia. Ale w co się obróci owa olbrzymia fortuna, zbierana długie lata, w co założone przez niego instytucje, zakłady przemysłowe i dobroczynne, w niedołączonych rękach? Chłopiec nie był zły z gruntu, lecz apatyczny. Profesor, widząc poważny wyraz twarzy baroneta, przekonany był, że jest słuchany z natężeniem.

— Z czego się składa oś rdzenna tych gór? — zapytał Walter, odejmując na chwilę od oczu lunetę, żeby spojrzeć na profesora.

— Główny ich grzbiet składa się z granitu, gnejsu i łupków krystalicznych.

— Widzę, że je pan znasz, jakby swój własny dom — rzekł z uśmiechem młodzieniec.

— Lepiej, mój przyjacielu — odrzekł smętnie uczony — do poznania tych gór pomogła mi znakomita monografia wiedeńskiego profesora Uhliga. Dam ją panu, jeżeli chcesz. Otóż Tatry Wschodnie czyli Wysokie, składają się przeważnie z granitu, Zachodnie z gnejsu, łupków krystalicznych, i niewielkiej ilości granitu, z dodatkiem w obu tych częściach górskich skał osadowych.

— Nasi przyjaciele idą na czworakach — odezwał się Walter, patrzący ciągle przez lunetę — wejście musi być bardzo trudne.

Czas jakiś panowało zupełne milczenie. Wszyscy trzej patrzyli na Giewont, po którego stromej wyniosłości gołem okiem nawet dobrze odróżnić było można trzy ludzkie postacie, wspinające się coraz wyżej. Białe lekkie chmurki, czołgające się niżej, przesłaniały je raz po raz. Wreszcie jedna wysunęła się naprzód, i stanąwszy na najwyższym garbie Giewontu, machać zaczęła kapeluszem w stronę pozostałych. Baronet wziął lunetę z rąk Waltera i długo patrzył, a lekki uśmiech spoczął na jego ustach.

— Mały dokazał swego — odezwał się — stanął na Giewoncie. Ma wytrwałość. Ale idzie ku nim duża chmura; nie będą nic widzieli. Spójrz, Walterze!

Młodzieniec podniósł lunetę do oczu i rzekł po chwili:

— Chmury rozdarły się: widzę ich.

I podał lunetę profesorowi, ale tego więcej interesował sam Giewont, niż podróżnicy, stojący na jego szczycie.

— Zwiedzają wielką osobliwość w tych stronach — odezwał się — szczyt Tatr wapieniowy, całkiem odmienny od

granitowych wierzchołków i samotnie stojący między niemi, niby wyspa na morzu. Pokrywa go żółty porost, w szczelinach czarny, jak zwykle na wapieniach. Stromość zadziwiająca!

— Schodzą — rzekł Walter. — Powrót pójdzie prędko.

— Ale jest trudniejszy niż wejście — powiedział baronet — po tak wyglądzonym przez lawiny wapieniu. Żeby tylko obeszło się bez wypadku!

— Mają dobrego przewodnika. Wycieczka na Giewont należy do łatwiejszych.

Wpół godziny potem wędrowcy byli zpowrotem i mieli pęki kwiatów, ale nie było między niemi róży bez kolców! Doktor opowiadał, że nie znalazł różanecznika, który musi być gdzieś niżej między turniami Giewontu, a schodzić tam nie mógł, bo na to czasu nie było — ale widział zdaleka krzak podobny do krzaka tej rośliny. Zato znalazł rzadki gatunek traganku, bardzo ładną roślinkę z błękitnymi motylkowatymi kwiatami, podobnymi do kwiatów akacji i drobniutkiemi listkami, na wspólnej osadzonemi łodydze.

Henryk dziwił się, że ten mały traganek i takie duże drzewo jak akacja, mają tak wiele wspólnego podobień-

stwa, iż botanicy do jednej zaliczają je rodziny, to jest rodziny motylkowatych. Kwiaty ich istotnie wyglądają jak motylki. On sam znalazł prześliczną ostróżkę o wielkich szafirowych kwiatach, zwaną ostróżką wyniosłą. Widział tam duże krzaki, okryte temi wspaniałemi kwiatami. Przy-



Orlik pospolity. (*Aquilegia vulgaris*), często rosnący w reglach.



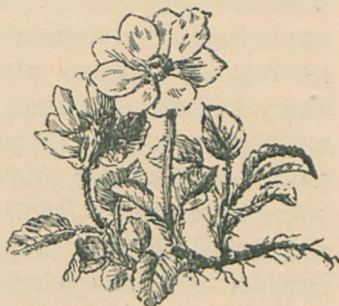
nieśli także z korzeniami jaślinek zwyczajny, wdzięczny drobny lila kwiateczek, dębik ośmiopłatkowy, piękną białą kwitnącą roślinkę, o sporych ośmio-płatkowych kwiatach i łodyżce zdrewniałej, tworzącej przylegające do ziemi darniste dywany, pokryte grubymi lśniącymi liśćmi, przypominającymi nieco kształtem liście dębu, choć wielokroć od nich mniejsze, żółty kuklik górski i piękny mak alpejski, biało kwitnący.

Baronet, patrząc, odezwał się, że wiele tych roślin widział w Kocieliskiej, co było słuszną uwagą, gdyż na wapieniach, tu czy gdzie indziej, te same spotykają się gatunki.

Obaj ze swej wycieczki bardzo byli zadowoleni. Na łączce między turniami Giewontu widzieli pasące się stadko kozic, a widok ze szczytów mieli wspaniały. U stóp, gdzieś w straszliwej głębinie, widzieli całą dolinę Strążyską, wraz ze spływającą z niższego Giewontu siklawą.

Po całodziennym wypoczynku, schodzono z Czerwonych Wierchów ścieżką przez Piekło — tak się zowie przełęcz, zasypana olbrzymimi rumowiskami kamieni — aż napotkali obszerną polanę, otoczoną zewsząd trawiami górskimi. Była to hala Kondratowa z licznymi szałasami krowimi i owczymi. Tam wypili po szklance mleka słodkiego, i po krótkim spoczynku ruszyli do Kalatówek, gdzie przewodnicy chcieli im pokazać Wywierzyska Bystrej. Baronet prosił doktora, aby zapytał juhasów o różę bez kolców i ku zdumieniu swojemu dowiedział się, że rośnie pod Giewontem. Więc znów powiedział, gdzie mieszka i obiecał nagrodę za dostarczony sobie krzak z korzeniem.

— Dziwna rzecz — mówił — jestem blisko tego, czego



Dębik ośmiopłatkowy.  
*Dryas octopetala.*

szukam i spotkać go nie mogę. Gdybym był przesądnym, powiedziałbym, że to fatalizm!

— Co to są Wywierzyska, panie Jakóbie? — zapytał Henryk. — Pierwszy raz słyszę tę nazwę.

— Jest to gwałtowne wydobywanie się wód podziemnych nawierzchni. Wody deszczowe, zwilżające tak obficie powierzchnię gór tutejszych, dostają się bezustannie do wnętrza ziemi. Przedarłszy się szybko pomiędzy mchy leśne i trawy zaścielające ziemię, torują sobie drogę przez pokłady żwirów i kamieni, a natrafiwszy prędzej lub później na litą skałę, ściekają po niej, jako tak zwana woda gruntowa, przebywając nieraz znaczne przestrzenie pod powierzchnią ziemi. Jeżeli uda im się przełamać zapory, powstrzymujące je w biegu, wydobywają się nagle, niespodzianie, na powierzchnię ziemi. Taki jest początek źródła Lodowego w Kościeliskiej dolinie, taki Wywierzysk Bystrej na Kalatówkach, dokąd idziemy.

— A gdzie jest jego początek?

— Tu w Kondratowej, w Suchej Dolinie.

— Ależ tutaj niema żadnych potoków!

— Widocznych niema, ale są ukryte. Górale, przyłożywszy ucho do ziemi, słyszą łoskot podziemnych wód.

— A gdzież jest źródło Białego Dunajca? Słyszałem, że ono właśnie jest na Kalatówkach.

— Nazywano tak rzeczywiście ów wodospad, ale nazwa była błędna. Dunajec tak Biały jak Czarny, rosł z różnych drobnych strumyków rozmaicie się nazywających, i dopiero w większy strumień poniżej złączone przybierają właściwą nazwę. Biały Dunajec powstaje dalej z połączenia tejże Bystrzycy z innymi potokami. Z Czarnym Dunajcem łączy się pod Nowym Targiem i ubiegłszy mil 34, pod miastem Nowym Korczynem wpada do Wisły, która go z sobą do morza zabiera.

— Piękną i malowniczą jest gwara podhalska — odezwał się Witold. — Wyrażenia takie naprzykład jak „Wy-

wierzyska“, „Sikława“, „Wodogrzmoty“, są tak charakterystyczne, tak wybornie malują rzecz, że niczem innym nie dadzą się zastąpić! W tych dniach zebrałem wiązkę bardzo trafnych wyrażen: nieużytki rolne, to „pustacie“; konfesjonał to „słuchanica“; skrzynia gospodarska z przegrodami, to „safarnia“; drzewo zbutwiałe, to „tlarka“ i słusznie, bo się zetliło. Wszystko wyrazy piękne i czysto polskie.

— A co! Zaczynasz się pan przekonywać do góralskiej mowy, a niedawno jeszcze na Starej Polanie, śmiałeś się z mego zapału, gdym mówił, że naszemu językowi wyszłoby na lepsze, gdyby czerpać zaczął ze źródeł górskich, a otrząsnął się z obcych naleciałości, psujących jego właściwy charakter. Doktor Matlakowski idzie dalej odemnie: mówi, że „góral jest taki stylistą, iż nie można go słuchać spokojnie, tyle uczucia, wyrazu lub grozy kładzie w opowiadanie“. Sabała z Chałubińskim do dnia raz na Koperszadach szlakowali niedźwiedzia: „Pożrem — mówił Sabała — coś się na piargu jarzębaci. Mój dziadek, jak nas uźrał, dalej uciekać. Wpadł w kosówkę, która mu się z pół godziny kłaniała, tak ją rozruszał“. Czy to nie jest obrazowe?

— Prawda: widzi się tego niedźwiedzia!

— Kozice choć góral widuje nieraz, nigdy tego wdzięcznego stworzenia napatrzyć się nie może. „Wyszła — mówi — stara i dwie młode cisawiułtkie, takie pikne, co cud! A stają, a nóżkami wyży oprą się na skole, a spojierają, a pasą się, zaś hukają, bodą się, ty młode kozicki!“ Czy to także nie obrazowe? Jaka plastyka, a jak prostymi osiągnięta środkami!

— O, bo też pan ze szczególną wpatrujesz się w to miłością — rzekł Witold, a Henryk odezwał się:

— Gdy byliśmy z panem Jakóbem na Giewoncie, przewodnik nasz powiedział: „Gdy tak stoję na wirchu, a słońce świeci, to mi świat kwitnie!“

Na polanę, zwaną Kalatówkami, szli przez las i bujne, barwnem kwieciami błyszczące trawy. Tu posłyszeli nad-

zwyczajny szum i łoskot, i szli w kierunku tego szumu drożyną, wiodącą nad przepaścią; wkrótce ujrzeni zgóry olbrzymi strumień wody, wybuchający z pomiędzy kamieni, porośłych bujną zielonością, który rozbijając się o zawadzające mu głazy, szumi, huczy, wre i pieni się, zanim spłynie w potok i popędzi doliną. Aby się lepiej przypatrzeć temu ciekawemu zjawisku, zeszli na dół, skąd Wywierzyńska przedstawiała im się w całej okazałości. Wspaniale wyglądała ta biała jak śnieg piana, przy ciemnej zieloności świerków, zwieszających się z wysokości skał okolicznych. Szum był taki, że stojący u stóp wodospadu nie słyszeli własnego głosu, a na twarzach czuli chłodny powiew od silnego prądu wody.

Malarz patrzył na wspaniałe widowisko okiem artysty, profesor okiem geologa i uczonego; interesowała go zwłaszcza masa wielkich głazów, które zawałały znaczną przestrzeń, jakby olbrzymie rumowisko. Henryk był zachwycony, bo jeszcze nigdy w życiu nie widział wodospadu, a sir Warburton, który już wiele widział, podziwiał bogactwo wytryskającej wody. Na to odezwał się profesor, odprowadziwszy go trochę na bok, gdzie huk był mniejszy, że Tatry właściwe odznaczają się nadzwyczajnem bogactwem wód i że niema z pewnością nietylko w całym systemie Karpat, ale wogóle między górami środkowej Europy drugiego pasma, któreby im pod tym względem dorównywało. Oprócz wartkich potoków, wijących się pośród zielonych łąk środkiem dolin, wydobywają się tu ze skalistych szczelin, lub z wałów kamiennych olbrzymie zasoby wody, tworząc źródła tak potężne, że każde z nich mogłoby dać początek wielkiej rzece.

Baronet usiadł na jednym z bliskich głazów i wyjąwszy z kieszeni składaną srebrną szklaneczkę, zaczerpnął wody, ale nie mógł jej pić samej: była zbyt zimna. Miała tylko trzy stopnie ciepłoty. Zawołał więc na Jerrego o wino, i dolał go do wody.

Słońce zachodzące barwiło szczyty na wszystkie odcienie fioletu, bramując ich zarysy złotem, a w rozpylonej mgłę wodospadu i jego kryształach grało siedm kolorów. Każda kropla wydawała oddzielny blask łamiącego się światła, a wszystkie razem układały się w tęczę.

— Witaliśmy dzień pod trzema łukami tęcz, i żegnamy go tęczą, kładącą się u stóp naszych — przemówił baronet — spędziliśmy razem dwa piękne dni i dzięki panom dowiedziałem się niejednej rzeczy, której istnienia nie przeczuwałem, i zobaczyłem niejedną piękność, którejbym sam był nie dojrzał. Nie znalazłem wprawdzie róży bez kolców, ale mam nadzieję, że ją jeszcze spotkam na mej drodze. Dobrze nam było razem i spodziewam się, że się jeszcze spotkamy. A teraz wracajmy, bo czas na nas; chciałbym być w domu przed nocą.

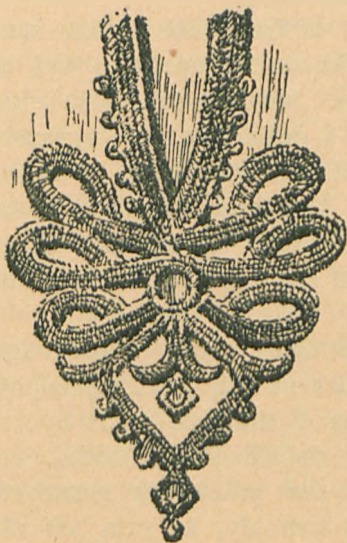
Wozy czekały w Kuźnicach i tam nastąpiło rozstanie.

Powrót Henryka do Zakopanego był prawdziwym wjazdem triumfalnym. Jechał wprawdzie skromnie na wózku wraz z malarzem i doktorem, ale wyprzedził go wóz przybrany jedliną, z niedźwiedziem, którego skórę juhasom przyszło na myśl wypchać sianem i zaszyć, aby udawał żywego. Niedźwiedziowi temu zlatywali się wszyscy przypatrywać, a sława młodego bohatera rozbrzmiewała w całym Zakopanem.

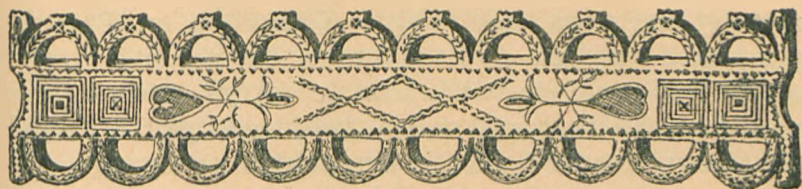
Z nic nie znaczącej osoby urósł nagle na osobistość rozgłośną, a Ślimak nawet, puszczając poważnie dym z fajeczki, wyraził się o nim, że wart być zbójnikiem. Przygody Henryka w dolinie Kościeliskiej, przechodząc z ust do ust, urosły do tak potężnych rozmiarów, i tak przeobrażone do niego wracały, że sam ich nie poznawał. Babunia Kasia dumną była ze swego wnuka; siadła zaraz pisać list do ojca i nie pominęła szczegółu o przyjaźni z angielskim magnatem — a Marysia, która bardzo kochała braciszka, zapomniała na całą godzinę o swoich królikach. Ścisnęła go, całowała i mówiła, że jest najmędr-

szym, najpiękniejszym rycerzem i że warto o nim książkę napisać. Henryk syt sławy zamiast spocząć na laurach, puścił się w taniec góralski po pokoju, jakby nie czuł strudzenia, i przebierając nogami na jednym miejscu, spoglądał figlarnie na siostrzyczkę i śpiewał piosenkę, słyszaną od jednego z górali:

„Bodaj ty dziewczyno maliniaka zjadła,  
Coś ty Janickowi do serduszka wpadła,  
Chyba cię dziewczyno djabli malowali,  
Że do twoich liczek takiej krasy dali.  
— Ej dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,  
Bo do moich liczek takiej krasy trzeba“.



Parzenica.



#### XIV.

### NITKA ZERWANA.

*Cierpi człowiek, bo sobie sam służy za kąt:  
Sam sobie robi koto i sam się w nie wplata.*

*Mickiewicz: Myśli i zdania.*

Inaczej było na Starej Polanie, nie tak wesoło: snąć dobry humor nie zawsze idzie w parze z bogactwem.

Skromny domek Parzonki tak pięknie został urządzony, że samego gospodarza przejmował podziwem i zazdrością. Piękność ta bowiem była czysto miejscowa, góralska. Sir Warburton, wielki piękna wszelkiego wielbiciel, tak sobie upodobał styl zakopiański, którego próbki widział w starych, poczerniałych sprzętach swego gazdy, że i własne mieszkanie zapragnął w podobne zaopatrzyć. Wieść o tych wyrobach doszła już do niego do Anglii, za pośrednictwem organu dworskiego „The Queen. The ladys News papers and court Chronicle“. Pismo to zachęcało współpracowników do sprowadzania wzorów mebli zakopiańskich i rozpowszechniania wśród licznych szkół wiejskich, zostających pod opieką pań angielskich. Potem inne jeszcze angielskie gazety powtarzały gorące pochwały, za wiedeńską „Die Presse“, której sprawozdawca z okazji Wystawy Jubileuszowej 1889 r. wyraził się, że „czynią takie wrażenie, jakby do salonu pełnego fraków i mundurów, wszedł ktoś strojny w malownicze staropolskie szaty“. A już gdy cesarz Franciszek Józef, oglądający Wystawę, wyraził głośno swój

zachwył nad niemi; gdy minister Gautsch z hr. Badenim przyjechali umyślnie do Zakopanego, dla zbadania rzeczy u źródła — stało się wiadomem, że odkryto nową krynicę piękna oryginalnego, pod nazwą „polskiego stylu“, a wszystkie pierwszorzędne ilustracje europejskie na wyścigi podawały podobizny tych mebli. Pojawiły się zamówienia z obcych, dalekich stron, a wślad za niemi i rzeźbiarze zakopiańscy rozeszli się po świecie, osiedlając się w Budapeszcie, w Londynie, w New-Yorku.

Ale słyszeć lub czytać o czemś, a widzieć na własne oczy, to jeszcze nie to samo. Sir Edwardowi podobał się niezmiernie styl ten oryginalny, prostemi środkami artystyczne wywołujący efekty: ta lekka płaskorzeźba na gładkiem tle, napuszczaniem farbą czerwoną, niebieską i czarną. Dyrektor Muzeum przemysłowego w Wiedniu, Folke, niepopolity znawca sztuki, upatrywał w tem podobieństwo do gotyku — ale Warburton miał własny swój sąd o tem — i twierdził, że to jest styl odrębny, niepodobny do żadnych innych.

Dowiedziawszy się, że szkoła snycerska w Zakopanem wyrabia podług dawnych, starych modeli sprzęty, zastosowane do potrzeb ludzi cywilizowanych, i tworzy z motywów miejscowych bardzo szczęśliwe, artystyczną wartość mające kombinacje, sir Edward udał się tam zaraz. Znalazł trzy gotowe garnitury: umeblowanie sypialni, jadalni, gabinetu do pracy, i tak się zapalił do tego stylu, w niczem nie przypominającego banalnych, do zbytku już znanych produkcji szwajcarskich i tyrolskich, że zakupił wszystko, co było, wydawszy na to ogromną sumę dwustu funtów szterlingów. Sprzęty te, przeznaczone do jego zameczku myśliwskiego w Szkocji, tymczasem służyć miały ku wygodzie właściciela przez cały czas pobytu jego w Zakopanem.

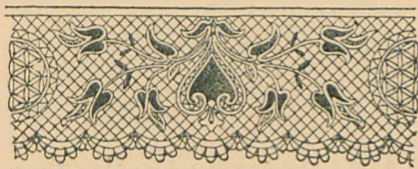
W domu Parzonki były cztery izby przedzielone sienią — po dwie z każdej strony: na prawo znajdowała się sypial-



nia milady i pokój jadalny, na lewo mieścił się sir Edward, oraz Walter z Dawidem.

Trzy zatem izby, to jest sypialnia lady, pokój jadalny i gabinet baroneta, umeblowane zostały świeżo zakupionymi sprzętami z jasnego bukowego drzewa. Na szafach, łózkach, krzesłach, znajdowały się rzeźby oryginalne, wizerunki kwiatów, słońc, gadów, napuszczane farbą w nacięciach, lub kolorowem drzewem wykładane. Było nawet biurko dla sir Edwarda

i toaleta dla milady — choć górale biurek ani toalet nigdy nie używali; ale lustro umieszczono w ramie, naśladującej stare od drzwi, a biurko było z szafkami, zamykanemi



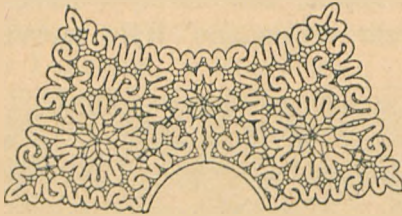
Koronka z liljami.

na misterne zasuwę. Każdy miejscowy góral mógł je uznać za swoje, bo nie wychodziły z zakresu typowości. A już co kredens, biblioteka, skrzynie i półki wszelkiego rodzaju, te były prawdziwemi arcydziełami dobrego smaku i oryginalności form. To też gazda, choć rad takiemu ozdobieniu wnętrza swego domu, choć z dumą na nie patrzył, ale myślał zarazem z żalem, że to wszystko wraz z gośćmi zamorskiemi wyjedzie daleko za morze.

Podłogi pokryły częściowo kołomyjskie kilimki, których dużo do Zakopanego zwieziono, i które goście chętnie kupowali — słowem wnętrze mieszkania Anglików przedstawiało się bardzo ozdobnie i barwnie.

Lady Chester nie tak zapalona do okazów sztuki góralskiej, znalazła jednak też coś i dla siebie w Zakopanem, mianowicie w szkole koronkarskiej, którą raczyła zwiedzić. Odkryła tam doskonałe, niczem nie ustępujące oryginałom kopje starych niemieckich i brukselskich koronek, włoskich *reticello*, a co najważniejsza, wspaniałe wielkiej delikatności koronki stylowe, w których do form staroświeckich zasto-

sowano umiejętnie w rysunku motywy miejscowe. Wachlarze z szarotkami, rozpiętymi na pajęczej delikatności tle; gipiurowa kapa na łóżko w stylu czysto zakopiańskim, gdzie lilje Martago i niezapominajki tak były misternie splecione, że zachwyciłyby największego znawcę; koronkowy serdak,



Część kołnierza koronkowego z szarotkami.

który nawet na przyjęcie u dworu włożyć było można — były to rzeczy nowe, oryginalne, jakich nie posiadały najbogatsze lady Wielkiej Brytanji. Milady oglądała je już na wystawie w Glasgowie, gdzie staraniem pań: Giełgudowej i Jazdowskiej, wystawione zostały jako

wyrób polski. Wszystko, co było piękniejszego, zakupiono wtedy dla księżnej Walji i dla Muzeum Brytyjskiego, a te, które teraz szkoła wyrabiała, przewyższały stokroć tamte i królowa nawet nie pogardziłaby nimi.

Od tego czasu szkoła koronkarska w Zakopanem brała medale i dyplomy honorowe: w Czerniowcach, Krakowie, Wiedniu, i rozszerzyła zakres swoich wyrobów. Teraz oprócz zakopiańskich, były tam koronki irlandzkie, stare weneckie, *duchesse*, po 30 zł. za metr. Milady znała się na tych rzeczach, i oglądała je z prawdziwym amatorstwem. Gdy zaś dowiedziała się, że dla hr. Potockiej szkoła dostarczyła koronek do całej wyprawy, i że te koronki wzbudziły podziw krawców paryskich, zachwyty jej doszedł do najwyższego stopnia — była bowiem czystej krwi paryżanką.

To odkrycie poprawiło bardzo humor wielkiej pani; przyznała, że warto było tu przyjechać i kupiła koronek za pięćdziesiąt funtów szterlingów. Przytem wynalazła sobie zajęcie. Przypatrując się w szkole robocie dziewcząt góralskich, powiedziała sobie, że to będzie wyborny sposób za-

bijania czasu i zażądała lekcji od pani Neužilowej, dyrektorki zakładu. Arystokratyczna uczenica okazała się nad wszelkie spodziewanie pojętną — i po kilku lekcjach zrozumiała główne zasady tej roboty. Z zadowoleniem wkładała szpilki w poduszkę i przekładała na krzyż kołeczki z ponawianemi na nie nićmi.

Było to już koło godziny dziesiątej z rana: zapowiadał się dzień pogodny, a po czystym błękitie lekkie obłoczki przesuwwały się zwolna i poważnie. Z ganku, na którym siedziała lady Chester, piękny odsłaniał się widok na Zakopane, na kamieniste brzegi strumienia i gromady świerków, z pomiędzy których wyglądały dachy domków licznie tam osiadłych gości. Nad tem wszystkim górowały wzgórza Antałówki i szczyty dalekie Murania i Hawrania, świecące białemi płatami śniegu.

Lady na krajobraz najmniejszej nie zwracała uwagi, ani na kwiaty, stojące w wazonie na stole, choć między niemi były storczyki blado-niebieskawe, prześlicznie pachnące, były szarotki, delikatne złociste balsaminy i jedwabiste sitniki, na moczarach zrywane — wszystko na podkładzie z najdelikatniejszych paproci, zwanych włosami Wenery *Adiantum capillus Veneris*. Lud góralski zowie je: „Matki Boskiej włoski“. Całą jej uwagę zdawała się pochłaniać leżąca przed nią podłużna walcowata poduszka, gdzie setki poutykanych szpilek stały w wojskowym ordynku, przytrzymując nici, krzyżujące się na wszystkie strony. Kawalek ćwierćmetrowej koronki zwieszał się z owej poduszki, dzieło rąk własnych milady, a białe, pierścionkami ozdobione ręce, były w ustawicznym ruchu, przerzucając kołeczki w różne strony. Ktoby jednak znał bliżej tę panią, ten na nią dziś spojrzawszy, zauważyłby, że jest jeszcze coś innego, zajmującego ją więcej, niż robota. Zauważyła to już Fanny, siedząca na progu i zajęta garniowaniem czepeczka dla milady.

Ta, lub tamta ręka zatrzymywała się chwilami w powietrzu, wzrok milady spoczywał nieruchomo na jakimś

przedmiocie, ale znać było, że nie widzi tego, na co patrzy — a na twarzy żywsze niż zwykle miała rumieńce, choć był to może refleks od różowego satynkowego szlafrocza, suto ozdobionego wstążkami i koronkami. Z tych szczegółów ubrania, z tego zamięłowania do falbanek i wstążek, widać było, że lady Chester nie jest rodowitą Angielką. Angielki lubią prostotę.

Obok wazonika z kwiatami, leżał „Times“, świeży numer „Graphica“ i złoty malutki zegarek z brylantowym monogramem. Lady, spojrzawszy na cyferblat, zadzwoniła, a gdy się zjawił służący, spytała:

— Czy sir Warburton już się przebudził?

— Tak jest, milady, w tej chwili podałem Jego Miłości herbatę.

— A pan Walter?

— Pan Walter wstał o siódmej i przekłada bibułą rośliny, przyniesione z wycieczki.

— Proś pana Waltera!

Wkrótce na ganku ukazał się znajomy nam młodzieniec i złożył milady ukłon, w którym widać było uprzejmość człowieka dobrze wychowanego i uszanowanie, bez cienia uniżoności. Ukłon jego natomiast, skierowany w stronę młodej dziewczyny, miał cechę wyraźnej życzliwości.

— Dzień dobry, panie Walterze — rzekła pani z lekkim skinieniem głowy — siadajże i opowiedz mi o waszej dwudniowej wycieczce. Wczoraj już byłam w łóżku, gdy wróciliście i nic nie wiem, jak wam się powiodło, a jestem niesłychanie ciekawa szczegółów. Przedewszystkiem, jak zdrowie sir Edwarda?

— Bardzo dobre.

— A czy znaleźliście różę bez kolców?

— Dotąd nie; ale sir Edward ma wszelką nadzieję, że ją znajdzie.

— O, nie wątpię — odrzekła tonem źle zamaskowanej ironji. — Gdy się jedzie czegoś szukać z jednego końca

Europy na drugi, powinno się znaleźć, pod groźbą narażenia się na śmieszność!

— „Szukajcie, a znajdziecie“ mówi Pismo Święte — odrzekł młodzieniec, udając, że tej ironji nie spostrzega. — W szukaniu potrzebna jest wytrwałość, a sir Edward dużo jej posiada. Nasi też towarzysze dali nam ważne wskazówki, których trzymając się, znajdziemy różę z pewnością. Zresztą baronet oświadczył, że będzie jej szukał aż do skutku.

— A to wiesz! — odrzekła ze słodko-kwaśnym uśmiechem. — Tym sposobem przyjdzie nam zabawić do jesieni w tej krainie deszczów.

— Sądzę, że trochę krócej, milady. Sir Warburton pragnie mieć różę w kwiecie, a ona już w lipcu przekwita.

— To bardzo szczęśliwie — dodała. — Ale, ale, panie Walterze, Jerry całą historję opowiedział Fanny o niedźwiedziu: chciał mnie objaśnić, ile jest w tem prawdy.

Młodzieniec opowiedział treściwie całe dzieje wycieczki: nocleg w jaskini, przygodę z niedźwiedziem — odmalował wiernie sympatyczną postać polskiego chłopca, jego odwagę, skromne zachowanie się, prostotę i pobożność; wreszcie skwapliwość, z jaką pośpieszył sprostować ogólne wyobrażenie o swoim bohaterstwie, sprowadzając je do rozmiarów prostego przypadku. Lady słuchała, przygryzając wargi, a ręce jej, przerzucając kołeczki, zatrzymywały się często w powietrzu. Gdy skończył opowiadanie, przemówiła głosem ostrym jak stal:

— Wszystko to naturalnie musiało wzruszyć szlachetne serce sir Edwarda.

I podniósłszy oczy z nad roboty, utkwiała badawcze spojrzenie w młodzieńcu z wyrazem takiego oczekiwania, jakby pochłonać chciała wyrazy, mające wyjść z jego ust.

— Nie dostrzegłem tego; sir Edward zresztą rzadko kiedy ujawnia swoje uczucia. Zauważyłem jednak, że odwaga chłopca i jego wytrwałość na trudy, zrobiły na nim bardzo dobre wrażenie. Z tej okazji nawet mówił ze mną o Dawidzie.

— Aa! Dowód to wielkiej dobroci z jego strony. I cóż takiego był łaskaw mówić, jeżeli wiedzieć można?

Młodzieniec odczuł głębokość ironji; o ile kochał sir Edwarda, o tyle nie lubił jego synowej. To też odpowiedział z całą szczerością:

— Sir Warburton ubolewał, że Davy nie ma dotąd żadnych cech prawdziwego Anglika i mężczyzny, nie pociąga go bowiem żaden sport; że lubi za bardzo wygodne życie, osłabiające ducha i ciało. Wkońcu dodał, że to nie jego jest winą.

— Aa!

— Zapytał mnie wreszcie, co Dawid zrobiłby, znalazłszy się na miejscu owego Polaka, w cztery oczy z niedźwiedziem.

— A pan co odpowiedziałeś?

— Nie odpowiedziałem wcale; milczałem, ale on dodał, że Davy najpewniej schowałby się w najciaśniejszy kąt.

Lady Chester tak gwałtownie szarpnęła kołeczkiem, że aż nić się zerwała.

— O tak! — zawołała. — Sir Edward nie lubi mojego syna, i zawsze sobie coś do niego upatrzy; zawsze go łaje, więc chłopiec na sam jego widok traci wszelką śmiałość i przytomność umysłu! W obecności dziadka jest niezgrabny i wydaje się jak najgorzej. Baronet nie chce zrozumieć, że Davy jest bardzo wątpliwy, że go trzeba oszczędzać! Mój drogi, biedny chłopczyna! Czy pan uważasz, jaki on mizerny?

Walter miał dobre serce. Odczuwszy boleść w głosie kobiety, zmiękł.

— Milady — rzekł — chciej mi pani wierzyć, że gdyby Davy mniej był oszczędzany, byłby silniejszy i zdrowszy. Tego samego zdania jest młody doktor polski, w którego towarzystwie odbyliśmy wycieczkę. Niech mu pani każe rano wstawać i dużo chodzić, a nabierze apetytu, lepszej cery i pozbędzie się ociężałości. Ja to już pani oddawna powtarzam, i baronet jest tego samego zdania. Sir War-

burton projektuje kilkodniową wycieczkę w góry. Jeżeli zechce zabrać Dawida, niech mu się pani nie sprzeciwia, dla dobra syna!

Lady Chester słuchała tych słów w zamyśleniu: ważyła w głowie różne za i przeciw. Widocznem było, że myśl jej pracowała, i że pragnęła coś zrobić w duchu życzeń baroneta; trudno jej było jednak rozstać się z dotychczasowemi pojęciami. Fanny zaś, pochylając się nieco w stronę Waltera, spytała zcicha:

— Czy nie znaleźliście panowie przypadkiem w grocie mojej wstążki?

— Wstążki pani? — zapytał zdziwiony młodzieniec. — Alboż panie zwiedzałyście grotę Błędną, czyli Mylną?

— Dla milady nie przedstawiało to żadnego interesu, więc pozostała w schronisku, ale ja sama zwiedziłam ją z przewodnikiem i nie wiem, gdzie zgubiłam moją błękitną wstążkę.

— Czy ta, którą pani miała wczoraj związaną pod szyją?

— Ta sama.

— Nie, nikt z naszego grona jej nie znalazł. Ale — dodał z uśmiechem — miejmy nadzieję, że znajdzie się jaki błędny rycerz, szczęśliwszy od nas, i złoży ją u stóp pani.

— Jeżeli pięciu błędnych rycerzy nie znalazło jej wczoraj, to już wątpię, czy ją odzyskam — odparła, uśmiechnąwszy się także.

Gdy tak rozmawiali na stronie, wszedł Davy i pocałował matkę, usiadł obok Waltera.

— Co tak blade wyglądasz? — spytała, patrząc troskliwie w twarz jedynaka. — Czy głowa cię boli?

— Nie mam, tylko źle spałem.

— Gdybyś chodził tyle co my, nie wiedziałbyś, co to bezsenność — powiedział Walter.

Jerry zaczął nakrywać do śniadania. Lady uniosła nieco swój warsztat koronkarski, gdy kładziono serwetę i umieściła go na nowo przy sobie, zajmąwszy się wiązaniem zerwanej nici,

podczas gdy Davy poziewając słuchał opowiadania o niedźwiedziu, bo przygoda ta i o jego obita się uszy. Przy niesiono jajka, szynkę, herbatę i cienkie plasterki słoniny, smażone na patelni — ulubiony przysmak Anglików. Mleko podano w stylowym dzbanku góralskim, a chleb i bułki na talerzach z drzewa bukowego, prześlicznie rzeźbionych. Wkrótce potem zjawili się sir Edward już ubrany, w serdaku, w którym mu było bardzo do twarzy. Wyglądał jak odmłodzony.

Podał rękę lady, która podniosła się na powitanie, spojrzął na Dawida z roztargnieniem i skinąwszy głową uprzejmie Fanny i Walterowi, zapytał młodzieńca, czy już uporządkował jego zbiory botaniczne. Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, oświadczył, że po kilkodniowym wypoczynku zamierza urządzić dłuższą wycieczkę w góry; że zabierze z sobą namiot, hamak — aby mógł wygodnie nocować — i Jerrego, żeby pełnił obowiązki kucharza w drodze. Mówił z zapalem o piękności krajobrazów, widzianych ze szczytów i sownicie opłacającym się trudzie wchodzenia na góry. W oczach Dawida, słuchającego dziadka z zajęciem, błysnęło coś nakształt iskry, a na twarzy, coś nakształt nagle zbudzonej ochoty — ale jedno i drugie wnet zgasło, i rozlała się na niej zwykła ociężałość i znudzenie. Walter, obserwujący to, pomyślał:

— Materiał na człowieka jest i dałoby się coś z niego wykrzesać, choć z trudem wielkim, bo wierzchni pokład lenistwa i obojętności jest bardzo gruby.

Sir Edward jadł z apetytem, jakiego dawno u niego nie widziano, Walter także. Milady była bardzo zamyślona, i przez pomyłkę wlała sobie do herbaty koniaku, zamiast śmietanki.

— Czy chcesz, żebym wziął z sobą Dawida? — zapytał baronet, zwracając się nagle do synowej.

Piękna pani zmieszała się. Pytanie zaskoczyło ją niedostatecznie przygotowaną. Myśl, że jej syn przez dni kilka



będzie sypiał na ziemi, pod gołym niebem, narażony na wszelkie niewygody i niebezpieczeństwa, przerażała ją.

— Jeżeli ojciec sobie tego życzy... — odrzekła niepewnym głosem, — chociaż... obawiam się... Davy ma ciągle katary, a chłodne wieczory i zimne noce pod gołym niebem...

— Dajże mu pokój z tym katarzem! Zdaniem mojem, jeden to właśnie powód, żeby go się pozbył. Zakopane jest stacją klimatyczną i ludzie tutaj gubią swoje katary, jeżeli cały dzień spędzają na powietrzu! Ponieważ jestem opiekunem Dawida, nie mogę pozwolić na to, aby był nadal chowany jak dziewczyna. Ma już czternaście lat: to czas, żeby go uważać za chłopaka, i dziwię się nawet, że w nim samym dotąd nie obudziło się takie pragnienie; dziwię się, że znosi cierpliwie te wszystkie koronki, jedwabie i włosy trefione, w które go ubierasz. To jest poprostu śmieszne! Chłopiec jest ospały i apatyczny; chcę, żeby się rozruszał i zahartował, zanim pójdzie do Eton, bo inaczej, zostanie pośmiewiskiem kolegów.

— Rok jeszcze mógłby się w domu kształcić — szepnęła nieśmiało matka.

— Nie. Nigdy się na to nie zgodzę; byłby z niego skończony niedołęga, zdolny tylko do wygodnego, próżniaczego życia. Davy musi wziąć się gorliwie do pracy, żeby mógł potem wyrobić sobie stanowisko i stanąć o własnych siłach, nie posiada bowiem nic prócz lichego zameczku na kilkudziesięciu akrach ziemi i tytułu, który dla ubogiego szlachcica jest tylko niewygodnym ciężarem. Jeżeli nie zrozumie wcześniej swego położenia, i nie zabierze się energicznie do nauki, pozostanie mu tylko służba wojskowa, do której bynajmniej nie jest uzdolniony.

Walter, nie patrząc na lady Chester, widział jednak, że jest śmiertelnie bladą. Davy patrzył na dziadka przerażonymi oczyma, a baronet, który umyślnie wymierzył ten cios, pragnąc, aby on był zbawiennym dla matki i syna wstrząśnieniem, nalał sobie mleka i wzięwszy „Timesa“,

przeglądał obojętnie wiadomości polityczne. Głuche zapanaowało milczenie, które sir Edward przerwał znowu, podnosząc oczy z nad gazety:

— Pojutrze zatem, Dawidzie, jeżeli to będzie zgodne z wolą twojej matki, bądź gotów na wycieczkę; ale zastrzegam sobie, żebyś się ubrał przyzwoicie i przystrzygł włosy.

Byłby co może jeszcze dodał, ale przyniesiono listy, więc zaczął je przeglądać, poczem wstał i opuścił towarzystwo. Milady, która w obecności sir Edwarda wstrzymywała się od płaczu tylko siłą woli, choć usta jej mocno drżały, teraz gdy odszedł, wybuchnęła.

— To już za wiele, doprawdy! To barbarzyństwo pastwić się tak nad biednym dzieckiem, a potem grozić mu ubóstwem! To taka nagroda za moje życie w Rochdale, przy boku zgryźliwego i zrzędnego starca, narzucającego we wszystkim swoją wolę! O, gdyby mój biedny Ryszard to przewidział, on, który mnie powierzył ojcu w opiekę!... Boże! Jakiemże nieszczęściem jest brak pieniędzy! Gdybym posiadała ze sto tysięcy funtów, ani chwili dłużej nie ulegałabym jego tyranji i kaprysom. I cóż on zrobi ze swoją olbrzymią fortuną, ten stary dziwak, jeżeli nas chce wykirować na żebraków! Ale nie! — zawołała, zrywając się. — Nie, nie, to niepodobna, ja tego nie dopuszczę! On nas chciał tylko zastraszyć!

— Nie rozumiem, czego mama tak desperuje? — odezwał się Davy.

— Boś głupi! — wybuchnęła. — Jeżeli nie będziesz posłuszny dziadkowi, to cię wydziedziczy. Rozumiesz?

— Więc ja miałem dziedziczyć po nim? Nie wiedziałem. Przecież mam swój własny majątek?

Lady wzruszyła ramionami.

— Przecież ktoś po nim dziedziczyć musi — powiedziała, ubolewając w tej chwili po raz pierwszy może, nad tępością umysłu syna. — Niema innej rodziny prócz nas; jesteśmy mu najbliżsi.

Wymawiając te wyrazy, wiedziała, że ma w duszy wielką wątpliwość, chwilami zmieniającą się niemal w pewność, i przeniknął ją dreszcz trwogi. Majątek dziedziczny Dawida uszczęśliwiłby nie jednego śmiertelnika, nie mającego zbyt wygórowanych wymagań, ale dla lady Chester była to poprostu nędza. Pragnęła dla swego jedynaka milionów.

— Jeżeli nie będziesz się starał przypodobać dziadkowi, to ktoś inny, obcy, może się wkraść w jego łaskę, pamiętaj o tem!

Słaby rumieniec wybił się na twarz chłopca. Obojętność, z jaką syn słuchał namiętnej mowy matki, zniecierpliwiła ją do najwyższego stopnia.

— Rusz-że się! — zawołała. — Odezwij się, o ciebie tu idzie. Dziadek ma słuszość, mówiąc, że jesteś niedołągą! Nic cię nie obchodzi: ani los własny, ani łzy matki!

A gdy chłopcu usta zadrgały jak do płaczu, porwała go w objęcia i zaczęła namiętnie ścisnąć i całować.

— Słuchaj — mówiła, przerywając pieśczęty — zajmij się botaniką, którą dziadek tak lubi. Ty nigdy nie myślisz o tem, żeby mu zrobić przyjemność. Wiesz, że on szuka róży bez kolców! Idźże z nim na tę wycieczkę i postaraj się znaleźć ją koniecznie. Kto wie, może od tej rośliny zależy twoja przyszłość!

Tu obejrzała się trwożliwie, czy jej kto nie słyszy — ale na ganku nie było nikogo. Walter dyskretnie się wysunął, a Fanny, będącej częstym świadkiem wybuchów lady, która nie krępowała się przy niej, nie uważano za osobę.

Dawid, spojrzawszy na matkę zdziwionym wzrokiem, oddalił się. Ona zaś zabrała się na nowo do roboty i przesuwała gorączkowo kołeczki z niemi z jednej strony na drugą, ale myliła się ciągle. Do niecierpliwości też doprowadzały ją góralki ze wsi pobliskich, tak zwane „wsiówki“, przychodzące z różnemi garneczkami i koszykami. Zatrzy-

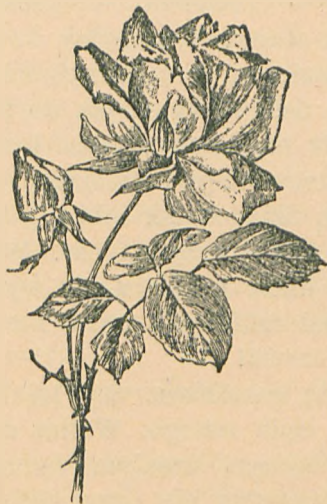
mywały się one co chwila przed gankiem i przemawiały do niej językiem, którego nie rozumiała.

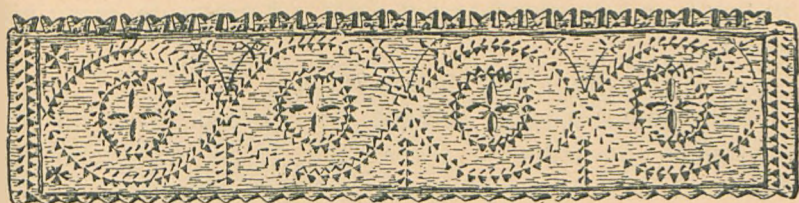
— Koutków nie kupiom?

— Jajów nie kupiom?

— Poziomki pikne, maliny, biercież, biercież, biercież!

Lady odprawiała je gniewnym gestem, ale sprzykrzyło się jej nareszcie: wsiówki ciągnęły sznurem jedna za drugą, bo to był jarmark, a że chata Parzonki stała przy drodze, więc jej nie pomijały. Lady Chester wstała zirytowana i opuściła ganek, trzasnąwszy drzwiami.





XV.

DUJAWA.

*Jakby rumak rży lawina,  
Orkan puścił cugle wód,  
Skrzącą kosą bory ścina  
Jak śmierć ludzki ścina ród*

*Deotyma: Płoska w Karpatach.*

W domku Ślimaka za to było wesoło: barometr wprawdzie stał jak zaklęty, i kapucyn ciągle kaptur ściągał do kolan, ale humory były dobre. Henryk spoczywał na laurach. Siostrzyczka uważała go za wielkiego bohatera; codzień kazała mu sobie opowiadać bajkę o niedźwiedziu, słuchała z przerażeniami oczyma, płakała nad dziećmi, które pewnie pozostawił, i uspakajała się, gdy ją zapewniano, że gdyby go braciszek nie zabił, niedźwiedź pozjadałby wszystkich podróżnych. A gdy Henryk skończył, pytała:

— A dalej co?

On sam nie wiedział, co będzie dalej, ale czuł w sobie pragnienie ruchu, marzył o nowej wycieczce, o nowej sposobności do okazania męstwa i odwagi. Gaździna spoglądała na niego z wielkim respektem, i często do niego zagadywała, wypytując o szczegóły tego ważnego wypadku. A słuchając dziesiąty raz tych samych, przerywała:

— No, no, widzicie, mądrzeście się sprawili. Fała Panu Jezusowi.

Gazda znów, flegmatycznego więcej usposobienia, nie

wyjmując z ust nieodstępnej fajki, od czasu do czasu powtarzał:

— Wiecie co, toście dobrze zrobili!

Skórę niedźwiedzia posłano do Nowego Targu do wyprawienia, bo chłopiec przeznaczył ją na podarunek dla dziadka, któremu już napisano o rycerskiej przygodzie wnuka.

Skromny domek na Krupówkach ożywił się, bo doktor często do niego zaglądał i przyprowadzał malarza, w którego towarzystwie tak upodobała staruszka, że prosiła Jakóba, aby z przyjacielem swoim jak najczęściej przychodził. Polacy zdawien dawna zwykli byli wszelkie swoje afekty łączyć z gościnnością. Kogo mile widzieli, z tym musieli koniecznie przełamać się chlebem — i troszczyli się o to, aby ten chleb przedniego był gatunku. To też gdy raz kupiono pięknych, tłustych kogutków, kazała Henrykowi napisać do obu panów list z zaproszeniem na obiad, ponieważ razem mieszkali. Chłopiec zasiadł z piórem, a panna Katarzyna powiedziała:

— Napisz, żem ich obu parę dni nie widziała, więc chcę ich dziś zobaczyć, a przypuszczam, że i oni się do nas stęsknili.

— Dobrze, babuniu.

— Że proszę, żeby zjedli z nami obiadek. Dodaj, że będzie skromny, ale postaramy się, żeby im smakował.

— Dobrze, babuniu.

— Hm, pan Jakób ma zwyczaj jadać wcześniej drugie śniadanie. Napisz jeszcze, że wymawiam sobie, aby dzisiaj śniadanie zostało wykreślone z programu, bo gospodynie nie lubią, żeby goście przychodzili najedzeni. Obiad nasz będzie gotów na pierwszą.

— Dobrze, babuniu.

— I żeby przynieśli z sobą swoje łyżki, noże i widelce, bo nam sztuców brak. Mamy tylko po trzy sztuki.

Henryk pisał, aż pióro skrzypiało po papierze, a pisząc, uśmiechał się. Wreszcie przerwawszy na chwilę, zapytał:

— Co będzie na obiad, babuniu?

— Zupa grzybowa, kurczęta pieczone ze śmietaną, jarzynka, poziomki... Ale słuchaj, powiedz Jagusi, jak pójdziesz z listem, żeby przyniosła koszyk, który pan Jakób dać nam obiecał. Czy już skończyłeś?

— Już. Chodź Maryś, przypisz się i ty.

— Nie chcę, wolę z Jagusią obiad gotować.

— Przeczytaj — rzekła panna Katarzyna.

Chłopiec położył pióro i rzuciwszy na pannę Katarzynę figlarne spojrzenie, czytać zaczął:

„Babunia wiedzom co wom się strasznie cni<sup>1)</sup> przez nik<sup>2)</sup>, temuby keieli tutok<sup>3)</sup> wos uwidzieć<sup>4)</sup>, cobymy razem zjedli se poëdnie. Bedzie wszystko masno i dobre co cud, i dość wszystkiego, coby krzywdy nie było. Już koutki siedzom w gorku; gołabki<sup>5)</sup> na polewke od wczora poëdnie sie warzom; moskol<sup>6)</sup> je w piecu od tyżnia<sup>7)</sup>, watra<sup>8)</sup> sie poli styry dwadzieścia godzin<sup>9)</sup>, grulów naskrobalim, oscypków<sup>10)</sup> i brusków<sup>11)</sup> nakupilim, masło je udeptane i cukier do poziomków wsulim do skłonki<sup>12)</sup>. A kie smakować wom nie bedzie, to wom domy habryke<sup>13)</sup> i gorzołki dość i herba<sup>14)</sup> sie też najdzie. A nie przihodzcie pryndzej, aż słońce na Giewoncie na pierwszą pokaże z poëdnie, żeby sie wszystko miało cas bars piknie uwarzyć. A przynieście swoje łyżki, widelce i noże, bo my takik ludzi nie radzi widzimy, co z gołemi rencami przydzom. Jagusie po koszyk posyłamy z gembom, bo ju nie wiemy z kielo rozumu do pisania wzięść.

P. S. Marysia nie pisze, bo ona musi w gorki patrzeć i baczyć by dużo i dobrze nagazdować i nie pióro ino warzechę w gorści trzymie“.

Panna Katarzyna bardzo się z tego listu, w narzeczu

1) Tęskno. 2) Bez niej. 3) Tutaj. 4) Zobaczyć. 5) Nazwa grzybów.

6) Placek owsiany. 7) Od tygodnia. 8) Ogień. 9) Dwadzieścia cztery.

10) Serki małe. 11) Serki duże okrągłe. 12) Do butelki. 13) Tytoń.

14) Herbata.

góraliskiem napisanego, uśmieła — ale wyraziła obawę, że goście będą się bali obiadu, złożonego z takich potraw, z których jedna gotuje się „od wczora wieczera“ a druga siedzi w „piecu od tyżnia“ — co Henryś skomponował gwoli większego nagromadzenia charakterystycznych wyrażenń góraliskich. Przytem pan Witold może się za zbytnią poufałość obrazić, bo co Kubuś, to nie. Zaadresowano więc do pana Jakóba i babunia Kasia dodała małe objaśnienie, dotyczące „gołych renców“.

Jakoż goście nietylko nie obrazili się, ale nawet bardzo im się koncept podobał.

Dało to znowu powód do rozmowy o tem narzeczu, bogatem w stare polskie formy i zwroty, a pan Jakób, bardzo zapalony góraliszczyzny wielbiciel, powtórzył słowa A. Brücknera, badacza dziejów kultury polskiej, że język jest najstarszą dziejów ludzkich kroniką, najstarszem narodów archiwum. Archeolog wnosi na zasadzie wykopalisk, jak w czasach zamierzchłych ludzie żyli, jak mieszkali, jak chowali umarłych — mówi Brückner — jakeimi drogami kroczył ich handel, nawet w co wierzyli, ale jakie ludy dane ziemie zamieszkiwały, o tem rozstrzyga dopiero język. Nazwisko lub słowo, trafnie wytłumaczone, rozświeca nagle mgły i ciemności. Lingwista odgraniczy ściśle na podstawie nazw miejscowych, pierwotne ludów siedziby, a w mowie ludu wyczyta jego dawne z innemi narodami stosunki.

— O, tak — odezwał się Witold — gwara góraliska jest także zwierciadłem, w którym można dzieje ludu tatrzańskiego odczytać.

Rozprawę tę przerwała Jagusia, niosąca wazę na stół. Rozmowa przeszła na inne, lżejsze tory. Mówiono o różnych rzeczach, a mianowicie o Anglikach, bo Anglicy wtedy byli na ustach wszystkich, którzy na ten czas znajdowali się w Zakopanem. Wiedzano o każdym ich niemal ruchu i powtarzano sobie z dodatkami — tak, że niewiele brakowało, aby urosli na jakieś legendowe postacie. Witol-



dowi opowiadano na poczcie, że baronet telegrafem zamówił w Wiedniu namiot i ten dziś właśnie nadszedł w kilku pakach. A doktor, któremu sir Edward zwierzył się z projektem przepędzenia kilku dni w górach, dodał, że to będzie coś nakształt owych słynnych wypraw doktora Chałubińskiego, które ten zamiłowany taternik od czasu do czasu urządzał we dwunastu górach, z muzyką i licznym towarzystwem. Panna Katarzyna dopytywała się, czy goście jej wezmą udział w tej wycieczce, ale odpowiedzieli, że nie otrzymali dotąd zaproszenia. Jedynie profesor Strand, najdawniejszy baroneta znajomy, napewno się wybierał, spodziewając się w jednym z jezior, obok których mieli przechodzić, znaleźć swego Branchiopoda.

Panna Katarzyna po raz pierwszy słysząca to nazwisko, z dodatkiem nazwy gatunkowej, *Branchinecta Paludosa*, jęła dopytywać ciekawie o tajemniczą noszącą je istotę. Przypuszczała, że to jest nazwa damy, posiadającej afekt profesora — i dziwiła się bardzo, gdy jej powiedziano, że to gatunek małego, niepozornego skorupiaka, który oprócz Tatr znajduje się w jednej tylko, jedynej miejscowości w Europie.

— I cóż on zrobi z tym Branchiopodem, gdy go znajdzie? — spytała.

— Włoży zapewne w spirytus i zawiezie do Berlina.

Uśmiechnęła się, żałując w duchu uczonych, upędzających się za takimi rzeczami.

Henryk, słuchając tego, tajemnie wzdychał, żeby i on mógł należeć do wyprawy — ale nie wiedział, czy babka nie będzie się temu sprzeciwiała. A co ważniejsza, wątpił, aby jego towarzystwo tam było pożądané, skoro ci panowie nie otrzymali zaproszenia — oni, których wiedza gruntowna i rozum czyniły istotnie pożądanymi towarzyszami.

Obiad bardzo smakował gościom, bo nietylko wszystko było wybornie przyrządzone, ale miał jedną przyprawę, przy której najskromniejsze potrawy stają się wyśmienite:

polską gościnność i szczerzy polski humor. Przy czarnej kawie Jagusia podała swej pani bilet wizytowy.

— Walter Dowmond — przeczytała — to ktoś z naszych stron, tylko rzecz dziwna, że ma takie cudzoziemskie imię.

— Bo to jest cudzoziemiec, gubernator małego hrabiego — odezwał się Jakób — ród jego widocznie stamtąd pochodzi, ale on sam zupełnym już jest Anglikiem, chociaż rozumie po polsku, bo był raz w Zakopanem i trochę się nauczył.

— Proś — rzekła, ciekawy wzrok ku drzwiom zwracając.

Dowmond złożył babuni Kasi ukłon głęboki i przywitawszy się ze znajomymi panami, zaczął od objaśnienia, że przychodzi do pani tego domu od sir Warburtona, z pozdrowieniem i powinszowaniem, że dochowała się tak odważnego wnuka. A oprócz tego — tu zwrócił się w stronę Henryka — przynosi młodemu pogromcy niedźwiedzia zaproszenie do uczestnictwa w nowej, kilkodniowej wyprawie w góry, którą sir Edward urządza, i w której można spotkać nie tylko niedźwiedzie, ale i inne okazy fauny tatrzańskiej. Baronet ma nadzieję, że szanowna babka Henryka nie odmówi swego zezwolenia. Mówił po francusku, domyślając się, że panna Katarzyna nie rozumie po angielsku.

I jakby chcąc dać staruszce czas do ochłonięcia ze zdziwienia, w jakie ją wprawiła ta propozycja, zwrócił się do obu panów, mówiąc, że był w ich mieszkaniu z takimże samem zaproszeniem, ale żadnego z nich nie zastawszy, zostawił tylko bilety.

Henryk aż poczerwieniał z radości; oczy utkwiał w twarz babki jak w tęczę, czekając jej wyroku — ona zaś spotkawszy się z tym wzrokiem błagalnym, dała zezwolenie, dziwiąc się w duszy, że magnat angielski tak zagustował w towarzystwie jej wnuka, będącego jeszcze dzieckiem. Było to coś tak niezwykłego, tak nadspodziewanie pomyślnego, że aż obudziło w duszy panny Katarzyny pewien niepokój — choć mówiła sobie, że ten niepokój jest bezzasadny i wytłu-

maczyć się niczem nie dawał. Bo i cóż mogłoby jej lub chłopcu grozić ze strony tego Anglika? Przelotna to tylko znajomość, nic więcej, a przytem, tak dobrze o nim mówiono...

Walter, skromny młodzieniec z poczciwemi szaremi oczyma, pociągnął ją odrazu; zapytała go, jak się to stało, że nosi litewskie nazwisko, i dodała, że zna rodzinę Dowmuntów; dwie tylko litery stanowią różnicę w pisowni.

— Bardzo być może, że to jest gałąź tego samego co i ja rodu — odpowiedział — dziad mój pochodził stamtąd. Babka była Angielką, stąd i ojciec mój bardzo źle mówił po polsku. Matka moja Angielka także, i ja nie umiałem ani jednego polskiego słowa, ale przyjeżdżałem już w roku zeszłym w Tatry i tutaj poduczyłem się trochę, biorąc lekcje od jednego studenta, którego wzamian uczyłem po angielsku.

— Ach, więc skoro pan umiesz trochę i rozumiesz, będziemy po polsku mówili — powiedziała — czy dobrze?

— Jak najchętniej, szanowna pani — odrzekł, całując jej rękę.

— Dowmunt... — powtórzyła — Dowmunt był przyjacielem mego starszego brata.

— Pani miała starszego brata? — zapytał Jakób zdziwiony.

— Miałam — odrzekła ośpnie. — Powiedz mi, panie Dowmoncie, jeżeli urodziłeś się już zupełnym Anglikiem, co cię skłoniło przyjeżdżać w Tatry w zeszłym roku i uczyć się po polsku? Bo że teraz towarzyszysz rodzinie baroneta, to rzecz naturalna.

— Namówili mnie tacy jak ja Anglicy z polskimi nazwiskami, których tak samo jak mnie ciągnie do starego gniazda.

Witold zagadnął przybyłego, jakim sposobem dostał się do domu Warburtona. Odpowiedział, że zapoznał się z synem jego w Eton i jeździł z nim do Rochdale na wakacje.

A później, gdy ukończył szkoły i chciał pójść na drogę przemysłową, baronet odradził mu to, zajął się nim serdecznie i pomógł do ukończenia studjów uniwersyteckich. Był to jakiś dawny stosunek z jego ojcem, który umarł, gdy Walter był jeszcze wyrostkiem. Od dwóch lat jest nauczycielem małego hrabiego, która to rola nie jest wcale godną zazdrości; grunt dobry, ale bardzo trudny do uprawy.

Rozmowa toczyła się o górach, góralszczyźnie i góralach. Witold pokazał narysowany przez siebie ładny typ góralki. Mówiono o dziele Witkiewicza „Na przełęczy“ i o pracach Matlakowskiego.

— Niech państwo patrzą, co barometr wyprawia! — zawołał nagle Henryk. — On, który po przybyciu naszym do Zakopanego spadł tak nisko, że przeszedłszy granicę deszczów, posunął się ku pogodzie, teraz wkroczył na pogodę stałą, czego jeszcze dotąd nie bywało. Co to znaczy, panie Jakóbie? Chyba będzie jeszcze większy deszcz! Ale od czasu naszego powrotu z wycieczki, ciągle leje, z małemi przerwami, więc barometr mógłby stać na tem samym miejscu jak stał. I dziś rano jeszcze był nieporuszony. Nawet przed godziną patrzyłem na niego i nie zauważyłem żadnej zmiany.

— Mój kapucyn zsunął swój kaptur niemal do samych pięt — odezwała się panna Katarzyna — stoi bezradny i strapiony. Te góry, to prawdziwa kraina deszczów, które zamieniają się w mgły po to tylko, aby znowu spuścić się ulewą na ziemię. Nie wiem, czy kto z państwa doświadcza tego samego co ja, ale czuję dziś w powietrzu, czy może w sobie, jakiś dziwny niepokój, jakby miało zajść coś nadzwyczajnego. W tym kraju wszystkiego spodziewać się można i odzwyczaić od dziwienia się czemukolwiek. Z rana wyjaśniło się; myślałam, że już będzie stała pogoda, i здавало mi się nawet, że powietrze jest przezroczyste, a szczyły Kościelca i Świnicy zbliżyły się.

Pan Jakób patrzył z uwagą na szczyty gór, na których

gromadziły się drobne, małe chmurki i posiedziawszy tam chwilę, płynęły ku wschodowi i północy.

— Czy państwo czujecie ciepłe powiewy od strony południowo-zachodniej? — zapytał.

— One nie są ciepłe, ale gorące — powiedział Witold.

— Otóż zdaje mi się, że będziemy mieli wiatr halny; wysłała on te powiewy, jako przednie strażę.

— Czy to nie grozi jakim niebezpieczeństwem? — spytała babunia Kasia.

— Żadnem; jak dla nas tutaj.

— Dla nas, powiada pan!... Dla kogoż zatem jest niebezpieczny?

— Dla wszystkich, co nie są w tej chwili pod dachem. Wyrывa on drzewa z korzeniami, lub drze je na kawały, ciskając na boki, a łamie tak nagle, że ani człowiek, ani zwierzę nie ma czasu do ucieczki. Kędy las przejdzie, tam potem sterczą tylko pniaki. Rozmiata ze szczętem skoszone zboże, chałupy na bok przekręca.

— Jezus Marja! — zawołała staruszka. — To okropność. Może i naszą chałupę rozniesie!

— Niech się pani nie obawia; stara jest, mocno zbudowana, i od lat wielu opiera się wichrom halnym.

— Eh, zdaje mi się, że pan Jakób napróżno panie straszysz — odezwał się Witold. — Czy nie widzicie państwo, jak pięknie słońce zachodzi? Oświetlenie gór nawet jest żywsze. Koszysta i Granaty lśnią barwą ciemno-purpurową, wpadającą w fiolet i gdyby tylko nie te chmurki, których jest coraz więcej...

— I które zasłonią wkrótce cały obraz — dokończył doktor. — Właśnie te chmurki, tak niewinne napozór, bardzo są niedobre. Tak ich już jest dużo, że wyglądają jak kurniawa, i wielu szczytów już z poza nich rozpoznać nie można. Ale cicho, czy słyszycie panowie?

Wszyscy umilkli, nasłuchując z napięciem. Zdała od strony gór dochodził szum i zdawał się zbliżać, bo coraz

był silniejszy. W gąszczu blisko domu odzywało się ćwierkanie ptaszków żalosne i przejmujące.

— Wiatr halny będzie tu wkrótce — rzekł doktor — ja go znam. To są sygnały jego, że idzie. Chodźmy do pokoju; trzeba okna na gwałt pozamykać i ogień w kuchni kazać zagasić.

Ale ogień już był zgaszony, na zalecenie gaźdżiny, dbającej bardzo o całość swego domostwa. Goście chcieli się pożegnać i uciec do domu przed wichrem, ale panna Katarzyna tak się tej nieznannej sobie potęgi obawiała, że uprosiła wszystkich trzech, aby z nią pozostali.

— Ciekawa jestem, skąd on się bierze, ten wiatr — pytała.

— Dawniej myślano z powodu jego gorącości, że wieje z Afryki, z Sahary — powiedział doktor — ale najnowsze badania wykazały, że rodzi się on w samych górach, a stoi w związku z przesuwaniem się zniżki barometrycznej z nad oceanu Atlantyckiego ku wschodowi Europy po północnej stronie Alp i Karpat. Jest to prąd powietrza, przechodzący główny grzbiet górski i spadający ku północy z szaloną siłą.

— A skąd pochodzi jego gorąco?

— Siła, z jaką spada, ogrzewa go. Jest on zupełnie podobny do Föhnu alpejskiego, który takie samo ma pochodzenie: tak samo zrzuca głązy z gór i zrywa dachy.

— Dlaczego nie miały iść z Afryki? — przerwał Wiltold. — To przypuszczenie zdaje się być prawdopodobniejsze.

— Dlatego, że wiatr, przybywający do nas z Sahary, musiałby ulec zupełnemu ochłodzeniu, mijając wyżyny tatrzańskie. Tak utrzymuje Rehman, autor dzieła p. t. „Tatry pod względem fizyczno-geograficznym“.

— Nie rozumiem znów, skąd ten mus!

— Bo powietrze, wznoszące się wgórę, traci ciepło wskutek rozrzedzenia, tak jak powietrze, spuszczaające się z gór w doliny, musi ulec zgęszczeniu. Nieodzownem znów następstwem zgęszczenia powietrza, jest podwyższenie jego

ciepłoty, wskutek czego każdy wiatr, który minąwszy grzbiet gór, spuszcza się w doliny, w Föhn zmienić się musi.

— Hm, a mnie to wydawało się tak naturalnem...

— W Alpach zdarza się niekiedy Föhn z północy wiejący, a Sahary przecież na północy niema. Zjawia się też on w Grenlandji w porze zimowej i podnosi ciepłotę wybrzeży o 12 do 20° Celsjusza.

— A tam skąd przybywa?

— Z oceanu Atlantyckiego, który w tej porze pokryty jest przeważnie lodami. Minąwszy wewnątrz Grenlandji, wzniesione do 2.000 stóp nad poziom morza, spada z wielką siłą w fiordy zachodnich wybrzeży, a dobroczynny jego wpływ na ciepłotę tych posepnych zlodowaciałych okolic daje się czuć jeszcze pod 82° szerokości geograficznej.

Dzieci bały się także, ale ciekawość przeważała, więc nie odchodziły od okna i czekały co będzie, a Henryk nawet od czasu do czasu wychodził na ganek, rozglądając się po niebie. Nad Czerwonemi Wierchami i Giewontem zjawił się olbrzymi wał chmur, sięgający aż do Świnicy, a te pędziły kłębiąc się w dolinę, niby pijane szalem i ziały gorącym tchnieniem, a za nimi szedł groźny pomruk, niby ryk wzburzonego morza.

Nagle zatrzęsły się wierzchołki drzew najwyższych, za drżały kalenice dachów, zadygotały kanty strzechy, jakby jakaś potężna ręka potrząsnęła nimi z wściekłością. Dach jęknął, zatrzęszczały ściany Ślimakowego domostwa, i dał się słyszeć skrzyp, jakby przeciąganie się węglów.

Panna Katarzyna przeżegnała się: usta jej poruszyły się, szepcząc cichą modlitwę, a oczy patrzyły przerażone, jak kurniawa obejmowała całą dolinę, jak ginęły w niej sylwety drzew, płotu, domów, a zapanował chaos!

Marysia przypomniała sobie swoje króliki, które zostawiła na dworze w małym ogrodzeniu za oborą, i pomyślała, że biedne zwierzątka pewnie są w śmiertelnym strachu. Zdjęta litością wybiegła, chcąc je przenieść do kuchni.

Króliki te były powodem jej nieustannej troskliwości: Gdy słońce świeciło i pogoda była piękna, bała się, że im futerko zamoknie i wilgoć zaszkodzi.

Drzwi z sieni, prowadzące na dziedziniec, były zamknięte na zaworę; odsunęła ją i wybiegła za budynki. Wiatr już dął silny, tak że ująć było trudno, ale dziewczynka, trzymając się ściany domostwa, a potem ściany obory, doszła do zagrodzenia, gdzie w kąciku strwożone siedziały króliki.

Ucieszona wzięła je na ręce i chciała iść ku domowi, ale ta jedna chwila wystarczyła, aby jej powrót uniemożliwić. Gdyby jeszcze mocno trzymała się ściany, jak to czyniła, idąc tutaj, doszłaby do domu choć z trudnością; ale przytuliwszy króliki do piersi, miała obie ręce zajęte. A tu w tej jednej chwili właśnie stało się coś dziwnego: ogarnęła ją nagła ciemność, posłyszała szum, świst, ryk, jęki i wycia. Wiatr zarzucił jej spódniczkę na głowę; podmuch jego szedł od strony gór potężny, straszliwy, i grał najrozmaitszemi głosami, unosząc przerażoną dziewczynkę w kierunku przeciwnym domowi, Na drodze tańczyły potężne tumany piasku i żwiru, wciągając w wir tańca drobne kamyki, a świerki gięły się jak trzciny i biły czołem o ziemię, strząsając szyszki, ulatujące na wietrze. Wody potoku rozbiegły się na boki mnóstwem strug białych i pędziły spienione. Ponad szczytami niebo zawalone było olbrzymiemi kłębami chmur ciemnych; leciały one napozór z szaloną szybkością, a w rzeczywistości przewalały się i szamotały na miejscu. Potężny wir powietrza, tańczący w środku doliny, szarpał całe to morze chmur spływających z góry, darł je z wściekłością na szmaty i ciskał na boki!

Ze spódniczką zarzuconą na oczy, od której napróżno ruchem głowy oswobodzić się usiłowała, biegła Marysia, nie dotykając prawie ziemi, łąką nad potokiem, przerażona, z płaczem głośnym, którego nikt nie słyszał, przyciskając mocno króliki do piersi. Nie wiedziała, gdzie jest i w którą



zwrócić się stronę. Jeszcze chwila, a wicher wpędzi ją w potok, którego nurt spieniony po wielkich tutaj płynął gładach, bełkocąc gniewnie, niby pomruk dzikiego a podrażnionego zwierza. Tak lecąca zatrzymała się nagle w pędzie o jakąś wysoką zaporę, która narazie wydała się jej drzewem. Jakieś ręce objęły ją i głos łagodny, niski przemówił:

— Nie bój się, maleńka!

Chociaż Marysia pierwszy raz w życiu słyszała ten głos, jednakże odrazu natchnął ją ufnością. Przestrach pierzchnął w jednej chwili, czuła, że znalazła ocalenie i przytuliła się cała do nieznanego, który rzekł:

— Musimy położyć się na ziemi, aż ten prąd przejdzie, bo iść dalej niepodobna.

Dziewczynka posłusznie położyła się przy nim, trzymając ciągle swoje króliki, z których jeden tylnymi łapkami uczynił taki ruch, jakby się chciał oswobodzić.

— Panie, panie, niech pan trzyma! — szepnęła błagalnie.

— Co takiego? — zapytał, czując, że oprócz dziewczynki, którą prawem obejmował ramieniem, coś innego jeszcze się przy niej rusza.

— Królik — odrzekła głosem, w którym czuć było chęć do płaczu — a ten okropny wiatr go zabije!

Nieznanomy wyciągnął rękę w kierunku deztertera i przytrzymał go.

Wicher przelatywał nad ich głowami, a z nim liście, szyszki, drobne kamyki i strzępy chmur, a potem wszystko ucichło: drzewa się wyprostowały, tumany piasku opadły, i bładny promyk słońca przedarł się przez chmury. Nieznajomy wstał i podniósł dziewczynkę, która teraz dopiero mogła spojrzeć w twarz swemu wybawcy. Był to starzec z rudawą, śpiczastą, posiwiałą brodą, ostremi rysami twarzy i ciemnymi wypukłymi oczyma, w których w tej chwili był ciepły, prawie tkliwy blask. Głowę schowaną miał

w kaptur popielatego sukienego płaszcza, skąd wyglądał tylko brzeg pilśniowego kapelusza.

— Gdzie mieszkasz, maleńka? — zapytał.

— Na Krupówkach pod lasem, ot tam — rzekła, wskazując ręką.

— Odprowadzę cię. A gdzież to niosłaś te króliki?

— Do pokoju: bo one były na dworze, widzi pan, więc jak się ten okropny wiatr zerwał, tak mi się żal zrobiło, że się będą bały, albo im się jeszcze co stanie! Wysłałam, ale nie mogłam trafić do domu... tak było ciemno na polu.

— I o mało nie wpadłaś do potoku — dokończył nieznajomy. — Chodź, musimy się śpieszyć, żeby dojść do chat najbliższych, zanim drugi podmuch nadejdzie.

Ale drobne kroki Marysi nie mogły nadążyć nieznajomemu, zwłaszcza, że dźwigała króliki, ciągle się bojąc o nie. Więc wziął ją na ręce i podniósłszy pelerynę swego płaszcza, okrył nią dziewczynkę.

— Trzymaj mnie się dobrze, maleńka — przemówił — żeby mi cię wiatr nie porwał, bo drugi podmuch zaraz przyjdzie.

— Pan jest bardzo dobry — powiedziała, obejmując go za szyję jedną ręką, bo drugą trzymać musiała króliki — zupełnie jak mój dziadunio. On także mówi do mnie „maleńka“.

Nieznajomy nie szedł, ale biegł ze swoim ciężarem, aż dotarł do chat, stojących napoprzek łąki wśród drzew. Drugi podmuch wiatru nadchodził silniejszy od pierwszego.

— Nie boisz się? — zapytał, pochylając twarz ku dziewczynce.

— Nie — odrzekła — ale jeden królik znowu się rusza i chce uciec!

— Bądź spokojna, nie puścimy go.

— I tak mokro na łące...

— Dostałby niezawodnie kataru — dodał rozśmieszony tą troskliwością.

Gdy to mówił, byli już pod ścianą chaty. Nieznajomy stanął pod okapem dachu i rzekł:

— Tu poczekamy trochę, aż podmuch przejdzie.

— Czy długo będziemy czekali? — spytała, przypomniawszy sobie, że w domu nic nie wiedzą o jej przygodzie i pewnie jej szukają.

— Niedługo. A czy ci bardzo pilno?

— Tak, bo widzi pan, babunia nie wie, że ja wyszłam na podwórze, i pewnie myśli, że zginęłam; braciszek także.

— To maleńka ma braciszka?

— A mam; jest duży i bardzo mądry. Wie pan, on się zna na barometrze!

— A to dopiero!

— I bardzo silny: zabił niedawno żywego niedźwiedzia, aż się Anglicy dziwowali, że on potrafi. Może mi pan nie wierzy? Ale skóra jest, to można panu pokazać!

Marysia poczuła żywe poruszenie nieznanego, ale dziwiła się bardzo, że tak spokojnie wysłuchał tej wiadomości — bez okrzyku zdziwienia, jakby to była rzecz zwyczajna i czuła nawet za to do niego urazę.

— Pan się pewnie na tem nie zna! — rzekła z politowaniem.

— Tak jest, maleńka, nie znam się — odrzekł poważnie.

— I nigdy pan nikogo nie zabił?

Nieznajomy milczał. Pierś jego podniosła się ciężkłem westchnieniem.

— Proszę pana, niech pan przytrzyma mego królika, bo upuszczę.

Nieznajomy posłusznie spełnił wolę dziewczynki.

— Powiedz mi, maleńka, gdzie są twoi rodzice? — zapytał.

— Tatko i mamusia umarli — rzekła poważnie — ale babunia Kasia i dziadzio bardzo nas kochają.

— A gdzież jest twój dziadunio?

— O, bardzo daleko stąd. Nasza wieś nazywa się Mira-

tycze i leży niedaleko Świtezi. Pan pewnie nie wie, co to Świtez: takie duże jezioro w lesie, co się po nim łódką jeździ i ryby są tam.

Nieznajomy zachwiał się i Marysia się złąkla, żeby jej nie upuścić; ale on przycisnął ją do siebie tak mocno, że aż krzyknęła ze strachu o swoje króliki. W powietrzu zapanaowała znowu cisza, ale blady promień słońca już się nie pokazał; skryło się ono zupełnie. Był zmrok. Nieznajomy szedł prędko, zmierzając ku domowi, który mu wskazała dziewczynka, i skąd przez okno migotało światło. Wicher znowu dać począł z wielką siłą; mieli go teraz z przodu, ale nieznajomy szedł mimo to, przyspieszając kroku. Chwilami przystawał pod ścianami chat, potem szedł jeszcze prędzej. Tylne drzwi domu były odchyłone; służąca dopiero co wyszła do obory z dzbankiem po mleko.

Nieznajomy, wszedłszy do sieni, postawił dziewczynkę na ziemi, a ona powiedziała mu „dziękuję“ — i nadstawiła buzię do pocałowania — poczem, uważając, że wypada, aby mu jeszcze ktoś więcej podziękował, pociągnęła go za sobą i otworzywszy drzwi do pokoju jasno oświetlonego, gdzie wszyscy byli zgromadzeni przy stole, zawołała:

— Babuniu, ja wcale nie zginęłam, wiatr chciał mnie porwać i wrzucić do wody, ale jeden bardzo dobry stary pan uratował mnie i przyniósł tutaj na rękę. I króliki są zdrowe, nic się im nie stało!

Teraz dopiero dowiedziano się, jakie niebezpieczeństwo groziło dziewczynce, której nieobecności nikt nie zauważył. Babunia Kasia zerwała się i wybiegła do sieni, chcąc wprowadzić gościa do pokoju i podziękować mu, ale w sieni nie było nikogo. Zarzucono dziewczynkę pytaniami i powoli dowiedziano się od niej wszystkiego. Babunia Kasia ścisnęła dziecko, płacząc z radości. Zachodzono w głowę, kto mógł być ten nieznajomy, i dziwiono się, że tak prędko zniknął. Pytano, jak wyglądał, i dziewczynka wiernie go odmalowała. Walter odezwał się, że z opisu podobny do

baroneta, a doktor, któremu ta sama myśl przyszła, zagadnął:

— W jakim języku rozmawiał z tobą ten stary pan?

— W jakim, tak jak wszyscy po polsku.

— A więc to nie mógł być sir Warburton — zdecydował Henryk.

To rozstrzygnęło wszelkie wątpliwości.

Na pannie Katarzynie zniknięcie to i opowiadanie o nieznanym dziwne sprawiło wrażenie. Była mu wdzięczną i bała się czegoś. Jakiś ciężar spadł jej na serce i tłoczył jakby przecuciem nieszczęścia.

Wiatr halny szalał całą noc, aż do południa dnia następnego; szyby brzęczały w oknach, ściany trzeszczały, i chwilami zdawało się, że się zawała — a na dachu było takie dudnienie, jakgdyby po nim tańczyło sto czarownic, lub szatan jechał we sto koni. Dzieci, znużone nasłuchiwaniem tej dziwnej muzyki, posnęły, tylko panna Katarzyna długo spać się nie kładła. Chodziła po pokoju, przesuwiała paciorki różańca i raz po raz patrzyła w okno, jakby w niem spodziewała się kogoś ujrzeć. Na niebie płomyki gwiazd ostro migotały, jakby chwiejąc się od podmuchów wiatru — a czarne chmury, przesłaniające je raz po raz, przybierały postaci różnych widziadeł; każda postać podobna była do tajemniczego nieznanego, który uratował Marysię, a jej samej widzieć nie chciał. Pragnęła go zobaczyć i niewiedomo czemu lękała się.

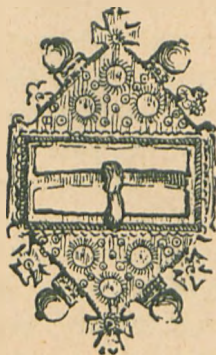
Na Starej Polanie także nie spano. Lady Chester wyrzekała na szkaradny kraj i nie dawała spać nikomu. Szalona jazda wichru tak ją rozdrażniła, że wkońcu zalewała się rzewnemi łzami, żalując ciszy i wygod zamku Rochdale, który opuściła dobrowolnie.

— I żeby to jeszcze zdało się na co! — powtarzała wśród łez.

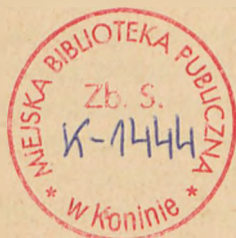
Spazmy długo nie ustawały i musiała zażyć trzy dozy bromu, zanim usnęła, zwolniejszy tem od potrzeby czuwa-

nia przy sobie miss Fanny, umęczoną dziś więcej niż kiedykolwiek.

Nazajutrz wstał dzień pochmurny; dolinę zalewało blade słońce. Podmuchy stawały się coraz radsze, a chmury wznosiły się coraz wyżej, odsłaniając niższe podstawy regli, których szczyty ciągle były we mgły spowite. Wreszcie zaczęły się ukazywać coraz większe kawałki błękitu, tylko nad szczytami gór kręciły się jeszcze mgły, niby dymy wulkanów. Wieczorem spadł deszcz rześisty.



Spinka.



## SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU PIERWSZEGO.

	Str.
I. Gość zamorski . . . . .	1
II. Co w tem jest? . . . . .	20
III. We mgle . . . . .	40
IV. Przy blasku słońca . . . . .	56
V. Portret bez rysów . . . . .	66
VI. Doża wenecki . . . . .	96
VII. Skarby tatrzańskie . . . . .	117
VIII. Baśń Sabały . . . . .	135
IX. Błękitna wstążka . . . . .	147
X. Srebrny szlak . . . . .	164
XI. Fantazja tatrzańska . . . . .	177
XII. Zdobywca profesora Stranda . . . . .	197
XIII. Tęcza na ziemi . . . . .	218
XIV. Nitka zerwana . . . . .	237
XV. Dujawa . . . . .	251

